

## Pod słońce

Oto co się zdarzyło. W pewną spokojną, bezgwiezdną, czerwcową noc w 1941 roku, sierżant lotnictwa Thomas Prosser kłusował nad północną Francją. Jego Hurricane 11B pokryty był czarnym kamuflażem. Wewnątrz kabiny czerwone światło tablicy przyrządów miękko spływało na ręce i twarz Prossera. Jarzył się jak bóg zemsty. Zdjąwszy okulary, patrzył ku ziemi w poszukiwaniu świateł aerodromu, a ku niebu w poszukiwaniu gorących kolorów spalin bombowca. Na pół godziny przed świtem, Prosser czyhał na Heinkela lub Dorniera powracającego znad jakiegoś angielskiego miasta. Bombowiec taki musiałby się wymknąć artylerii przeciwlotniczej, nie skorzystać z reklamy reflektorów, ominąć balony zaporowe i ująć nocnym myśliwcom. Wyrównałby lot, załoga myślałaby o gorącej kawie suto zaprawionej cykorią, podwozie opadłoby z trzaskiem, a wtedy kłusownik otrzymałby sowitą zapłatę za swe trudy.

Tej nocy nie nadarzył się żaden łup. O 3.46 Prosser wziął kurs na bazę. Wybrzeże francuskie przekroczył na wysokości 18 000 stóp. Rozczarowanie kazało mu chyba zwlekać z powrotem, gdyż spojrzawszy nad Kanałem w prawo, zobaczył, że zaczyna wschodzić słońce. Powietrze było przejrzyste i rześkie, gdy pomarańczowe słońce spokojnym, jednostajnym ruchem wywikłało się z lepkiej, żółtej smugi horyzontu. Prosser obserwował to powolne odsłonięcie oblicza. Wiedziona wyuczonym odruchem głowa co trzy sekundy zwracała się do przodu, lecz było raczej mało prawdopodobne, żeby spostrzegł ewentualny niemiecki myśliwiec. Docierał do niego tylko widok podnoszącego się z morza słońca: majestatycznego, nieubłaganego, niemal komicznego.

Gdy pomarańczowa kula nareszcie usiadła dystyngowanie na ławie odległych fal, Prosser odwrócił wzrok. Świadomość niebezpieczeństwa powróciła. W jasnym, porannym powietrzu jego czarny samolot rzucał się w oczy jak jakiś polarny drapieznik, który nie zdążył w porę zmienić ubarwienia. Gdy raz po raz kładł się na skrzydło, zobaczył w dole długi ogon czarnego dymu. Samotny okręt, być może w tarapatkach. Szybko opadł ku mrugającym, miniaturowym falom i po chwili rozpoznał na kursie zachodnim baryłkowaty statek handlowy. Czarny dym znikł jednak i wszystko wydawało się w porządku. Prawdopodobnie tylko dorzucono węgla do kotłów.

Na 8000 stóp Prosser wyrównał lot i od nowa wziął kurs na bazę. W połowie drogi przez Kanał dopuścił do siebie, podobnie jak niemieckie załogi bombowców, myśl o gorącej kawie i kanapce z boczkiem, którą zje po odprawie. I wtedy coś się zdarzyło. Prędkość, z jaką opadł, wtoczyła słońce z powrotem pod horyzont, toteż gdy spojrział w prawo, ponownie ujrzał, jak wschodzi: to samo słońce unoszące się z tego samego miejsca, nad tym samym morzem. Jeszcze raz Prosser zapomniał o ostrożności i po prostu patrzył: pomarańczowa kula, żółta smuga, ława horyzontu, rześkie powietrze i płynne, nieważkie wznoszenie się słońca, które po raz drugi tego ranka wstało z fal. Był to powszedni cud, który na zawsze utkwiał mu w pamięci.

## I

Pytasz, co to jest życie. To tak, jakby zapytać, co to jest marchewka. Marchewka to marchewka i nic poza tym nie wiadomo.

Czechów do Olgi Knipper, 20 IV 1904

Inni ludzie sądzili, że to musi być uciążliwe, patrzeć dziewięćdziesiąt lat wstecz. Jak przez tunel albo przez słomkę, domyślali się. Nie mieli racji. Czasem przeszłość była filmowana kamerą z ręki; czasem rysowała się monumentalnie na proscenium, pod gipsowym gzymsem i pomiędzy fałdami kurtyn; czasem migała przed oczyma jak melodramat z epoki niemego kina, przyjemny, lecz nieostry i zupełnie nieprawdopodobny. Czasami wypożyczalnia pamięci dysponowała tylko serią fotosów.

Epizod z wujkiem Leslie - najpierwszy Epizod jej życia - jawił się jako seria slajdów w latarni magicznej. Moralność w tonacji sepii. Sympatyczny bohater negatywny miał nawet wąsy, a ona siedem lat; pora Świąt; wujek Leslie był jej ulubionym wujkiem. Na Slajdzie I pochylał się ze swych wyżyn, aby dać jej prezent. Hiacynty, szepnął, wręczając biskoptową donicę nakrytą mitrą brązowego papieru. Włóż je do przewiewnej szafy i zaczekaj do wiosny. Chciała je zaraz zobaczyć. Nie, na pewno jeszcze nie weszły. Skąd on może wiedzieć? Później, w sekrecie, Leslie uchylił rąbka brązowego papieru i pozwolił jej zajrzeć do środka. Niespodzianka! Jednak weszły. Cztery smukłe szpile w kolorze ochry, wysokie na jakieś pół cala. Wujek Leslie zażądał się wymuszenie, jak to zwykle dorosły, któremu zaimponowało, przewyższające go wiedzą, dziecko. Tym bardziej jednak nie powinna na nie patrzeć aż do wiosny. Kolejna dawka światła może spowodować, że przerosną swe możliwości.

Włożyła hiacynty do bieliźniarki i czekała na postępy. Często o nich myślała i zastanawiała się, jak wygląda hiacynt.

Czas na Slajd II. Pod koniec stycznia poszła z latarką do łazienki, wyłączyła światło, zdjęła doniczkę, zrobiła małą szczelinę w papierze, wycelowała latarkę i szybko zajrzała do środka. Cztery obiecujące szpile nadal sterczały, nadal długie na pół cala. Przynajmniej światło, które wpuściła w Boże Narodzenie, nie zaszkodziło im.

Pod koniec lutego znów zajrzała, ale pora wzrostu najwyraźniej jeszcze nie nadeszła. Trzy tygodnie później wujek Leslie wpadł do nich po drodze na golfa. Przy obiedzie obrócił się ku niej konspiracyjnie i spytał:

- No i co, Jeanie moja mała, jak tam hiacynty?

- Nie pozwoliłeś mi zaglądać.

- A nie pozwoliłem.

Zajrzała znowu pod koniec marca, a potem - Slajdy V do X - drugiego, piątego, ósmego, dziewiątego, dziesiątego i jedenastego kwietnia. Dwunastego jej matka zgodziła się na bliższe oględziny doniczki. Rozłożyły na stole kuchennym „Daily Express” z poprzedniego dnia i ostrożnie rozwinęły brązowy papier. Cztery ochrowe kielki nie posunęły się w górę. Pani Serjeant miała zakłopotaną minę.

- Chyba najlepiej będzie, jak je wyrzucimy, Jean. Dorośli zawsze wszystko wyrzucają. Na tym polega jedna ważna różnica: dzieci lubią trzymać różne rzeczy.

- Może korzenie rosną. - Jean zaczęła rozgarniać torfową ziemię, gęsto upchaną wokół kielków.

- Nie robiłabym tego - powiedziała matka. Ale było już za późno. Jedną po drugiej, Jean wykopała cztery szpileczki.

Co dziwne, Epizod ten nie spowodował u niej utraty wiary w wujka Lesliego. Przestała tylko wierzyć w hiacynty.

Patrząc w przeszłość, Jean uznała, że jako dziecko na pewno miała przyjaciół, ale nie mogła sobie przypomnieć tej jednej jedynej powiernicy z mazgajowatym uśmiechem, zabaw ze skakanką i żółdźkami, karteczek z sekretami, przekazywanych pod splamionymi atramentem ławkami wiejskiej szkoły z groźną kamienną inskrypcją nad bramą. Może to wszystko było, może nie. Patrząc z obecnej perspektywy, wujek Leslie wystarczał za powiernika. Faliste włosy miał zawsze obficie upomadowane, a na kieszeni granatowego blezera widniał symbol jego jednostki. Umiał robić szklanki na wino z opakowań po słodyczach, a idąc do klubu golfowego zawsze mówił:

- Wpadnę do Starego Zielonego Raju.

Za kogoś takiego, jak wujek Leslie wysłaby za męża.

Wkrótce po Epizodzie z Hiacyntami zaczął ją zabierać do Starego Zielonego Raju. Sadzał ją na omszałej ławce koło parkingu i przykazywał z udawaną surowością, by pilnowała jego kijów golfowych.

- Idę sobie tylko przepłukać gardło.

Dwadzieścia minut później wyruszyli do pierwszego kołka. Woniejący piwem wujek Leslie niósł kije, Jean miała na ramieniu specjalny kij do piasku. Był to rodzaj talizmanu: dopóki Jean trzyma kij w gotowości, ściąga na siebie błyskawice, a wuj ominie pułapkę piaskownicy.

- Tylko nie upuść - mawiał - bo pofrunie, będzie więcej piasku niż w wietrzny dzień na pustyni Gobi. - A ona kładła sobie kij na ramieniu jak Karabin. Kiedyś, zmęczona marszem w dół - do piętnastego dołka, wlokła kij za sobą i po drugim uderzeniu wujka Leslie, piłka powędrowała prosto do piaskownicy, piętnaście metrów dalej.

- No i patrz, co zrobiłaś - powiedział, w równym stopniu zadowolony, że potwierdza się działanie talizmanu, co naburmuszony. - Musisz mi za to kupić Jednego przy dziewiętnastym”.

Wujek Leslie często mówił do niej śmiesznym kodem. Udawała, że go rozumie. Wszyscy wiedzieli, że na torze golfowym jest tylko osiemnaście dołków i że ona nie ma pieniędzy, ale kiwała głową, jakby zawsze kupowała ludziom jednego (jednego co?) przy dziewiętnastym. Gdy dorośnie, ktoś jej wytłumaczy ten kod, ale na razie bardzo się cieszyła, że go nie zna. Niektóre fragmenty jednak rozumiała. Gdy piłka nieposłusznie odbiła się między drzewa, Leslie mruczał czasem pod nosem:

- Za hiacynty - jedyne jego wzmianki o prezencie gwiazdkowym.

Jednak większość uwag przerastała ją. Maszerowali z przejściem alejką, on z torbą pełną stukoczącego drewna orzechowego, ona z dłońmi zaciśniętymi na metalowym kiju do piasku.

Jean nie wolno się było odzywać; wujek Leslie wyjaśnił jej, że gadanie odwodzi go od obmyślenia następnego uderzenia. Jemu jednak wolno było mówić. Gdy kroczyli ku odległej plamce bieli, która czasem okazywała się papierkiem po słodyczach, zatrzymywał się czasem, schylał ku niej i szeptał na ucho różne sekrety. Przy piątym dołku powiedział, że pomidory powodują raka i że słońce nigdy nie zajdzie nad Imperium Brytyjskim; przy dziesiątym dowiedziała się, że przyszłość należy do bombowców i że dziadek Mussolini, choć makaroniarz, jest nie w ciemny bity. Kiedyś zatrzymali się na krótkim dwunastym (co przy par 3 było przypadkiem bez precedensu) i Leslie wyjaśnił z powagą:

- Poza tym Żyd nie będzie nigdy golfiarzem.

Potem szli dalej ku piaskownicy, po lewej stronie łączki, a Jean powtarzała do siebie tę nagle objawioną prawdę. Lubiła chodzić do Starego Zielonego Raju. Nigdy nie było do końca wiadomo, co się może zdarzyć. Pewnego razu, gdy wujek Leslie przepłukał gardło dokładniej niż zwykle, między trzecim a czwartym dołkiem posłał piłkę w niewysokie chaszczce. Kazał jej się odwrócić plecami, ale nie miała obowiązku zatykać sobie uszu, więc usłyszała głośnie i wiele mówiące chlapanie. Zerknęła spod uniesionego łokcia (to się nie liczyło jako patrzenie) i ujrzała parę dymiącą z wysokich po pas paproci.

I jeszcze ta sztuczka Lesliego. Pomiedzy dziewiątą łączką a dziesiątym kołkiem, otoczonym świeżo posadzonymi brzożami, stał maleńki domek, podobny do budki dla ptaków. Jeśli wiatr wiał w odpowiednim kierunku, wujek Leslie wykonywał tu czasem swą sztuczkę. Z kieszeni na piersi tweedowej marynarki, ze skórzanymi łatami na łokciach, wyjmował papierosa, kładł na kolanie, wymachiwał rękami jak czarnoksiężnik, wkładał papierosa do ust, mrugał do Jeanie okiem i zapalał zapalną. Siedziała obok niego, usiłując wstrzymać oddech i nie wiercić się. Wiercipięty psują sztuczki, mawiał wujek Leslie, tak samo jak dmuchacze i chuchacze.

Po paru minutach zerkała w bok, starając się nie ruszyć zbyt gwałtownie. Na końcu papierosa był cał popiołu, a wujek Leslie zaciągał się kolejny raz. Gdy zerkała ponownie, Leslie odchyłał nieco głowę do tyłu, a papieros w połowie składał się z popiołu.

Od tego momentu wujek Leslie nie patrzył już na nią, tylko mocno koncentrował się i po każdym zaciągnięciu, powoli odchyłał głowę jeszcze trochę. Na koniec trzymał głowę prawie pod kątem prostym do kręgosłupa, a papieros (sam popiół prócz ostatniego pół cała), który trzymał Leslie, celował pionowo ku dachowi olbrzymiej budki dla ptaków. Sztuczka udała się.

Potem lewą ręką dotykał ją w ramię, a ona ostrożnie wstawiała, starając się nie oddychać, żeby nie zdmuchnąć popiołu na marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, i szła do dziesiątego kołka. Parę minut później Leslie dołączał do niej z lekkim uśmiechem. Nigdy nie pytała, na czym polega sztuczka. Może sądziła, że nie odpowie.

Następnie były seanse krzyku. Zdarzało się to zawsze w tym samym miejscu, na polu za trójkątem wilgotnej, pachnącej buczyny, który wrzynał się w czternastą psią nogę. Za każdym razem Leslie posyłał piłkę tak niecelnie, że musieli przeczesywać najgłębszą część zagajnika, gdzie pnie porośle były mchem, a orzeszki bukowe stały się gęściej na poszyciu. Za pierwszym razem znaleźli się koło przełazu, który był oślizły w dotyku, choć od wielu dni nie padało. Wspięli się nań, po czym zaczęli przeszukiwać kilka pierwszych jardów trawiastej pochyłości. Po trochę bezcelowym grzebaniu w trawie butami i kijami, Leslie pochylił się i powiedział:

- A gdybyśmy się tak porządnie wydarli? Odwzajemniła jego uśmiech. Ludzie lubią się porządnie wydrzeć przy takich okazjach. Przecież to bardzo denerwujące, nie móc znaleźć piłki. Leslie tłumaczył dalej:

- Jak się już do cna wywrzeszczysz, musisz paść na plecy. Takie są reguły.

Odchylili głowy i wrzeszczeli do nieba. Wujek Leslie grubo i gardłowo, jak deszcz wychodzący z tunelu; Jean cienko i chwiejnie, niepewna, na ile starczy jej tchu. Oczy miało się otwarte - taka była chyba nie wypowiedziana reguła - twarzo wpatrzona w niebo, żądająca odpowiedzi. Potem robiło się drugi wdech i znów wrzeszczało, pewniej, natarczywiej. Potem jeszcze raz, a Leslie ryczał coraz donośniej. I nagle przychodziło wyczerpanie, nie miało się już w sobie więcej wrzasku i padało się plackiem. Przewracałaby się nawet wtedy, gdyby nie było takiej reguły. Zmęczenie wędrowało przez jej ciało jak fala.

Wujek Leslie klapnął na plecy kilka jardów od niej i wlepiali równoległe, zdyszane spojrzenie w spokojne niebo. W połowie drogi do nieba, kilka chmur drgnęło łagodnie, jakby w wahaniu, czy zerwać się z postronka. Może jednak zawdzięczały ten nieznaczny ruch dyszeniu dwóch wyciągniętych na ziemi postaci. Reguły najwyraźniej stanowiły, że można dyszeć tak mocno, jak się tylko ma chęć.

Po chwili usłyszała, jak Leslie kaszle.

- Myślę, że należy mi się *free drop*. - Poczępali z powrotem przez oślizły przełaz, po trzaskających orzeszkach do czternastego kołka, gdzie wujek Leslie, rozejrzawszy się za szpiegami, położył na podstawce błyszczącą nową piłkę i posłał ją na jakieś dwieście jardów ku łączce. Mimo że jest do cna wywrzeszczany, pomyślała Jean.

Szli krzyczeć tylko wtedy, gdy Leslie bardzo niecelnie posłał piłkę z kołka, co z jakiegoś powodu zdarzało się przy pustym torze. Nie robili tego zbyt często, gdyż po pierwszym razie Jean dostała koklusz. Koklusz nie kwalifikował się jako Incydent, w przeciwieństwie do festynu wujka Lesliego. Czy też raczej skutków kwesty wujka Lesliego.

Gdy przyszedł w czwartym dniu jej choroby, leżała w łóżku, wydając niekiedy z siebie gardłowy krzyk jakiegoś egzotycznego ptaka zgubionego na obcym niebie. W blezerze z odznaką jednostki usiadł na łóżku. Trochę czuć było od niego przepłukanym gardłem i zamiast spytać, jak się czuje, mruknął:

- Nic im nie powiedziałaś o darciu się?

- Oczywiście, że nie.

- No bo, widzisz, to tajemnica. I to dość miła tajemnica, prawdę mówiąc.

Jean skinęła głową. Była to niezwykle miła tajemnica. Ale być może wrzeszczenie spowodowało koklusz. Matka zawsze ostrzegała ją, by się nigdy zanadto nie gorączkowała. Może wrzeszcząc rozgorączkowała gardło, i stąd koklusz. Wujek Leslie tak się zachowywał, jakby podejrzewał, że to jego wina.

Gdy wydała z siebie paniczny krzyk ptaka, nie wiedział, co zrobić z oczami.

Dwa dni później pani Serjeant położyła na skraju łóżka Jean zimową bieliznę, a następnie grubą sukienkę, zimowy płaszcz, szalik i koc. Wydawała się niezadowolona, lecz zbyt zrezygnowana, by to okazać.

- Chodź, idziemy. Wujek Leslie zabiera nas na festyn. - Jak się przekonała Jean, do festynu wujka Lesliego należał też przejazd taksówką. Jej pierwszy w życiu. Po drodze do aerodromu starała się nie robić wrażenia rozgorączkowanej. W Hendon matka została w samochodzie. Jean wzięła ojca za rękę, a on wyjaśnił, że drewniane części De Havillanda zrobione są ze świerku.

- Świerk to bardzo twarde drewno - powiedział - prawie tak twarde, jak metalowe części samolotu, więc nie ma się o co martwić. - Ale ona wcale się nie martwiła.

Sześciodziesięciminutowa wycieczka turystyczna po Londynie; odjazd co godzinę. Pośród kilkunastu pasażerów była jeszcze dwójka dzieci, opatulonych jak przesyłki pocztowe, choć to dopiero sierpień; może też się darły ze swymi wujkami. Jej ojciec siedział po przeciwnej stronie i powstrzymywał ją, gdy usiłowała wychylić się i wyrzucić przez okno.

- Cel lotu - wyjaśnił jej - jest zdrowotny, a nie edukacyjny.

Przez całą wycieczkę patrzył na plecione siedzenie przed sobą i trzymał się za kolana. Zdawał się niezdrowo rozgorączkowany. Gdy De Havilland pochylił się na skrzydło, za pucułowatymi silnikami i krzyżakami zastrzałów Jean ujrzała coś, co mogło być mostem Tower. Zwróciła twarz ku ojcu.

- Psst - powiedział - koncentruję się, żebyś wydobrzała. Minął rok, nim Jean i wujek Leslie poszli znowu wrzeszczeć.

Już wcześniej zaglądali oczywiście do Starego Zielonego Raju, ale uderzenia wujka Leslie na czternastym jakoś zyskały na precyzji. Gdy wreszcie, następnego lata, posłał piłkę z furkotem do góry, jakby dokładnie wiedziała, gdzie ma się udać. Oni również wiedzieli: wskroś długich chaszcz, przez wilgotną buczynę i oślizły przełaz na trawiastą pochyłość. Wrzeszczeli w gorące powietrze i z łomotem opadli na plecy. Jean szukała na niebie samolotów. Wodziła szeroko otwartymi oczami, niemal wychodziły jej z orbit. Żadnych chmur, żadnych samolotów: jakby wystraszyły się hałasu. Nic, prócz błękitu.

- Chyba pozwolę sobie na *free drop* - powiedział Leslie. Nie szukali piłki ani po drodze do lasu, ani w drodze powrotnej.

Gdy po raz trzeci urządzili sobie wrzaski, nadleciał samolot. Jean nie zauważyła go, gdy krzyczeli wniebogłosy, lecz gdy leżeli zdyszani, a chmury szarpały za postronki. Zarejestrowała odległy bzyk. Zbyt regularny, jak na owada, zarazem bliski i daleki. Wyłonił się, na krótko i z większym hałasem, pomiędzy dwiema chmurami, zniknął, pojawił znowu, po czym zmierzał powoli ku horyzontowi, tracąc wysokość. Wyobraziła sobie pucułowate silniki, świszające zastrzały i dzieci opatulone jak przesyłki pocztowe.

- Gdy Lindbergh leciał nad Atlantykiem - skomentował Leslie z odległości kilku stóp - miał ze sobą pięć kanapek. Zjadł tylko półtorej.

- Co się stało z resztą?

- Jaką resztą?

- Z pozostałymi trzema i pół.

Wujek Leslie podniósł się; wyglądał na zachmurzonego. Może nie wolno jej było się odzywać, choć nie szli alejką. Gdy grzebali w orzeszkach bukowych, tym razem szukając piłki, odezwał się burkliwie:

- Pewnie są w muzeum kanapek.

Muzeum kanapek, zastanawiała się Jean: czy rzeczywiście jest coś takiego? Ale wiedziała, że nie należy więcej o nic pytać. Następane dwa dołki wprawiły Lesliego w lepszy nastrój. Przy siedemnastym, łypnąwszy okiem w górę i w dół alejki, znów uderzył w konspiracyjny ton.

- Zagramy w Sznurówki Trzewików?

Nigdy wcześniej nie słyszała o tej grze, lecz zgodziła się bez wahania.

Wujek Leslie bez żenady posłał piłkę w ugor. Gdy tam doszli, schylił się i zdjął swe białobrazowe meszty. Skrzyżowane końcówki sznurówek ułożył wewnątrz buta, spojrzął na nią i skinął głową. Zdjęła czarne półbuty i zrobiła to samo. Patrzyła, jak z komiczną powagą Leslie wsuwa najpierw palce, potem całe stopy z powrotem do butów. Zrobiła to samo. Mrugnął okiem, uklęknął na jedno kolano jak konkurent do ręki, klepnął ją w łydkę, po czym powoli wyciągnął obie sznurówki spod miękkiego podbicia jej lewej stopy. Jean zachichotała. Uczucie było cudowne. Z początku trochę łaskotało, potem jeszcze bardziej, aż fala rozkoszy przeszła jej aż do żołądka. Zamknęła oczy, a wujek Leslie poszarpując zawadiacko, wydobyl sznurówki spod jej prawej stopy. Z zamkniętymi oczami było jeszcze przyjemniej.

Przyszła kolej na niego. Kucnęła u jego stóp. Z tej odległości buty zdawały się ogromne. Skarpetki odrobine woniały stodołą.

- Po jednej, proszę - szepnął. Uchwyciła pierwszą sznurówkę blisko oczka. Pociągnęła, lecz bez skutku. Pociągnęła jeszcze raz, mocniej. Stopa mu drgnęła, a sznurówka nagle wysunęła się.

- Źle - powiedział. - Za szybko. Włóż z powrotem. Uniósł stopę, a ona wcisnęła długą brązową sznurówkę do buta, pod wilgotną skarpetkę. Pociągnęła jeszcze raz, bardziej jednostajnie. Sznurówka wysunęła się lekko i powoli, a z milczenia w górze dziewczynka wydedukowała, że tym razem się udało. Jedna po drugiej, pociągnęła za końcówki trzech pozostałych sznurówek. Poklepał ją po głowie.

- Chyba metalowa siódemka \*, jak sądzisz? Podbić, szarpnąć do góry i będzie cacy.

- Już nie gramy?

- A, w to? Nie, już koniec. - Przymierzył się do piłki, szurnał nogami, jakby sznurówki były nadal wewnątrz butów i luznymi nadgarstkami zakołysał kijem. - Akumulatory muszą się z powrotem naładować.

Skinęła głową. Posunął piłkę kilka cali dalej, na bardziej mechatą kępę trawy, znów przez chwilę ustawił stopy, strzelił w kierunku chorągiewki i ruszył alejką.

- Sznurówki! - krzyknął do tyłu, a ona schyliła się, by je zawiązać.

Grywali jednak później, i to dość często, w Sznurówki Trzewików. Nie zawsze w Starym Zielonym Raju; czasem pokątnie i na chybیکا w domu. Obowiązywały zawsze te same reguły: najpierw wujek Leslie wyciągał po dwie sznurówki naraz z jej butów, potem ona po jednej z jego. Kiedyś próbowała zagrać bez wujka, ale to nie było to samo. Zastanawiała się, czy od tej zabawy można się rozchorować. Od wszystkiego, co miłe, można się było rozchorować. Od czekolad, ciastek, fig. Od wrzeszczenia dostawało się koklusz. Na co zachoruje od gry w Sznurówki Trzewików?

Zapewne już wkrótce znajdzie na to odpowiedź. A potem, gdy dorośnie, znajdzie inne odpowiedzi. Na takie i owakie pytania. Jaki wybrać kij? Czy jest muzeum kanapek? Dlaczego Żyd nigdy nie będzie prawdziwym golfiarzem? Czy ojciec się bał w De Havillandzie, czy tylko koncentrował? Czy tylko Mussolini był nie w ciemni bity? Dlaczego jedzenie wygląda zupełnie inaczej, gdy wychodzi z drugiego końca? Jak palie papierosa, żeby nie spadł popiół? Czy do nieba idzie się kominem, jak w sekrecie podejrzewała? I dlaczego norka wykazuje patologiczną żywotność?

Jean nie rozumiała nawet, o co w tym ostatnim zdaniu chodzi, lecz z czasem być może odkryje, na czym polega pytanie, a potem znajdzie odpowiedź. O norkach wiedziała z rycin cioci Evelyn. Było ich dwie, pozostawione wiele lat wcześniej z niezrealizowanej kolekcji, przenoszone ze ściany na ścianę. Ostatecznie znalazły się w pokoju Jean. Ojciec miał wątpliwości, czy jedna z nich pasuje do pokoju dziecka, lecz matka była zdania, że ryciny Evelyn muszą wisieć razem.

Obrazek poziomy pokazywał dwóch mężczyzn w lesie, w staromodnych ubraniach i kapeluszach. Mężczyzna z brodą trzymał za kark fretkę. Drugi, bez brody, opierał się na strzelbie. U jego stóp leżał stos martwych fretek. Tyle tylko, że nie były to fretki, gdyż obrazek zatytułowany był „*Polowanie na norki*”. Pod spodem był tekst, który Jean przeczytała wiele razy.

„Norka, podobnie jak piźmoszczur i gronostaj, nie odznacza się przesadnym sprytem, toteż łatwo ją schwytać w różnego rodzaju samolówki. Łapie się we wnyki i sidła, lecz najczęściej wpada w tak zwany potrzask. Wabi ją każdego rodzaju mięso, lecz zazwyczaj w formie przynęty mieliśmy do czynienia z głową głuszca, dzikiej kaczki, kury, sójki czy innego ptaka. Norka charakteryzuje się patologiczną żywotnością, wskutek czego widywaliśmy ją w potrzasku przygniecioną ciężarem 150 funtów, pod którym zmagala się ze śmiercią od prawie doby.”

„Patologiczna żywotność” nie była jedynym fragmentem, którego na razie nie rozumiała. Co to jest głuszc? Albo piźmoszczur? Wiedziała, co to jest dzika kaczka, para sojek torowała zeszłej wiosny w buczynie przy czternastym dołku, kurę jadali w niedzielę na obiad, gdy ojciec wyświadczył klientowi przysługę. Pani Baxter przychodziła rano ją oskubać, po czym wracała koło piątej po nóżkę, zawiniętą w natłuszczony papier. Ojciec Jean lubił dowcipkować na temat pani Baxter, gdy wycinał w drewnie. Jego córka chichotała, a żona krzywiła się.

- Czy pani Baxter dostaje też głowę? - spytała kiedyś Jean.

- Nie, córeczko. Czemu pytasz?

- A co robicie z głową?

- Wyrzucamy do kosza.

- Nie powinniście zostawić i sprzedać łowcom nerek.

- Jakoś nigdy się u nas nie pokazują - odparł jowialnie ojciec.

Na obrazku pionowym stała oparta o drzewo drabina, z namalowanymi na szczeblach słowami. PRACOWITOŚĆ, mówił dolny szczebel; UMIARKOWANIE, mówił drugi, choć tak naprawdę mówił tylko UMIARKOWAN, gdyż dwie ostatnie litery zasłaniało kolano wchodzącego po drabinie człowieka. Następnie szła ROZTROPNOŚĆ, PRAWOŚĆ, GOSPODARNOŚĆ, PUNKTUALNOŚĆ, ODWAGA i, na górnym szczeblu, WY-TRWAŁOŚĆ. Na pierwszym planie ludzie ustawili się w kolejce do wchodzenia na drzewo, z którego liści zwieszane były banki choinkowe pomalowane w kolejne słowa, takie jak: „Szczęście”, „Honor”, „Łaska Boża” i „Dobra Wola”. W głębi tłoczyli się ludzie, którzy nie mieli ochoty wchodzić na drzewo; oddawali się grom hazardowym, oszustwu, strajkowali bądź wchodzili do wielkiego budynku o nazwie Giełda.

Jean rozumiała ogólną intencję obrazka, choć czasem bezmyślnie myliła drzewo z Drzewem Wiadomości, o którym była mowa w Piśmie Świętym. Na Drzewo Wiadomości nie powinno się wchodzić, a na drzewo z obrazka powinno, choć nie do końca rozumiała wszystkie słowa na szczeblach, jak również te dwa na częściach pionowych: pierwsze z nich brzmiało MORALNOŚĆ, a drugie UCZCIWOŚĆ. Sądziła, że niektóre ze słów rozumie. Uczciwość znaczyła, że obrazki cioci Evelyn mają wisieć razem i że nie należy przesuwając piłki w korzystniejsze miejsce, gdy nikt nie patrzy; punktualność znaczyła, żeby się nie spóźniać do szkoły; gospodarność to to, co ojciec robił w sklepie, a matka w domu; a odwaga - odwaga to latanie samolotami. Z czasem na pewno zrozumie pozostałe słowa.

\*\*\*

Jean miała siedemnaście lat, gdy wybuchła wojna i wydarzenie to sprawiło jej ulgę. Nic nie było już na jej głowie. Nie potrzebowała już czuć się winna. W ciągu poprzednich kilku lat ojciec wziął na swe ramiona cały ciężar rozmaitych kryzysów politycznych. Był to w końcu jego obowiązek jako Głowy Rodziny. Czytał im wiadomości w „Daily Express”, przerywając po każdym ustępie i tłumaczył im biuletyny radiowe. Jean często miała odczucie, że ojciec jest właścicielem

małego zakładu rodzinnego, któremu zagraża zgraja cudzoziemców o egzotycznych nazwiskach, stosujących bezprawne metody handlowe i drapieżnie konkurencyjne ceny. Jej matka umiała właściwie zareagować na każdą informację z gazety. Znała wszystkie nieartykułowane dźwięki, jakie należy z siebie wydać, gdy pojawi się nazwisko Benesa, Daladiera czy Litwinowa, wiedziała, kiedy najlepiej rozłożyć bezradnie ręce i poprosić ojca, by wyjaśnił wszystko od początku. Jean usiłowała wzbudzić w sobie ciekawość, lecz brzmiało to jak opowieść, która zaczęła się dawno temu, jeszcze przed jej narodzinami, i której nigdy do końca się nie nauczy. Z początku nie odzywała się, słysząc nazwiska tych złowrogich zagranicznych biznesmenów z ciężarówkami pełnymi skradzionych herbatników ziołowych i złapanych bezprawnie w sidła bażantów. Nawet milczenie nie było jednak bezpieczne - wskazywało, że nie jest odpowiednio zatroskana - więc niekiedy zadawała pytania. Problem tkwił w tym, iż nie wiedziała, o co pytać. Wydawało się jej, że właściwie pytanie można zadać tylko znając z góry odpowiedź, a w takim razie jaki w tym sens? Kiedyś, otrząsnąwszy się ze znużonego rozmarzenia, spytała ojca o tę nową panią premier Austrii, Ann Schlus. To był błąd.

Wojna jest oczywiście męską sprawą. Mężczyźni prowadzą wojnę, mężczyźni ją wyjaśniają, wystukując popiół z fajki jak wychowawcy szkolni. Co kobiety zrobiły podczas pierwszej wojny? Rozdawały białe pióra, obrzucały kamieniami jamniki, jechały do Francji pielęgnować rannych. Najpierw posłały mężczyzn w bój, potem ich zszywały do kupy. Czy tym razem cokolwiek się zmieni? Raczej nie.

Jean odniosła jednak wrażenie, że przez swą niezdolność do zrozumienia europejskiego kryzysu politycznego przyczynia się do jego kontynuacji. Czowała się winna za Monachium. Czowała się winna za Sudety. Czowała się winna za hitlerowsko-radziecki pakt o nieagresji. Żeby jeszcze mogła sobie przypomnieć, czy wolno ufać Francuzom, czy nie. Czy Polska jest ważniejsza niż Czechosłowacja? I o co chodzi w tej całej sprawie z Palestyną? Palestyna leży na pustyni i Żydzi chcą tam jechać. To przynajmniej potwierdza zdanie wujka Leslie o Żydach: że nie lubią grać w golfa. Nikt, kto lubi grać w golfa, nie zdecydowałby się mieszkać na pustyni. Tor nie może się składać wyłącznie z piaskownicy.

Tak więc, kiedy zaczęła się wojna, Jean poczuła ulgę. Wszystkiemu winien jest Hitler, ona nie ma z tym nic wspólnego. Poza tym coś się zaczęło dziać. Wojna liczyła się za kolejny Incydent: tak na to z początku patrzyła. Mężczyzn wzięto do poboru, matka wstąpiła do kobiecych służb pomocniczych, a Jean wolno było wreszcie obciąż szeroki słomkowo-brązowy warkocz, który przez tyle lat opadał jej na plecy. Ojciec odżałował tę egzekucję, przekonał go argument, że oszczędność na mydle i wodzie znacząco wspomogła działania wojenne. W przypływie cikliwości poprosił o odcięty warkocz i trzymał go na półce w szopie przez kilka tygodni, póki matka nie wyrzuciła tej pamiątki.

Rodzice, w tajemnicy przed córką, zastanawiali się, czy powinna iść do pracy. Uznali jednak, że będzie lepiej, gdy po wstąpieniu matki do służb pomocniczych Jean będzie prowadzić dom.

- Przyda ci się to na przyszłość, moja dziewucho - powiedział ojciec i mrugnął okiem. Przyda się na przyszłość; nie miała jednak pojęcia, do czego. Gdy patrzyła na rodziców, ogarniało ją przerażenie, jak bardzo są dorośli. Hę czasu upłynie, zanim ona będzie taka dorosła?

Znali swe własne umysły; mieli przekonania; potrafili odróżnić, co jest słuszne, a co niesłuszne. Żeby ona wiedziała, co jest słuszne, a co nie! Trzeba jej było wiele razy powtarzać; jej przekonania były ruchliwe jak wystraszone kijanki, w porównaniu ze skrzeczącymi donośnie żabami przekoń jej rodziców; natomiast znajomość swego własnego umysłu wydawała się jej przedziwnym zjawiskiem. Jak można poznać własny umysł nie używając do tego celu własnego umysłu? Pies goniący za swym uciętym ogonem. Sama myśl o tym przyprawiała ją o zawrót głowy.

Dorastanie polegało też na tym, żeby na kogoś wyglądać. Jej ojciec, który prowadził sklep spożywczy w Bryden, wyglądał na człowieka, który prowadzi sklep spożywczy: był korpulentny i zadbany, podtrzymywał rękawy opaskami elastycznymi i robił wrażenie człowieka uprzejmego, lecz mającego w zanadrzu surowość człowieka, który wie, że funt mąki to funt mąki, a nie piętnaście uncji, który nie patrząc na etykiety wie, w jakim pudełku są jakie herbatniki, który może trzymać dłoń blisko, bliźniutko maszyny do cięcia bekonu, nawet nie zadrasnawszy sobie skóry.

Matka Jean też wyglądała na kogoś, z jej spiczastym nosem i raczej wyłupiastymi niebieskimi oczami, z włosami upiętymi w kok do bordowo-butelkowo-zielonego munduru służb pomocniczych, rozpuszczonymi wieczorem, gdy słuchała ojca i dokładnie wiedziała, jakie zadawać pytania. Brała udział w zbiórkach złomu, których żniwem były tysiące blaszanych puszek; całymi tygodniami przyszywała skrawki kolorowego płótna do sieci kamuflażowych (-Tak, jakbym zszywała olbrzymi dywan, Jean); zwijała papier w bele, pracowała w kantynie polowej, pakowała kosze z żywnością dla saperów. Nic dziwnego, że znała swój własny umysł; nic dziwnego, że wyglądała na kogoś.

Jean wpatrywała się czasem w lustro, szukając oznak zmian, lecz jej proste włosy leżały smutne i przylizane na głowie, a błękit oczu szpeciły głupawe plamki. W „Daily Express” ktoś napisał, że wiele gwiazd hollywoodzkich zawdzięczało sukces twarzom w kształcie serca. Niestety na to nie było już nadziei - miała zbyt kanciastą szczękę. Żeby tylko różne części jej twarzy zaczęły wyglądać bardziej spójnie. No, szybciej trochę, szeptała czasem do lustra. Matka złapała ją kiedyś na tych oględzinach i powiedziała:

- Nie jesteś piękna, ale będą z ciebie ludzie.

Będą ze mnie ludzie, pomyślała. Moi rodzice mówią, że będą ze mnie ludzie. Ale czy ktokolwiek inny tak pomyśli? Tęskniła za wujkiem Lesliem. Teraz nie wolno o nim było rozmawiać, ale często o nim myślała; zawsze był po jej stronie. Kiedyś, gdy szli wzdłuż długiego dziesiątego w Starym Zielonym Raju, Jean, niosąc metalowy kij do piasku w pozycji na szczęście, spytała:

- Co będę robić, gdy dorosnę?

Pytanie wydawało się naturalne, przecież on powinien wiedzieć lepiej niż ona. Wujek Leslie, w swych białobrązowych mesztach, z postukującymi kijami golfowymi w torbie, uchwycił głowicę metalowego kija na jej ramieniu i ruszał nim na boki. Potem objął ją za szyję.

- Co tylko sobie zamarysz, moja mała - powiedział.

Z początku na wojnie niewiele się działo, lecz potem rozkręciło się i ludzie ginęli. Jean zaczęła lepiej rozumieć, na czym polega wojna, kto usiłuje wysiadać ojca z interesu i jak nazywają się jego podejrzani współnicy. Wrzała oburzeniem na tych obcokrajowców z ich nędznymi sztuczkami. Przed oczyma miała naciskający na szalkę wagi tusty kciuk z brudnym paznokciem. Może powinna się przyłączyć do walki. Ojciec uważał jednak, że więcej dobrego robi na miejscu.

- Dmuchaaj w ognisko domowe - powiadał.

I wtedy wojna przyniosła Tommy'ego Prossera. Był to niewątpliwie Incydent. Zawiadomienie o jego zakwaterowaniu przyszło któregoś wtorku, środę spędzili na narzekaniach, że już w trójkę jest ciasno, a co dopiero w czwórce, a w czwartek przybył Tommy Prosser. Był niskim, szczupłym mężczyzną w mundurze RAF-u, z czarnymi

upomadowanymi włosami i czarnym wąsikiem. Walizka, którą miał pod pachą była spięta skórzanym pasem. Spojrzał z ukosa na Jean otwierając mu drzwi, po czym odwrócił wzrok, uśmiechnął się do ściany i zameldował jak do zwierzchnika:

- Sierżant lotnictwa Prosser.
- Tak, tak. Było napisane.
- Bardzo miło z państwa strony i w ogóle.

Jego ton był pozbawiony wyrazu, lecz obcy akcent z północy brzmiał dla uszu Jean skrzekliwie, przywodził na myśl zgrzebną koszulę.

- Tak, tak. Mama wraca o piątej.
- Chce pani, żebym przyszedł później?

- Nie wiem. - Czemu nigdy nic nie wie? Będzie z nimi mieszkał, więc chyba rozsądnie byłoby zaprosić go do środka. Ale co potem? Czy powinna zrobić mu herbaty?

- Nie ma problemu. Wróć o piątej. - Spojrzał na nią, odwrócił wzrok, uśmiechnął się do ściany i poszedł. Przez okno w kuchni Jean ujrzała go siedzącego po drugiej stronie drogi, wpatzonego w walizkę. O czwartej zaczęło padać, więc zaprosiła go do środka.

Przysłano go z jednostki w West Mailing. Nie, nie wie, na jak długo. Nie, nie może jej powiedzieć, dlaczego. Nie, nie Spitfire, tylko Hurricane. O rany, już zadaje nie te pytania, co trzeba. Pokazała na schody prowadzące do jego pokoju, niepewna, czy będzie ładniej z nim nie pójść, czy też obcesowo mu towarzyszyć. Prosserowi było chyba wszystko jedno. Prócz nazwiska, z własnej woli nie udzielił żadnych informacji, nie zadał żadnych pytań, nie zgłosił żadnych uwag, nie powiedział nawet, jak pięknie wszystko posprzątane i wypachnione. Dali mu klitkę. Oczywiście, nie było czasu jej ozdobić, powiesili tylko na ścianie obrazki cici Evelyn.

Spędzał większość czasu w pokoju, schodził tylko regularnie na posiłki i odpowiadał na pytania ojca. Dziwnie było mieć dwóch mężczyzn w domu. Z początku ojciec odnosił się do sierżanta lotnictwa Prossera uniżenie. Taktownie i z podziwem wypytywał o lotniczą dolę, z braterską pogardą wyrażał się o „Szwabach” i żartobliwie instruował matkę, by „dała dokładkę naszemu bohaterowi stratosfery”. Prosser wyraźnie jednak nie odpowiadał na pytania ojca w tym samym duchu. Dokładki przyjmował bez wylewnych podziękowań, których matka się spodziewała, a chociaż z ochotą pomógł zawiesić zaciemniające kotary na czas nalotów, do dyskusji o strategii północnoafrykańskiej wcale się nie zapalał. Dla Jean było jasne, że Prosser rozczarował ojca. Jasne było dla niej także, iż wie o tym i wcale mu to nie przeszkadza. Być może nie zadają mu jeszcze właściwych pytań. A może rzecz w tym, że pochodzi z innych stron: powiedział, że spod Blackburn w Lancashire. Może tam ludzie inaczej się zachowują.

Czasem, gdy byli sami w domu, Prosser schodził na dół, opierał się o drzwi kuchni i patrzył, jak ona prasuje, piecze chleb bądź czyści do połysku noże. Z początku była zakłopotana, później przyzwyczaiła się. Mając świadka swej gospodarskiej krzątania czuła się pożyteczniejsza. Pod nieobecność rodziców rozmowy nie były jednak łatwiejsze. Nie zawsze podpowiadał na pytania. Potrafił się zezłościć. Czasem odwracał po prostu wzrok i uśmiechał się, jakby przypominając sobie jakiś powietrzny manewr, którego ona nie jest w stanie zrozumieć.

Pewnego dnia, gdy czyściła piec, oświadczył ponuro:

- Odsunęli mnie od lotów.

Podniosła głowę, lecz zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, ciągnął dalej.

- Nazywali mnie Wstań-Słońce. Prosser Wstań-Słońce.

- Rozumiem. - Taka odpowiedź zdawała się bezpieczna. Jean powróciła do czyszczenia wnętrza pieca brązową pastą. Prosser poszedł do swojego pokoju.

Przez kilka tygodni atmosfera w domu była niewyraźna. Zupełnie jak wojna nerwów, tyle że prawdopodobnie nie dojdzie do działań zaczepnych. Nie doszło. Ojciec coraz częściej dzielił się swymi poglądami na sprawy militarne tylko z matką, a niekiedy sugerował Jean, że jeżeli mieszka się z kimś pod jednym dachem, to nie znaczy, że trzeba się zaprzyjaźnić. Wystarczy być uprzejmym.

\*\*\*

Pewnego popołudnia Tommy Prosser zszedł na dół o czwartej. Jean parzyła herbatę.

- Coś przekąsimy? - spytała, dalej niepewna, czy przepisy mu na to pozwalają.

- Może kanapkę Alarm Odwołany?

- Co takiego?

- Nigdy nie słyszałaś o kanapce Alarm Odwołany? Potrząsnęła głową.

- Gdzie ty żyjesz, dziewczyno. Zajmij się herbatą, a ja przyszykuję. - Postukawszy drzwiczkami od kredensu i pogwizdawszy tyłem do niej, Prosser zaprezentował dwie kanapki na talerzu. Chleb nie wyglądał na pokrajany pewną ręką. Jean musiała przyznać, że jadła w życiu wiele smaczniejszych kanapek. Chciała, aby słowa zabrzmiały życzliwie, lecz zarazem krytycznie.

- Co w mojej robią liście dmuchawca?

- Bo to jest kanapka Alarm Odwołany. Pasta rybna, margaryna i liście dmuchawca. Oczywiście, jakoś surowca może być różna. Jeżeli ci nie smakuje, możesz odesłać z powrotem do kuchni.

- Bardzo dobra. Jestem pewna, że się przyzwyczaje.

- Jestem pewien, że będę latał - odparł, jakby puentował dowcip.

- Oczywiście, że będziesz latał.

- Oczywiście, że będę latał - powtórzył z nagłym sarkazmem, jakby miał ochotę ją uderzyć. O rany. Jean zrobiło się głupio i wstyd. Gapiła się w talerz. Zapadła cisza.

- Wiedziałaś, że kiedy Lindbergh leciał nad Atlantykiem, zabrał ze sobą pięć kanapek?

Prosser prychnął.

- I że zjadł tylko półtorej?

Prosser znów prychnął. Bez wyraźnego zainteresowania w głosie spytał:

- Co się stało z resztą?

- Zawsze chciałam to wiedzieć. Pewnie są w jakimś muzeum kanapek.

Zapadła cisza. Jean czuła, że zmarnowała anegdotę. Zmarnowała jedną ze swoich najlepszych anegdot. Drugi raz już mu jej nie opowie. Należało ją zachować na chwilę, gdy Prosser będzie w lepszym humorze. To jej wina. Cisza trwała.

- Przypuszczam, że wiesz, gdzie jest aeroplan Lindbergha - powiedziała w końcu miłym głosem kogoś, kto brał lekcje konwersacji. - Kanapka kanapką, ale to już chyba musi być w muzeum.

- Nie mówi się aeroplan - powiedział Prosser. - Mówi się samolot. Samolot. Tak?

- Tak - odparła. Jakby jej dał w twarz. Samolot, samolot, samolot.

Prosser chrząknął wreszcie, sygnalizując przejście od gniewu czy zakłopotania do jakiegoś innego uczucia.

- Opowiem ci o najpiękniejszej rzeczy, jaką kiedykolwiek widziałem - powiedział napiętym, niemal naburmuszonym głosem. Jean, na poły spodziewając się jakiegoś wielkiego komplementu, trzymała głowę pochyloną. Nadal nie zjadła do końca kanapki.

- Byłem na nocnej misji. Lato - czerwiec. Osłona odsunięta, wszędzie ciemno, cisza. To znaczy cisza o tyle o ile. - Jean uniosła głowę. - Było... - przerwał. - Wiesz, na czym polega widzenie w ciemnościach? - Tym razem głos brzmiał przychylnie. Miała prawo nie wiedzieć. To nie to samo, co nazwać samolot aeroplanem.

- Jecie dużo marchewki - powiedziała i usłyszała, że rechocze.

- Tak, jemy. Czasem tak nas nazywają, marchewkojadą. Ale tu nie o to chodzi. To kwestia techniczna. Kwestia koloru światełek na tablicy rozdzielczej. Muszą być czerwone. Normalnie są zielone i białe, ale zieleń i biel uniemożliwiają widzenie w ciemnościach. Muszą być czerwone; tylko przy czerwonym coś widać.

- No więc tak, wszystko jest czarne i czerwone. Noc jest czarna, samolot jest czarny, a w kabinie czerwono; nawet ręce i twarz robią się czerwone. Rozglądałam się za czerwonymi płomieniami spalin. Jestem sam. To jest najlepsze. Sam samiuteńki nad Francją. Ich bombowce wracają z misji, zbombardowały nas. Krążę wokół któregoś z ich lotnisk albo kursuję między dwoma, jeśli są na tyle blisko siebie. Czekam, aż się zapalą światła lądowania, czasem się zorientuję po nawigacyjnych. Heinkel albo Dornier, z reguły. Czasem się trafi FockeWulf.

- Mogę zrobić tak. Przy lądowaniu zawsze robiły koło. Po kolei: utrata wysokości, podejście, przelot nad pasem startowym, koło w lewo, jeszcze raz podejście i lądowanie. - Lewą ręką Prosser naszkicował tor lotu niemieckiego bombowca. - Mogę zrobić tak. Jeśli się czuję trochę bezczelny, mogę podejść mniej więcej jednocześnie i gdy on będzie robił koło w lewo, ja zrobię koło w prawo. - Drugą ręką Prosser przeszedł tor lotu Hurricane'a.

- No i facet wykręca koło, podwozie spuszczone, minimum prędkości manewrowej, wychodzi na prostopadłą do pasa lądowego i myśli już tylko o końcówce skrzętu i bezpiecznym posadzeniu maszyny, ja też wychodzę na prostopadłą do pasa lądowego. - Zwinięte dłonie Prosser a zatrzymały się naprzeciw siebie, z palców prawej dobywała się kanonada. - Ta, ta, ta! Wystawiony jak na tacy. A myśleli sobie, skurwiele, że już są w domu. Kłusowanie, tak to nazywaliśmy.

Jean pochlebiała, że opowiada jej o swych podniebnych wyczynach, lecz zachowała to dla siebie. Zachowała dla siebie również wrażenie, że kłusowanie jest nieuczciwe. Nawet, jeśli Heinkel miał na pokładzie zgraję spekulantów, którzy wracali z bombardowania Londynu, Coventry czy innego miasta. Nie akceptowała kłusowania, odkąd w jej pokoju znalazł się obrazek cioci Evelyn z łowcami norek. Dobrze, że powiesili go u Prossera. Czy Heinkel przejawia patologiczną żywotność?

- Jak się udało zestrzelić jednego, brało się nogi za pas. Robiło się zbyt gorąco. Poza tym paliwa zostawało i tak tylko na dwadzieścia minut. - Opowieść Prossera zdawała się dobiegać końca, lecz nagle przypomniał sobie, do czego zmierzał. - Aha, no i jednej nocy nic się nie napatoczyło. Wroga ni śladu. Leciałem nad Kanałem wyżej niż zwykle, gdzieś na osiemnastu tysiącach. Chyba zabawiłem dłużej, niż powinienem, bo zaczynało świtać. A może noce były coraz krótsze.

- W każdym razie lecę, patrzę na morze, a tu zaczyna wychodzić słońce. Poranek był z tych, co... ciężko to opisać komuś, kto nigdy nie był w górze.

- Leciałam kiedyś De Havillandem, jak miałam koklusz - powiedziała Jean z niejaką dumą. - Ale to było dawno. Miałam osiem albo dziewięć lat.

Prosser nie obraził się, że mu przerwała.

- Jest tak czysto, że aż trudno to wyrazić. Żadnych chmur, rześkie poranne powietrze, no i wylazi to wielkie pomarańczowe słońce. Przyglądałam się, a tu po paru minutach było już całe na wierzchu; wielki plasterek pomarańczy siedzi na szklance cały zadowolony z siebie.

- Byłem taki rozanielony, że mógłbym mieć „stodziewiątkę” na ogonie i nic bym nie zauważył. Samolot sobie, a ja gapię się pod słońce. No to się dobrze rozejrzałem. Nic, tylko ja i słońce. Ani śladu chmury, widoczność aż po horyzont. Płynął statek, taki tyci, a dymił jak najęty, więc myślałem, że się pali. Sprawdziłem paliwo i zszedłem w dół zbadać sytuację. Towarowy. - Prosser zmrużył oczy przypominając sobie szczegóły. - Mniej więcej dziesięcioletnik. W każdym razie wszystko było w porządku. Pewnie dolożyli do pieca. Wziąłem znowu kurs na bazę. Zszedłem chyba do połowy wysokości, na osiem albo dziewięć tysięcy. I wiesz co się stało? Zszedłem tak szybko, że wszystko powtórzyło się jeszcze raz: to cholernie wielkie pomarańczowe słońce znów wyprysnęło spod horyzontu. Nie wierzyłem własnym oczom. Wszystko od początku. Jakby cofnąć film i obejrzeć jeszcze raz. Zrobiłbym to trzeci raz i zszedł na zero, ale nie chciałem wpaść do szklanki. Nie zdążyłbym przerobić maszyny na okręt podwodny.

- Cudowna historia. - Jean nie była pewna, czy wolno jej zadawać pytania. Czuli się trochę jak w Starym Zielonym Raju z wujkiem Leslie. - Za czym... za czym jeszcze tęsknisz?

- O nie, za tym nie tęsknię - odpowiedział dość nieuprzejmie. - Nie ma sensu oglądać tego jeszcze raz. Cud się zdarzył i tyle, po co wracać i oglądać cuda jeszcze raz. Cieszę się, że to wtedy zobaczyłem i dość na tym. „Widziałem, jak słońce weszło dwa razy”, mówię do nich. „Ależ oczywiście, częstuj się”. Mówili na mnie: Prosser Wstań-Słońce. Przynajmniej niektórzy. Dopóki mnie nie zdjęli.

Wstał i bez pytania chapnął drugie pół kanapki z jej talerza.

- Skoro już pytasz - powiedział z naciskiem - to tęsknię za zabijaniem Niemców. Sprawiało mi to przyjemność. Zaganić ich w dół, żeby nie było miejsca na położenie się na skrzydle, a potem dać im popalić. Miałem z tego mnóstwo satysfakcji. - Prosser wyraźnie chciał być brutalny. - Wdałem się kiedyś w utarczkę ze „stodziewiątką” nad Kanałem. Był trochę zwrotniejszy, ale ogólnie trafił swój na swego. Zachodziliśmy się ze wszystkich stron, ale nie zdarzyła się pozycja do strzału. Po jakimś czasie oderwał się, pomachał skrzydłami i odleciał do bazy. Gdyby nie pomachał skrzydłami, tobym się nie przejmował. Co sobie, sukinsynu, wyobrażasz? Że jesteś rycerz niezłomny? Etykieta, honor i braterstwo broni?

- Nabrałem trochę wysokości. Nie było słońca, żeby móc podejść nie zauważony, ale chyba się nie spodziewał, że go będę ścigał. Spodziewał się, że grzecznie polecę do domu, najem się zdrowo i pójdę grać w golfa. Stopniowo zaczynałem się do niego zbliżać. Pewnie oszczędzał paliwo albo coś. Gdy go dopadłem, zasuwałem jak pociąg towarowy. Dałem mu jakieś osiem sekund i zacząłem strzelać. Poszły mu wióry ze skrzydła. Nie strąciłem go, więc trochę żal bierze,

ale chyba się zorientował, co o nim sądzą.

Prosser Wstań-Słońce obrócił się i wymaszerował z pokoju. Jean wydłubała językiem z zębów kawałek dmuchawca i męła w ustach. Miała rację. Kwaskowe.

Prosser nabrał odtąd zwyczaju, by schodzić na pogawędki. Z reguły Jean nie odrywała się od czynności kuchennych, a on stał oparty o drzwi. Tak było dla nich obojga zrzęcznie.

- Byłem w Eastleigh - rozpoczął kiedyś, gdy ona kuciała przy piecu i związała „Express” na podpałkę. - Patrzyłem jak startuje Skua. Trochę wiało, ale za słabo, żeby odwołać loty. Skua, co zapewne jest dla ciebie nowością, startuje taką śmieszną techniką z ogonem w dół, pomyślałem, że popatrzę, będę miał uciechę. Jechał pasem startowym, zbliżał się do prędkości startowej, aż tu nagle zadarł dziób i przeokoziłkował na plecy. Nie wyglądało to bardzo groźnie, po prostu się wywrócił na dach. Pobiegliśmy w kilku przez lotnisko, myśląc, że ich wyciągniemy. W połowie drogi zobaczyliśmy coś na pasie. Była to głowa pilota. - Prosser spojrział w stronę Jean, ale ona siedziała tyłem do niego i dalej związała gazetę. - Podbiegliśmy jeszcze bliżej i zobaczyliśmy następną. To musiało się stać, gdy samolot koziłkował. Nie uwierzyłabyś, jak równiutko ucięło. Jeden z facetów, którzy ze mną biegli, nie mógł

o tym zapomnieć. Walijczyk, w kółko o tym gadał. „Jak z dmuchawcami, Prosser, no nie?” mówił do mnie. „Idziesz sobie przez dmuchawce i zamachujesz się kijem albo czymś, i myślisz sobie: trzeba sprytnie uderzyć, żeby poleciała cała główka i nie rozsypała się”. Tak mu się kojarzyło.

- Prześladowają cię zupełnie inne rzeczy, niż się można spodziewać. Zestrzelili mi kumpli, kilka metrów obok. Widziałem, jak wpadają w korkociąg, krzychałem do nich przez radio, wiedziałem, że się już nie wywiną, schodziłem z nimi w dół i widziałem, jak się rozbijają, i myślałem sobie: mam nadzieję, że mnie też ktoś tak odprowadzi, kiedy przyjdzie mój czas. Prześladowuje cię, kiedy nie ma w tym za cholere godności. Przepraszam. Człowiek sobie myśli: na mnie to też przyjdzie. I czasami prawie się z tym godzi, ale chce, żeby to się odbyło na jego warunkach. To się nie powinno liczyć, ale się liczy. Naprawdę się liczy.

- Słyszałem o jednym biedaku z Castle Bromwich. Oblatywał Spitfire’a. Wystartował i zaczął się wznosić prawie pionowo. Doszedł do jakichś piętnastu tysięcy i coś nawaliło. Z piętnastu tysięcy spikował z powrotem na lotnisko. Ciężko go było wygrzebać z ziemi. Potem musieli zbadać to, co z niego zostało, żeby sprawdzić, czy nie było tlenu węgla w butli z tlenem, czy coś, więc pobierali, co się dało i odesłali do analizy. Wsadzili to do słoika po dżemie. - Przerwał. - Takie rzeczy się liczą.

Jean nie do końca rozumiała, na czym polega zgroza sytuacji. Główki dmuchawca, słoiki po dżemie. Oczywiście, że nie ma w tym za dużo godności. Może dlatego, że to brzmi pospolicie, za mało podniosłe. Ale nie było też nic pięknego ani podniosłego, jeśli kogoś zestrzelili albo zderzył się ze zboczem góry, albo spłonął żywcem w kabinie. Może była zbyt młoda, żeby zrozumieć śmierć i związane z nią przesady.

- Według ciebie jak najlepiej... skończyć?

- Zastanawiałem się nad tym przez cały czas. Przez cały czas. Kiedy zaczęła się wojna, widziałem się gdzieś blisko Dover. Słońce, mowy, poczciwe białe urwiska świecą jak na filmie. No i lecę sobie, bez amunicji, paliwo na wykończeniu i nagle zjawia się cała eskadra Heinkelów. Jak wielkie stado much. Wkręciłbym się między nie, kadłub jak durszlak, wyszukałbym szefa eskadry i wpakowałbym się mu prosto w ogon. Spadlibyśmy obaj. Bardzo romantyczne.

- Brzmi bardzo odważnie.

- Nie, to wcale nie byłoby odważne, tylko głupie i mało użyteczne. Jedna nasza maszyna za jedną ich, to kiepski osiągnął.

- No a teraz? - Jean na poły zdziwiło jej własne pytanie.

- Teraz? Teraz mam wizję trochę bardziej realistyczną. I jeszcze mniej użyteczną. Teraz chciałbym skończyć tak jak wielu pilotów - zwłaszcza młodych - w trzydziestym dziewiątym i czterdziestym.

- To jedna z tych dziwnych rzeczy, które człowiek zauważa: że umiejętności przychodzą z doświadczeniem, ale najczęściej cię strąca właśnie przy zdobywaniu doświadczenia. Po zakończeniu misji najczęściej brakuje najmłodszych kumpli. Toteż im dłużej trwa wojna, starzy w eskadrze robią się coraz starsi, a młodzi coraz młodszy. Potem niektórych starych zdejmują się, bo są zbyt cenni i w sumie eskadra jest mniej doświadczona niż na początku.

- W każdym razie wyobraź sobie, że lecisz naprawdę wysoko. Powyżej 25 000 stóp to już jest inny świat. Po pierwsze, bardzo zimno. Samolot inaczej się zachowuje. Wspina się wolniej i tańczy po niebie, bo powietrze jest takie rzadkie, że stateczniki nie mają się czego trzymać, tak że przy każdym ruchu trzeba wziąć poprawkę. Potem szyba pokrywa się szronem i nie widać za dobrze.

- Masz za sobą mało misji, boisz się trochę i lecisz do góry. Wspinasz się prosto w słońce, bo myślisz, że tak jest najbezpieczniej. W górze jest dużo jaśniej niż zwykle. Kładziesz dłoń przed oczyma i powoli rozwierasz palce. Dalej się wspinasz. Patrzysz przez palce na słońce i zauważasz, że im bliżej słońca, tym zimniej. Powinno cię to martwić, ale nie martwi. Nie martwi, bo jesteś szczęśliwy. Jesteś szczęśliwy dlatego, że z butli wycieka tlen. Nie podejrzewasz, że coś jest nie tak. Reakcje masz spowolnione, ale sądzisz, że są normalne. Potem trochę słabnie; nie ruszasz już głową tyle, ile potrzeba. Nic cię nie boli, nie czujesz już nawet zimna. Nie chcesz już nikogo zabijać; to pragnienie wyciekło wraz z tlenem. Czujesz się szczęśliwy.

- A potem może się zdarzyć jedna z dwóch rzeczy. Albo dopadnie cię „stodziewiątko” i zaraz jest po wszystkim, czysto i schludnie. Albo też nic się nie dzieje, wspinasz się dalej w rzadkie, sine powietrze, wpatrzony przez palce w słońce, na oknie masz szron, ale w środku ci ciepło. Cały szczęśliwy i z kompletną pustką w głowie, aż wreszcie ręka ci opada, potem opada głowa i nawet nie zauważasz, że zapada kurtyna...

Cóż można na to odpowiedzieć, pomyślała Jean. Nie można krzyknąć „Nie rób tego!”, jakby Prosser był samobójcą na parapecie okna. Raczej nie można powiedzieć, że brzmiało to wszystko odważnie i pięknie, nawet jeśli dokładnie tak brzmiało. Trzeba poczekać, co powie dalej.

- Czasem myślę, że nie powinni mi pozwolić znów latać. Wyobrażam sobie, że któregoś dnia mógłbym to zrobić. Gdybym miał dość wszystkiego. Musiałbym to oczywiście zrobić nad morzem, żeby nie wylądować komuś na działce. Mógłbym mu przeszkodzić w kopaniu schronu przeciwlotniczego.

- To byłoby nieuprzejme.

- Tak, to byłoby bardzo nieuprzejme.

- No i... nie ma pan jeszcze dość wszystkiego? - Jean chciała zadać to pytanie łagodnie, ale w połowie chyba spanikowała i wyszło jej apodyktycznie i pewnie. Prosser natychmiast zaostrzył ton.



- Powiem ci, panienko, że umiesz słuchać, ale nic się nie znasz na rzeczy. Nic się nie znasz na rzeczy.  
- Ale przynajmniej wiem, że się nie znam - powiedziała Jean ku własnemu zdziwieniu. On chyba również się zdziwił, gdyż na powrót złagodził ton. Mówił dalej, jakby snuł marzenia.  
- Tam w górze jest naprawdę zupełnie inaczej. Komuś, kto latał tyle co ja, zdarza się, że kompletnie się wyłącza. Chyba coś z nerwami. Człowiek tak długo był spięty, że jak się na chwilę rozluźni, zdaje się to trwać wieki. Faceci ze statków powietrznych mogliby ci opowiedzieć naprawdę dziwne historie na ten temat.  
Czy miała ochotę słuchać dziwnych historii? Nie o stoikach po dżemie i dmuchawcach. Prosser nie zostawił jej jednak wyboru.

- Mój kumpel latał na Katalinach. Oni mogą być na służbie przez dwadzieścia, dwadzieścia dwie godziny. Pobudka o północy, śniadanie, start o drugiej rano, powrót o ósmej, dziewiątej wieczór. W sumie to tak, jakby się pół życia leciało nad tym samym kawałkiem morza. Nie trzeba nawet sterować, przez większość czasu lecieli na automatycznym pilocie. Tylko gapili się w morze, wypatrywali okrętów podwodnych i czekali na następną herbatę. I wtedy wzrok zaczyna płać drażek. Zdawało mu się, że widzi z przodu górę.

- Może to była jedna z tych chmur, które przypominają góry.  
- Nie. Kiedy już wyrównał lot i ochrzanił go za rozlanie herbaty, dobrze się rozejrzył dokoła. Nic, ani chmurki, widzialność po horyzont. Innemu facetowi zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Nigdy byś nie zgadła. Był o czterysta pięćdziesiąt mil od zachodniego wybrzeża Irlandii, leciał prosto przed siebie, patrzy w dół i co widzi? Widzi gościa na motocyklu, który zasuwa jakby było niedzielne popołudnie.

- W powietrzu?  
- Jasne, że nie. Nie zgrywaj się. Nie da się jechać na motorze w powietrzu. Nie, on przestrzegał przepisów ruchu i jechał prosto wierzchem fal. W goglach, skórzanych rękawicach, spaliny z rury wydechowej. Cały wesolutki.

Jean zachichotała.  
- Jazda po wodzie. Jak Jezus.  
- Tylko bez takich, proszę - powiedział Prosser z dezaprobatą. - Nie mam skłonności w tę stronę, ale nie bluźnij w obecności tych, którzy żyją na krawędzi.

- Przepraszam.  
- Masz odpuszczone.

\*\*\*

- Kim pan jest?  
- Policjantem.  
- Naprawdę?  
- Naprawdę.  
- Naprawdę naprawdę? Nie wygląda pan na policjanta.  
- Musimy być mistrzami kamuflażu, panienko.  
- Ale jeśli zbyt dobrze się pan zakamufluje, nikt nie będzie wiedział, że jest pan policjantem.  
- Da się poznać.  
- Po czym?  
- Podejdź trochę bliżej, to ci pokażę.

Stał przy porośniętej bluszczem furtce, z motywem wschodu słońca wykutym w górnej części. Ona szła właśnie betonową dróżką, sprawdzić, czy pranie wyschło. Był wysokim mężczyzną o mięsistej twarzy i szyi uczniaka. Stał niezgrabnie, a brązowy płaszcz w jodelkę sięgał mu niemal kostek.

- Stopy - powiedział, pokazując dłonią. Spojrzała. Nie, nie miał wielkich olbrzymich płaskich stóp. Można nawet powiedzieć, że były dość małe. Ale rzeczywiście coś w nich było dziwnego... Może poprzestawiane? Tak, obie stopy skierowane były na zewnątrz.

- Włożył pan lewy but na prawą nogę? - spytała trochę banalnie.  
- Ależ nie, panienko. Każdy policjant ma takie stopy. Takie są przepisy.

Nadał prawie mu wierzyla.  
- Niektórych rekrutów - powiedział głosem, w którym wyczuwało się atmosferę mrocznych lochów - trzeba operować.

Teraz już mu nie wierzyla. Zaśmiała się, a gdy teatralnie odplątał stopy pod przepastnym płaszczem, zaśmiała się po raz drugi.

- Przyszedł pan mnie aresztować?  
- Przyszedłem w sprawie zaciemnienia.

Z perspektywy czasu uznała to za dziwny sposób na poznanie męża. Ale bywają dziwniejsze, jak podejrzewała. Poza tym, w porównaniu z innymi, poznali się całkiem obiecująco.

Przyszedł jeszcze raz w sprawie zaciemnienia. Za trzecim razem akurat tamtędy przechodził.  
- Poszłabyś na piwo, na tańce, na herbatę, na spacer, na przejażdżkę, na spotkanie z moimi rodzicami?  
Zaśmiała się. - Myślę, że mama się zgodzi na którąś z wersji.

Mama się zgodziła, a oni zaczęli się spotykać. Oczywiście ciemnobrązowe, był wysoki i trochę nieprzewidywalny, ale przede wszystkim wysoki. On uznał ją za nieśmiałą, ufną i do przesady szczerą.

- Mogę sobie posłodzić? - spytała, spróbowałszy pierwszego w życiu małego ciemnego.  
- Przepraszam - odpowiedział - zupełnie zapomniałem. Przyniosę ci coś innego. - Następnym razem zamówił jej kolejne małe ciemne i podał papierową torebkę. Wsypała cukier i wrzasnęła, gdy ze szklanki zaczęła wylewać się piana. Lafa się w jej stronę, więc zeskoczyła ze stołka.

- Numer stary, ale jary, nieprawdaż, proszę pana? - powiedział karczmarz, wycierając ladę baru. Michael zaśmiał się. Jean była zażenowana. Pewnie uważa ją za głupią. Człowiek, który prowadzi karczmę na pewno uważa ją za głupią.

- Czy wiesz, ile kanapek Lindbergh zabrał ze sobą, gdy leciał przez Atlantyk?

Michaela zaskoczyło zarówno samo pytanie, jak i nie znoszący sprzeciwu ton. Ale może to tylko zagadka. Na pewno zagadka. Odpowiedział więc posłusznie:

- Nie wiem. Ile kanapek zabrał ze sobą Lindbergh, gdy leciał przez Atlantyk?
- Pięć - powiedziała z naciskiem-ale zjadł tylko półtorej.
- Aa - nic innego nie przyszło mu do głowy.
- Jak myślisz, dlaczego zjadł tylko półtorej? - spytała. Może to jednak zagadka.
- Nie wiem. Dlaczego zjadł tylko półtorej?
- Nie wiem.
- Aa.

- Pomyślałam, że może ty wiesz - powiedziała rozczerowana.  
- Może zjadł tylko półtorej, bo kupił na lotnisku i okazały się nieświeże. - Zaśmiali się oboje, przede wszystkim zadowoleni, że rozmowa do końca nie zgasła.

Bardzo szybko Jean nabrała przypuszczeń, że go kocha. No, bo jakie jest inne wytłumaczenie? Cały czas o nim myślała; gdy leżała w nocy w łóżku, w głowie roily się jej przeróżne marzenia; lubiła patrzeć na jego twarz, która zdawała się wyrazista, ciekawa i mądra, wcale nie mięsista, jak z początku uznała, a te czerwone plamy na policzkach świadczyły o silnym charakterze; żyła w lekkim strachu, by nie sprawić mu zawodu; i wreszcie widziała w nim człowieka, który się nią zajmie. Cóż to jest, jak nie miłość?

Pewnego wieczoru odprowadzał ją do domu. Bezkrzesne niebo było spokojne, bez chmur i samolotów. Zawodził cicho, jakby do siebie, ze sztucznym amerykańskim akcentem ulubieńca międzynarodowej publiczności:

- Orzeł - pójdziemy do ołtarza
- Reszka - popłyniemy dookoła świata
- Wpadł orzeł, to się czasem zdarza
- Więc już nie potrzebujemy swata.

Potem nucił tylko melodię, a ona powtórzyła sobie w myśli słowa. Nic więcej się nie stało. Doszli do porosłej bluszczem furtki, z wykutym motywem wschodu słońca. Jean wtuliła się mocno w połę jego płaszcza, po czym pobiegła do domu. Może tylko okrutnie ją podpuszcza, pomyślała, może to wygłup w stylu wujka Lesliego. Zanuciła melodię do siebie, jakby chciała sprawdzić, ale nic to nie dało; była to tylko cudowna melodia.

Następnego wieczora, gdy doszli do tego samego miejsca na drodze, a niebo patrzyło na nich równie czule, Jean stwierdziła, że niemal dyszy. Nie zmieniając kroku, Michael podjął swoją opowieść:

- Orzeł - mamy sześcioro dzieci
- Reszka - kupujemy kota
- Wpadł orzeł, czas nam miło zleci
- Bo szykuje się przyjemna robota...
- Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła zebrać myśli.

- Michael, chcę cię o coś zapytać.  
- Tak? - Zatrzymali się oboje.  
- Kiedy przyszedłeś pierwszy raz... Z naszym zaciemnieniem było wszystko w porządku, prawda?  
- Tak.  
- Tak myślałam. A potem opowiadałeś mi te banialuki o stopach policjantów.  
- Przyznaję się do winy.  
- Na domiar wszystkiego, nie powiedziałeś mi, że do piwa nie daje się cukru.  
- Ano, nie powiedziałem.  
- To dlaczego miałabym za kogoś takiego wyjść za mąż? Myśląc nad odpowiedzią, wziął ją pod rękę.  
- Przecież gdybym stanął przed domem i powiedział: „Chciałem tylko zwrócić pani uwagę, że wasze zaciemnienie nie budzi najmniejszych zastrzeżeń, a przy okazji, jeśli pani spojrzy na moje stopy, to zobaczy pani, że są na swoim miejscu”, ani byś na mnie spojrziała.

- Być może. Objął ją.  
- Jeszcze cię o coś spytam, skoro już rozmawiamy o różnych rzeczach.  
Przysunął twarz, jakby chciał ją pocałować, ale była uparta. Chciała mu zadać jedno z pytań z dzieciństwa, gdyż uważała, że powinny wszystkie zostać rozstrzygnięte zanim wejdzie w dorosłe życie.  
- Dlaczego norka odznacza się patologiczną żywotnością?  
- Czy to kolejna zagadka?  
- Nie. Chcę wiedzieć.  
- Dlaczego norka odznacza się patologiczną żywotnością? Nikt mi nigdy nie zadał tak dziwnego pytania. - Szli dalej. Michael uznał, że Jean na razie nie chce, żeby ją pocałował.  
- Norki to wredne, paskudne stworzenia - oświadczył, nie do końca zadowolony ze swej odpowiedzi.  
- I dlatego są patologicznie żywotne?  
- Przypuszczalnie. Wredne, paskudne stworzonka zwykle bardziej zajadłe walczą o życie niż duże puchate stworzenia.

- Aha. - Niezupełnie takiej odpowiedzi się spodziewała. Miała nadzieję na coś bardziej konkretnego. Ale dobre i to. Szli dalej. Spoglądając na niebo, wysokie i pogodne, tu i ówdzie upstrzone samotnymi wieczornymi chmurkami, powiedziała:

- No to kiedy się pobieramy?

Uśmiechnął się, skinął głową i cicho zanucił melodię. Musi być słuszne kochać Michaela. A jeśli nie jest słuszne, to jest jej obowiązkiem. Nawet jeśli go nie kocha, ma obowiązek za niego wyjść. Ale przecież go kocha i jest słuszne, że go kocha. Michael - to właściwa odpowiedź, niezależnie od tego, jakie jest pytanie.

Nie miała wcześniej zbyt wielu konkurentów do ręki, ale nie przejmowała się. Konkurent to tak głupie słowo, że mężczyźni, którzy idą w konkury też muszą być głupi. To, co ojciec miał do powiedzenia na temat konkurencji, nie nastrojało zbyt optymistycznie.

Wszystkich mężczyzn, jakich znała, podzieliła sobie w głowie na konkurentów i mężów. Leslie i Tommy Prosser byli chyba dobrzy jako konkurenci, ale mogłoby być błędem, wyjść za nich za mąż. Byli trochę nieokrzesani, a na ich zdaniu o świecie nie można polegać. Z kolei ojciec i Michael byli przypuszczalnie dobrzy w roli mężów; nie bujali w obłokach. Właśnie, tak też można na to spojrzeć: mężczyźni albo bujają w obłokach, albo stąpają twardo po ziemi. Gdy się

poznali, Michael zwrócił jej uwagę na swe stopy. Były poprzestawiane, ale stały twardo na ziemi.

Nowe kryterium nie spowodowało żadnego przegrupowania pośród znanych jej mężczyzn. Nagle wyobraziła sobie, że się całuje z Tommym Prosserem i na myśl o jego wąsach przebiegł ją dreszcz: spróbowała kiedyś ze szczoteczką do zębów, co potwierdziło jej najgorsze obawy. Michael był najwyższy z nich wszystkich i rysowała się przed nim perspektywa awansu, zwrot, który jej matka zawsze wymawiała z dużych liter. Jean musiała przyznać, że pod przepastnym płaszczem był niezbyt elegancki, lecz po wojnie ona go ubierze jak trzeba. Taka jest przecież rola kobiety w małżeństwie. Uchronić męża od niedociągnięć. Tak, pomyślała z uśmiechem, przy mnie będzie mógł iść z każdym w konkury.

I o to chyba chodzi. Jeśli to nie miłość, na czym więc miałyby ona polegać? A czy on ją kocha? Oczywiście. Zawsze to powtarzał, gdy się całowali na dobranoc. Ojciec powiedział, że policjantowi można zaufać.

Był jeden temat, który zawsze wkurzał Michaela: Tommy Prosser. Może to jej wina. Rzeczywiście sporo o nim mówiła, ale przecież to chyba normalne. Siedziała cały dzień w domu; Tommy czasem się kręcił w pobliżu; no i kiedy Michael po nią przychodził i pytał, co robiła, nie mogła przecież bez końca opowiadać o czyszczeniu pieca i wieszaniu prania. Wobec czego Jean powtarzała Michaelowi, co jej powiedział Tommy Prosser. Kiedyś go spytała, czy wie, co to jest kanapka Alarm Odwołany.

- Ciągłe mnie pytasz o kanapki - powiedział Michael. - Kogo obchodzą kanapki?

- Ta jest z liśćmi dmuchawca.

- Musi być obrzydliwa.

- Niezbyt przyjemna w smaku.

- Jest śliski, tego u niego nie lubię. Nie patrzy w oczy. Zawsze odwraca głowę. Lubię ludzi, którzy patrzą w oczy.

- Jest niższy od ciebie.

- Co ma piernik od wiatraka?

- No, może nie patrzy ci w oczy, bo jest niższy.

- To nie ma nic do rzeczy.

No cóż. Chyba dobrze zrobiła, nie mówiąc Michaelowi, że Prossera odsunęli od lotów, chociaż przed mężem nie powinno się mieć żadnych tajemnic. Nie powiedziała mu też, że Prossera nazywali Wstań-Słońce.

Prosser nie wkurzał się, gdy mówiła o Michaelu, choć nie zawsze podzielał jej entuzjazm.

- Nada ci się - brzmiała jego typowa odpowiedź.

- Ale naprawdę myślisz, że to dobry pomysł, prawda, Tommy?

- Niezgodzisz się. Jedno ci powiem, on robi dobry interes.

- A ty jesteś żonaty? Szczęśliwie?

- Za mało bywam w domu, żeby wiedzieć, czy szczęśliwie.

- Pewnie masz rację. Ale lubisz Michaela?

- Nada ci się. To nie ja za niego wychodzę.

- Jest wysoki, prawda?

- Starczy.

- Ale, twoim zdaniem, będzie z niego wspaniały mąż?

- Raz się człowiek musi sparzyć. Staraj się tylko nie sparzyć dwa razy. - Właściwie nie zrozumiała tej uwagi, ale, tak czy owak, ją zezłościła.

\*\*\*

Pani Barret, jedna ze zwawszych, bardziej nowoczesnych gospodyń we wsi, zaszła do Jean, gdy nikogo nie było w domu i wręczyła jej paczuszkę.

- Mnie to już niepotrzebne, moja droga - to wszystko, co powiedziała.

Leżąc później w łóżku, Jean rozpakowała oprawny w bordowe płótno poradnik dla młodych par. Z przodu była lista wcześniejszych prac autorki. Napisała „*Florę epoki kredowej*” (w dwóch częściach), „*Pradawne rośliny*”, „*Studium życia roślinnego*”, „*Dziennik japoński*”, sztukę w trzech aktach, zatytułowaną „*Nasze strusie*” i kilkanaście książek z dziedziny seksuologii. Jedną z nich miała tytuł „*Pierwszych pięć tysięcy*”. Pierwszych pięć tysięcy czego?

Jean nie była pewna, jak ma czytać książkę i czy w ogóle powinna. Czy nie lepiej dowiedzieć się takich rzeczy od Michaela? Przecież na pewno większość z tego wie. A może nie? Nie rozmawiali na te tematy. Mężczyźni mieli się na tym znać, a kobietom miało być wszystko jedno, skąd się znają. Jean było wszystko jedno; to głupie przejmować się wcześniejszym życiem Michaela. Zresztą zdawało się takie odległe - wszystko działo się przed wojną. Słowo „prostytutka” zakradło się jej do głowy jak wampir przez ścianę. Mężczyźni chodzą do prostytutek, by nasycić swe zwierzęce żądze, a potem się żenią - tak się to przecież odbywa. Czy trzeba jeździć w tym celu do Londynu? Pewnie tak. Jak sobie wyobrażała, większość nieprzyjemnych rzeczy związanych z seksem dzieje się w Londynie.

Pierwszej nocy przekartkowała nieuważnie książkę, opuszczając całe rozdziały zatytułowane „Sen”, „Dzieci”, „Społeczeństwo” i „Suplement”. W ten sposób nie liczy się, że przeczytała. Mimo to, z kartek sypały się różne zwroty i wczepiały jak rzepy w jej koszulę nocną z drojetu. Niektóre śmieszyły ją, niektóre niepokoiły. Ciągłe pojawiało się słowo: „nabrzmiały”, a także „kryzys”; słowa te miały nieprzyjemny wydźwięk. „Powiększony i sztywny”, czytała; „zwilżony śluzem”; znów „nabrzmiały”, „miękki”, „mały” i „oklapły” (fuj); „niedostosowanie organów pod względem budowy i umiejscowienia”; „częściowa absorpcja wydzielin męskich”; „skurcz macicy”.

Na tylnej okładce reklamowana była sztuka autorki, ta pod tytułem „*Nasze strusie*”, „wystawiona po raz pierwszy przez Royal Court Theatre 14 listopada 1923 roku”. „Punch” napisał, że „pełna humoru i ironii sztuka została wspaniale zinterpretowana”. „Sunday Times” napisał, że spektakl jest „niezwykle stymulujący”. Jean zachichotała, lecz po chwili poczuła się zaszokowana swą reakcją. Co za brzydkie skojarzenia. Zachichotała jednak znowu, gdy wyobraziła sobie recenzję ze słowami: „wspaniale nabrzmiały”.

Powiedziała Michaelowi, że pani Barrett dała jej poradnik dla młodych par.

- Świetnie - odparł, odwracając wzrok. - Zastanawiałem się nad tą sprawą.

Chciała go spytać o prostytutki, ale dochodzili do tego miejsca, gdzie zawsze zaczynał nucić, więc uznała, że moment nie jest najlepszy. Ponieważ wyraził aprobatę dla książki, tego wieczora zabrała się za nią bardziej systematycznie. Zdziwiło ją, jak wiele zwyczajnych rzeczy może okazać się seksualnych; nieświadomienie seksualne, zachowania seksualne, edukacja seksualna, atrakcyjność seksualna, nawet życie bywa seksualne.

Choć bardzo się starała, wielu rzeczy nie mogła zrozumieć. Autorka zapowiadała, że będzie pisać jasno i przystępnie, lecz Jean zgubiła się niemal od razu. „Struktury duszy”, przeczytała, i „szyjka macicy”, której nie miała odwagi sobie nawet wyobrazić. „Łechtaczka jest morfologicznym odpowiednikiem męskiego penisa”. Cóż to może znaczyć? Dowcipów nie było zbyt wiele. „Dekretem Katarzyny Aragońskiej pary małżeńskie obowiązane były współżyć ze sobą sześć razy dziennie. Dziś kobieta o tak nadnaturalnych potrzebach zostawiłaby po sobie pobjawisko mężów”... to bodaj najprędzej kwalifikowało się jako żart.

Nawet fragmenty, które rozumiała bez trudu, kłóciły się z jej doświadczeniami. „Okazje do upojnych, romantycznych zalotów”, przeczytała, „rzadziej się dziś zdarzają w metrze i salach kinowych miasta, niż w lasach i ogrodach wiejskich, gdzie zbieranie rozmarynu czy lawendy może posłużyć za słodki pretekst do wzajemnego rozbudzania głębokiej namiętności”. Była wprawdzie wojna, lecz jeśli chodzi o zrywanie z Michaelem lawendy, mogliby równie dobrze mieszkać w mieście. Nie mogła sobie zresztą przypomnieć, gdzie w okolicy rośnie lawenda. No i dlaczego autorka proponuje zioła? Czego brakuje kwiatom?

Było też coś o nazwie „zmiany okresowe”, coś w rodzaju wykresu ukazującego miesięczne wahania, jakim poddane było pożądanie kobiety. Wykresy były dwa, jeden z „Krzywą

Normalnego Pożądania u Zdrowej Kobiety”, drugi przedstawiał „Słabe i Ulotne Ciągoty u Kobiet Cierpiących na Przemęczenie i Przeprocowanie”. Na końcu drugiego wykresu „Poziom Potencjalnego Pożądania” nagle zaczynał podskakiwać i opadać jak piłeczka pingpongowa. Podpis wyjaśniał: „Na krótko przed punktem zwrotnym d, alpejskie powietrze przywróciło badanej witalność”.

Wreszcie była porada, na którą Jean zwróciła uwagę w rozdziale zatytułowanym „Skromność i Romantyczność”: „Zawsze uciekaj. Uciekaj od przyziemności, trywialności, wulgarności. Na ile to możliwe, zezwalaj mężowi na pozycie jedynie wtedy, gdy płynie z niego rozkosz. Jeżeli pozwalają na to możliwości finansowe, mąż i żona winni posiadać osobne sypialnie, rozwiązaniem jest też zasłona, którą można zaciągnąć w poprzek wspólnego pokoju”.

Gdy następnym razem zobaczyła się z Michaelem, miała do niego trzy pytania.

- Co to znaczy „morfologicznie”?

- Poddaję się. Czy to ma coś wspólnego z kanapkami?

- Czy miewasz ochotę pójść ze mną zbierać lawendę i rozmaryn?

Spojrzał na nią trochę poważniejszym wzrokiem.

- Wieje wiatr od wariatkowa, czy coś takiego?

- Czy możemy mieć oddzielne sypialnie?

- Nie za wcześnie? Jeszcze cię nawet nie dotknąłem, kochanie.

- Ale masz być jak myśliwy, który wiecznie marzy, by znieacka stanąć na drodze Diany pośród gęstwiny.

- Zbierając lawendę i rozmaryn?

- Pewnie tak.

- Pójdę po koszyk. - Zaśmiali się oboje, po czym Michael dodał: - Po co mi Diana w lesie, kiedy mam Jean u żywoplotu?

Tego wieczoru odłożyła książkę na półkę. Nie chciała już czytać tych bzdur. Trzy dni później Michael powiedział od niechcienia:

- Aha, przy okazji, umówiłem cię z kimś.

- Z kim?

- W Londynie. Bardzo miła pani. Podobno.

- Nie jest... dentystką?

- Nie. - Odwrócił wzrok. - Zrobi ci... badania.

- Muszę przejść badania? - Jean była raczej zaskoczona niż urażona. Pewnie wszyscy muszą mieć badania. - Czy zwrócisz mnie, jeśli będę miała defekt?

- Nie, nie, oczywiście, że nie, kochanie. - Wziął ją za rękę. - Po prostu... wszystkie kobiety muszą przejść coś takiego. To znaczy w dzisiejszych czasach.

- Nigdy nie słyszałam, żeby kogoś wysłali do Londynu na badania - powiedziała Jean dość poirytowanym tonem. Jak sobie radziła wieś przed nastaniem kolei?

- Kochanie, to nie jest kwestia mojego widzimisię. W grę wchodzi takie sprawy jak dzieci.

Teraz ona odwróciła wzrok. O rany, pomyślała. Ale przecież odpowiedzialność za to spada na mężczyzn. Czy „odpowiedzialność” nie znaczyła w książce właśnie tego? Nagle przypomniały jej się inne słowa: „nabrzmiały”, „pęknięcie w klejnocie”, „zwilżone śluzem”. Nagle cała sprawa wydała się jej okropna.

- Nie możemy być po prostu przyjaciółmi? - spytała.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Dlatego się pobieramy. Jak się pobierzemy, nadal będziemy przyjaciółmi; tyle, że będziemy... małżeństwem. Na tym to polega.

- Rozumiem. - Nie rozumiała. Czuła się beznadziejnie.

- Czy zabierzesz mnie na alpejskie powietrze, jeśli będę miała defekt?

- Kiedy tylko szeregowy Hitler pozwoli - obiecał.

Dr Headley świetnie nadawałaby się na dentystkę. Była osobą dystygowaną, profesjonalną, wykształconą, przyjazną i zupełnie prerażającą. Posadziła Jean na kanapie i wprowadziła w swobodny nastrój pogaduszkami o bombardowaniach. Jean uznała, że zaszła jakaś pomyłka i powiedziała nagle:

- Ja przyszedłam do zbadania.

- Jak najbardziej. Dziś zrobimy badania, a w przyszłym tygodniu dopasujemy. Na ogół dziewczęta nie lubią się spieszyć.

- Rozumiem. - Co dopasujemy? O rany.

Potem Dr Headley zadawała pytania na temat Jean i Michaela, niekiedy bardzo konkretne.

- Co pani wie o stosunku seksualnym? Proszę mi szczerze powiedzieć. - Jean wspomniała o książce oprawnej w bordowe płótno, napisanej przez kobietę, której sztuka o strusiach zaczynała się stymulujące i nie poprzestawała na tym. - Doskonale. Na pewno wie już pani teraz prawie wszystko. Zawsze najlepiej wpierw się obczytać. A co pani myśli o stosunku seksualnym - to znaczy w sensie ogólnym?

- Myślę, że to zabawne.

- Zabawne?  
- Śmieszne. Komiczne. - „Nabrzmiaty”, pomyślała; „pękniecie w klejnocie”; „lawenda”; „Katarzyna Aragońska”. Zachichotała.

- Ostatnia rzecz, jaką można powiedzieć o pożyciu płciowym, moja droga, to to, że jest śmieszne.

O rany.

- Jest niezwykle poważne. Jest piękne, bywa skomplikowane, lecz nie jest śmieszne. Rozumie pani? - Jean skinęła głową, rumieniąc się za tę gafę, jednak tylko na poły przekonana. - A teraz proszę łaskawie zdjąć ubranie za parawanem.

Zbestana Jean poszła za parawan. Zastanawiała się nad butami. Czy buty to ubranie? Powinna je założyć z powrotem? O rany. Nie powinna była mówić, że seks jest śmieszny. Oczywiście, może się okazać, że nie jest. Może zadziwi ją jej własne „zmiany okresowe”, może alpejskie powietrze nie będzie jej potrzebne. Choć starała się powstrzymać, ciągle myślała o penisie Michaela. Nie o samej rzeczy, której nie tylko jeszcze nie widziała, ale nawet sobie nie wyobrażała. Myślała o idei rzeczy, która miała połączyć ich ciała ze sobą. O idei seksualnej.

Wyszła z za parawanu. Pani doktor kazała się jej położyć, a potem... o rany. Koźmi mnie tu więcej nie zaciągną, pomyślała. Ciska była przeraźliwa. Jean zaczęła nucić pod nosem. Orzeł - pójdziemy do ołtarza... Potem przestała speszona. Dr Headley przypuszczalnie nie pochwała nucenia, nawet odpowiednich melodii.

- Teraz będzie troszkę zimno. - Jean zebrała się w sobie. Czy zostanie oblana zimną wodą, za karę za frywolność, jaką okazała nuczając pod nosem? Ale nie: to było tylko... przestała myśleć o dolnych partiach ciała. Oczy miała zaciśnięte, jak szczelnie zasunięte zasłony zaciemnienia; nie potrafiła jednak zamknąć drogi życia, jarzącemu się czerwono na zewnątrz. Czarne i czerwone, kolory wojny: kolory wojny Tommy'ego

Prossera. Tommy Prosser w czarnym Hurricanie, pośród czarnej nocy z odsuniętą osłoną i czerwoną opalizacją tablicy przyrządów, miękko rozświetlającą jego twarz i dłonie. Tommy Prosser w czarnym Hurricanie, wypatrujący czerwonych spalin powracających bombowców. Czarne i czerwone...

- Pokój dziecięcy w porządku, bawialni także nic nie dolega - powiedziała ni stąd, ni zowąd Dr Headley.

- Tak? To doskonale. - O czym ona mówi?

Dr Headley otworzyła szufladę i wyjęła trzy puszkę oznaczone numerami. Dwie większe puszkę odłożyła z jowialnym - Nie trzeba płoszyć koni. - Trzecią otworzyła. Spod pokrywy dobyła się chmurka talku. - Teraz pokażę pani tylko zasadę działania, a w przyszłym tygodniu może pani spróbować sama.

Dr Headley wyjęła pesarium i strzepała talk.

- Zupełnie proste, jak pani widzi. Tu mamy sprężynę. - Ścisnęła wkładkę w ósemkę. - Elastyczne, wytrzymałe i zupełnie bezpieczne, jeśli dobrze założyć, proszę spróbować.

Jean wzięła wkładkę do ręki. Gdzie to idzie? Może trzeba zawinąć wokół rzeczy samej i przywiązać sznurkiem. Ostrożnie ścisnęła w palcach. Sprężyna stawiała duży opór. Jean położyła pesarium na bibułce przed sobą i spróbowała jeszcze raz. Sprężyna ustąpiła i na dłoń wypłynął jej fałd czarnej gumy. Pisnęła.

- Wkrótce się pani przyzwyczai.

Jean miała wątpliwości. Oczywiście nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłaby dla Michaela, ale czy nie mogą być po prostu przyjaciółmi?

- To jest galaretką nawilżająca. - W ręce Dr Headley nagle pojawiła się tubka. O rany. Co się stało z „nawilżaniem słuzem”?

- Proszę... bo... czy to konieczne?

Dr Headley zaśmiała się i zbyła pytanie milczeniem.

- A mówiła pani, że to nie śmieszne. - Jean poczuła złość na tę kobietę, do której ją podstępnie przysłano.

- Przecież śmiała się z pani. Wy, dziewczyny, jesteście wszystkie takie same. Chcecie samej przyjemności, a żadnej odpowiedzialności. - Gdy wypowiedziała słowo „odpowiedzialność”, zaczęła rozsmarowywać galaretkę po krawędzi pesarium, a następnie po miękkiej gumowej części wewnętrznej. Po krótkiej demonstracji podała wkładkę Jean. - Proszę chwycić mocno, nie ugryzie. Nie tak, jeszcze mocniej. Między kciuk a palce, nie bawiła się pani nigdy w teatrzyk lalkowy?

Jean postanowiła odłożyć wkładkę, zanim się jej wyśliznie. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień.

Na dworcu Paddington Jean zobaczyła duży, pomalowany na zielono automat z tarczą zegarową. W miejscu godzin były litery alfabetu. Obracało się dużą metalową wskazówką i za pensa można było odcisnąć piętnaście liter na paseczku folii aluminiowej. Obtłuczona ceramiczna tabliczka sugerowała, że można w ten sposób przesłać znajomemu wiadomość. Jean nie sądziła, by miała coś do przekazania. Nie czuła się wystarczająco pewna siebie, by się nad sobą użalać; była po prostu przygnębiona. Pracowicie jeździła wskazówką od litery do litery, naciskała dźwignię i wydrukowała JEAN, a następnie SERJEANT. Zostały jej jeszcze trzy litery. Ojciec zapewne uznałby tego rodzaju wydatek za rozrzutność, lecz chciałby, żeby wycisnęła z tych pieniędzy ile się da. Nazwisko, ranga i numer, tak to leci. Jean nie miała rangi, ani też numeru. Po chwili zastanowienia wydrukowała XXX, wyjęła foliowy pasek z kieszeni automatu i włożyła do torebki.

\*\*\*

Jean przyjęła za pewnik, że w ciągu ostatniego roku z Tommym Prosserem musiało się coś stać, coś konkretnego i rozpoznawalnego. Przedtem był dzielnym pilotem Hurricane'ów, teraz był odsunięty od lotów, drażliwy i wystraszony. Trzeba tylko zlokalizować źródło tego strachu; pozwolić mu opowiedzieć o jakimś okropnym, zapadającym głęboko w serce zdarzeniu, a wszystko pójdzie ku lepszemu. Na tyle rozumiała zasadę psychoanalizy.

Pewnego popołudnia siedziała przy stole kuchennym, z puszką pasty do czyszczenia metalu i widelcami ułożonymi karnie jak oddział żołnierzy. Prosser był nastawiony mniej bojowo niż zazwyczaj. O roku 1940 wyrażał się jak o Mons czy Ypres, jak o czymś odległym, co zdarzyło się komuś innemu.

- Jak pierwszy raz miałem w portkach, to była pełna komedia. Zadarłem z dwiema „stodziewiątkami” nad Morzem Północnym. Nie przedstawiało się to zbyt różowo, więc schowałem się za jakąś chmurę, trochę pokluczyłem i wzięłem kurs na bazę. Jak najszybciej się dało. W takich wypadkach wchodzi się

w lot nurkowy. Zwiewam w te pędy, a tu słyszę działko maszynowe. Jedna ze „stodziewiątek” musiała za mną polecieć. Jak błyskawica szarpnąłem za drążek i wszedłem w dużą pętlę. Dobrze się rozejrzałem, ale nic nie było widać. Musiałem go zgubić.

- No to znowu na nos do bazy. A tu, wyobraź sobie, znowu strzelają. Szarpnię za drążek i od razu przestają strzelać.

Szedłem ostro do góry i szukałem chmury, kiedy nagle mnie oświeciło. Nieźle mną rzuciło. Gdy nurkowałem, musiałem ścisnąć dźwążek coraz mocniej. A na wierzchu dźwążka jest spust. Czyli strzelałem z własnych działek i narobiłem sobie strachu. Kręciłem wygibasy po niebie jak jakiś dureń.

Jean uśmiechnęła się.

- Powiedziałeś o tym po powrocie.

- Nie. Z początku nie. Dopóki jeden facet się nie przyznał do jeszcze większej wpadki. A wtedy wszyscy pomyśleli, że się zgrywam.

- Czy ludzie zawsze się przyznają, jeśli coś wyjdzie nie tak?

- Jasne, że nie.

- Do czego ty się nie przyznałeś?

- Do czego się nie przyznałem? Do tego, co wszyscy. Że się bałem. Że się bałem sprawić im zawód. Że myślałem, że nie wrócę. Zawsze można było poznać, kiedy ktoś o tym myślał. Siedziało się w świetlicy i nagle człowiek zauważa, że ktoś jest uprzejmy. Znaczą tak ewidentnie, ni stąd, ni zowąd. I uświadomiasz sobie, że tak było od kilku dni, że zawsze podawał cukier, mówił cicho, nikomu nie odpysknął. I cały czas myślał o tym, że nie wróci. Chce, żeby go zapamiętano jako miłego gościa. Oczywiście nie wie, że to robi; nie ma zielonego pojęcia.

- Czy też miałeś coś takiego?

- Skąd mam wiedzieć? Człowiek nie wie, że tak się zachowuje. Może robiłem coś innego. Brzęczałem monetami w kieszeni albo coś.

- Nie wolno się przyznać, że się człowiek boi?

- Jasne, że nie. W złym guście. Nawet jeśli wiesz, że inni to poznają.

- Mogę o coś spytać?

- Przecież już pytałaś. - Prosser rzucił w jej stronę uśmiech, jakby chciał powiedzieć: tak, jestem dziś w lepszym nastroju. Jean spuściła głowę tak, jakby ktoś ją złapał na dzwonieniu monetami w kieszeni.

- No, wal.

- No więc, zastanawiałam się, jak to jest być odważnym.

- Odważny m? - Prosser spodziewał się innego pytania. - Po co ci to wiedzieć?

- Interesuje mnie. To znaczy, jeśli nie chcesz...

- Nie o to chodzi, tylko że to trudno wytłumaczyć. Bywa różnie. Czasem zrobisz coś normalnego, a ludzie uznają, że byłeś odważny. Innym razem myślisz sobie, że się wykazałeś, a oni nawet tego nie zauważą.

- Więc kto decyduje, czy byłeś odważny? Oni czy ty?

- Nie wiem. Chyba raczej ja, oni decydują, kiedy przyjdzie do orderów i tych spraw. Właściwie to nie myśli się w ten sposób.

- Nie ma powodu udawać skromnego. - Jean zauważyła wstęgi na mundurze Prossera Wstań-Słońce.

- Nie udaję skromnego. Chodzi o to, że nie postanawiasz sobie „Teraz będę odważny” albo nie myślisz sobie potem „Jeju, ale byłem odważny”.

- Ale jakąś decyzję podejmujesz. Kiedy widzisz, że ktoś jest w tarapatkach i mówisz sobie „Lecę mu na pomoc”.

Mię. Nie mówisz sobie nic takiego, co można by potem dać do druku. To nie taka decyzja, jak w cywilu. Tam masz trzask, prask i już decyzja podjęta. Zdarza się, że jest więcej pola manewru i czasu do namysłu, ale myślisz to, czego nauczono cię myśleć w takich okolicznościach, czasami dokładnie nie wiadomo, co się dzieje, ale z reguły jest trzask, prask.

- Aha.

- Przepraszam, jeśli się rozczarowałaś. Może u innych jest inaczej. Nie mogę ci powiedzieć, jak to jest być odważnym. Nie da się tego wziąć do ręki. To przychodzi na człowieka, kiedy on sam o tym nie wie. Nie czuje się podniecony, oszołomiony czy coś. Czasem można odnieść wrażenie, że ma się większą świadomość tego, co się robi, ale to wszystko, co można powiedzieć. Do ręki tego nie weźmiesz. - Prosser trochę się podochocił. - W ogóle to nierozsądnie być odważnym. Rozsądnie jest robić w majtki ze strachu. To rozsądna reakcja.

- Czy być wystraszoną, to coś zupełnie innego?

- Tak, strach to coś całkiem innego. - Uspokoił się równie szybko, jak przedtem się rozgorączkował. - Całkiem. Opowiedzieć ci?

- Tak, proszę. - Jean nagle zdała sobie sprawę, że z Prosserem rozmawia jej się zupełnie inaczej niż z Michaeliem.

Pod pewnymi względami trudniej, ale...

- Pierwsza rzecz: wiesz, kiedy się boisz. Druga rzecz: inni też wiedzą. Trzecia rzecz: kiedy coś robisz ze strachu, wiesz, że to robisz ze strachu.

- A co robisz ze strachu?

- Wszystko. Z początku niewiele. Trochę więcej patrzysz do lusterka. Lecisz trochę wyżej albo trochę niżej, niż trzeba. Dostajesz bzika na punkcie bezpieczeństwa. Odpadasz ociupinkę wcześniej niż zwykle. Walniesz kolejkę w mesie. Wynajdujesz więcej usterek w samolocie niż przedtem. Drobnie sprawy, przez które zawracasz wcześniej albo tracisz kontakt z eskadrą.

- Potem przychodzi moment, że zaczynasz to zauważać. Może po prostu zauważasz, że inni zauważyli. Wracasz do bazy, a obsługa naziemna robi to, co zawsze - sprawdza, czy użyłeś dział. Jeśli kilka razy z rzędu nie użyłeś, wyobrażasz sobie, że trochę mruczą pod nosem. Zawsze to samo: cykoria. Więc myślisz sobie, nie będą mi mówić, że mam cykoria, więc zaczynasz się odłączać od eskadry, chowasz się w chmurach i strzelasz z dział. Możesz nawet wystrzelać całą amunicję, a wtedy, tak czy inaczej, trzeba wracać do bazy. Kołując podnosisz kciuk, i mówisz im, że jeden Heinkel z głowy; nieźle z niego dymiło i choć nie widziałeś, jak spadał, to do Niemiec w najlepszym wypadku doleciał kompletny wrak. Oni mówią: dobra robota, a ty zaczynasz sam w to wierzyć i zastanawiasz się, czy nie powiedzieć o strąceniu na odprawie. Potem zdajesz sobie sprawę, że musisz powiedzieć, bo jeśli ktoś się dowie, że chwaliłeś się obsługą, a szefostwu nic nie wspomniałeś? Więc mówisz i zanim się opamiętasz, zrabowałaś całą Luftwaffe, która musiała lecieć w tej chmurze, w którą wpakowałaś amunicję.

- Czy tobie się coś takiego zdarzyło?

- Za drugim razem tak się skończyło. Za pierwszym razem rzeczywiście była szansa, że kogoś zestrzeliłem, ja nie byłem pewien, oni nie byli pewni, więc odsunęli mnie od lotów na kilka dni. Ale gdy się to stało drugi raz, już byłem

pewien, jak to było za pierwszym razem.

- Za pierwszym razem pewno po prostu puściły ci nerwy.

- Po prostu. Nic tylko nerwy, strach, czajnik, żółtodziób, cykor, dokładnie. Wiesz jak to mówią: jak się człowiek dwa razy sparzy, to jest skończony.

Jean pamiętała, że posłużył się tym powiedzeniem, gdy go spytała o wyjście za męża za Michaela.

- To brzmi jak babskie gadanie.

- Baby coś niecoś wiedzą o tym świecie. - Zarechotał. - Spytaj mojej.

- Powiedz mi jak to jest, bać się.

- Już ci mówiłem, jak to jest. Człowiek zwiewa. Ma w portkach.

- Ale jak się to czuje w środku?

Prosser zamyślił się. Dokładnie wiedział, jak się to czuje w środku. Śniło mu się to po nocach.

- Czasami tak samo, jak przy innych okazjach. Drżenie rąk, suchość w ustach, ucisk w głowie; normalne, zdrowe zdenerwowanie przed wyprawą. Z reguły. Ale często jest inaczej. Zazwyczaj te drobne oznaki pojawiają się w sali odpraw, ale po starcie znikają. Mogą wrócić, kiedy zanosi się na starcie, ale jak przyjdzie co do czego, znowu znikają. Tyle że czasem zostają do końca, nawet jeśli nie jesteś w niebezpieczeństwie. A to źle rokuje. Z tego rodzi się strach.

Przerwał i spojrzał z ukosa na Jean. Wytrzymała jego spojrzenie, gdy ciągnął dalej.

- Wyobraź sobie, że przetykasz coś kwaśnego, na przykład ocet. Wyobraź sobie, że czujesz jego smak nie tylko w ustach, ale do samego dołu. Czujesz smak w ustach, w gardle, w przełyku, w żołądku. Wyobraź sobie, że zaczyna ci powoli gęstnieć w gardle i przełyku. Wszędzie czujesz smak octowej kaszki. Kwaśno w ustach. Mokro i wiotko w żołądku. Gęstnieje jak kaszka w gardle i przełyku. Co znaczy, że ciężko z głosem. Więc czasem udajesz, że zepsuło ci się radio; czasem udajesz, że masz ciche dni. Nie otwierasz ust, a kwaśność skacze ci po gardle. W całym ciele czujesz kwaśną papkę, a ponieważ w ustach stale masz kwaśny smak, myślisz, że możesz ją zwymiotować. Ale nie możesz. Siedzi tam sobie zimna i kwaśna i gęstnieje, a ty wiesz, że nie ma powodu, żeby sobie kiedykolwiek poszła. Kiedykolwiek. Bo ma prawo tam być.

- Może jednak sobie pójdzie - powiedziała, świadoma fałszywego optymizmu w głosie. Tak, jakby pocieszała kalekę z obciętymi nogami, że niedługo mu odrosną.

- Jak się ktoś dwa razy sparzy... - odparł cicho.

- Jestem pewna, że do tego wrócisz - upierała się głosem pielęgniarki. - Do kłusowania nad lotniskami i w ogóle.

- To było przedtem - powiedział Prosser. - Kiedy wszyscy wkoło szyli mundury khaki. Pamiętasz?

- Ja nie dokończyłam szyć.

- Na tym to polegało. Mundury khaki. Nienawistny żywioł germański. Odeprzeć najeźdźcę. Wszystko było jasne i proste, a człowiek był szczęśliwy. Myślał sobie, że może umrzeć, ale to nie wydawało się takie ważne. Nie myślało się, ile to potrwa. No i wszystko było takie nowe. Niektóre rzeczy były najpiękniejsze w życiu.

- Na przykład słońce, które wschodzi dwa razy.

- Na przykład słońce, które wschodzi dwa razy. Na przykład lot w osłonie bombowców, gdy komitet powitalny dał salwę i człowiek patrzył na te zielone i czerwone, i żółte smugi. Nie myślał o tym, że mogą mu zrobić krzywdę, tylko że wyglądają jak girlandy na niedzielnej potańcówce. Teraz jest inaczej. Nie można tak żyć bez końca.

- Nie nienawidzisz już Niemców tak bardzo, jak dawniej? - Jean pomyślała, że zaczynają do czegoś dochodzić. Może odwagę rodzi nienawiść albo przynajmniej ją podtrzymuje. Wstań-Słońce postradał nienawiść, to wszystko. Nie ma się czego wstydzić, wręcz przeciwnie.

- Nie, nie. Tak samo ich nienawidzę. Dokładnie tak samo. Może z innych powodów, ale dokładnie tak samo.

- Tak? Czy... czy coś się stało? Coś strasznego? Wskutek czego straciłeś odwagę.

Prosser uśmiechnął się ostrożnie, dając do zrozumienia, że naprawdę chciałby jej to prosto wyłożyć. Tyle, że się nie da.

- Przykro mi, ale to nie tak. Z chłopca wyrasta z dnia na dzień mężczyzna. Z mężczyzny wyrasta bohater. Bohater przechodzi załamanie. Przychodzą nowi chłopcy, z których wykuwają się nowi herosi. - Prawie się z niej naigrawał, ale inaczej niż inni. - To nie tak. Nie załamałem się, a przynajmniej nie tak, jak wszyscy sobie wyobrażają. Odwaga z człowieka uchodzi. Zapas się wyczerpuje. Nic nie zostaje. Ludzie wtedy mówią, że trzeba odpocząć i naładować akumulatory. Ale wielu akumulatorów nie da się już naładować. A po iluś razach, żadnego.

- Nie bądź takim pesymistą - powiedziała ^pogodnym tonem, który jej samej nie przekonywał. - Przecież nadal kochasz latanie?

- Nadal kocham latanie.

- I nadal nienawidzisz Niemców?

- Nadal nienawidzę Niemców.

- No to w czym rzecz, panie Prosser?

- W tym rzecz, pani niezadługo Curtisowa, że nie w tym rzecz.

- Ale ja jestem pewna, że będziesz latał. Pomyśl o wschodach słońca.

- Nie jestem pewien, czy mam jeszcze ochotę. Dwa razy widzisz wschód słońca - dwa razy się sparzyłeś. Nie mam o to do nikogo pretensji. Trzeba się po prostu do tego przyzwyczaić. Zawiesić buty na kołku.

- Może lepiej się nie przyzwyczajaj.

- Żartowałem.

\*\*\*

Następnego tygodnia Jean znów pojechała do pani doktor. Obiecała sobie, że nic jej nie rozśmieszy. Choć wcale się nie spodziewała niczego zabawnego.

Znów wyłoniła się okrągła puszcza, w powietrzu rozproszył talk, a pani Headley zademonstrowała zastosowanie galaretki, toteż Jean znów pomyślała: „nawilżone śluzem”? Być może puszcza zawiera galaretkę śluzową. Potem musiała się przekręcić o 180 stopni, jakby wybrała zły automat w wesołym miasteczku, i usłyszała polecenie, by się odprężyć. Rozluźniła się, odlatując od teraźniejszości. Siedziała w czarnym Hurricane, obok pędziły chmury. Prosser Wstań-Słońce kazał zainstalować w kabinie pleciony fotel i zabrał ją na przejażdżkę. Spacer po niebie potrafi uleczyć nie tylko koklusz, powiedział. No i pokaże jej swoją sztukę. Wujek Leslie znał dobrą sztukę z papierosem, Prosser zna jeszcze lepszą ze

słońcem. „Teraz spójrz nad moim ramieniem przez czarne skrzydło, patrz jak wschodzi, patrz jak wschodzi. A teraz schodzimy w dół, 10 000 stóp w dół i czekamy. Patrz, słońce wylania się jeszcze raz. Kolejny powszedni cud. Jeszcze raz? Nie, chyba że chcesz się skumplować z chłopakami z okrętów podwodnych”.

- Teraz proszę spróbować samej. - Demonstracja na odprężonej pacjentce była znacznie ułatwiona. Problem w tym, że Jean nie słyszała ani słowa. Ostrożnie wzięła do ręki oślizłe pesarium, ścisnęła je w ósemkę i zaczęła wsuwać w siebie na chybił trafił, skoncentrowana i spięta. Pani doktor schwyciła ją za nadgarstek i próbowała naprowadzić. Żeby to już mieć za sobą, pomyślała Jean i nacisnęła mocno. Au. Au!

- Nie, nie, głuptasie. No i patrz, co narobiłaś. Już dobrze, to nic takiego, trochę zdrowej krwi. - Pani Headley zakrzętała się przy Jean z ręcznikiem i ciepłą wodą. Po chwili spytała: - Próbujemy dalej?

Jean uciekła z powrotem w jasny, bezchmurny poranek nad Kanałem i słuchała doktor Headly jak przez radio pokładowe.

- Ta strona do góry, w ósemkę, szyjka macicy, dokładnie, żeby nie uwierało, potem palec w haczyk i pociągnąć. - Instrukcje jakiegoś manewru lotniczego. Dzięki temu wszystko wydawało się mniej upokarzające. I nie związane z nią samą.

- Może jeszcze trochę krwawić - powiedziała doktor Headley.

Następnie Jean otrzymała końcowe instrukcje, dotyczące stosowania pesarium. Kiedy zakładać; na jaki czas potem wyjmować; jak myć, suszyć, zasypywać talkiem i odkładać na następny raz. Jean przypominało to ojca z jego fajką: zawsze zdawał się spędzać więcej czasu na nabijaniu i czyszczeniu, niż na paleniu. Lecz może tak jest ze wszystkimi przyjemnościami.

W jadącym z zasłoniętymi oknami pociągu z dworca Paddington, Jean zaskoczyła myśl, że być może straciła dziewictwo. Straciła czy nie? Czowała się tak, jakby straciła, a raczej tak wyobrażała sobie wrażenie po utracie dziewictwa w normalny sposób. Jakby w nią wtargnięto, rozdarto. „Pęknięcie w klejnocie” - nie wiedziała, co to dokładnie znaczy, ale czuła coś podobnego. W torebce miała tekturowe pudełeczko. Nie wiedziała, co o nim myśleć. Czy traktować je jak obrońcę, czy agresora? A może jak obrońcę, który pomaga agresorom w rodzaju Michaela? Czy straciła dziewictwo z tym pesarium, czy z jego kuzynem z tej samej puszkki? Chyba zachowuje się głupio i melodramatycznie. Przecież to wszystko dla Michaela. Zdarzają się gorsze rzeczy. Zdarzają się właśnie teraz, i to przede wszystkim mężczyznom. Każdy musi dołożyć swoją cegiełkę, nieprawdaz?

Pudełeczko w torebce onieśmiało ją; sprawiło, że kontroler biletów na stacji wyglądał jak celnik. Co tam przemycamy, panienko? Nie, nic do oclenia. Jeden środek wybuchowy. Jeden pęknięty klejnot. Nieco splamiona krwią bielizna.

Dzięki pani Headley i pudełeczku wszystko zdawało się pewne i niezmienne. Pewność ta nie dawała jej jednak wiary w siebie. Nie tęskniła za pójściem do łóżka z Michaelem. Kocha go, oczywiście, i wszystko będzie dobrze. On oczywiście będzie wszystko wiedział, a jeśli nie, obopólną ignorancję zrównoważy instynkt. Będzie pięknie; może przeżycie to osiągnie wymiar duchowy, jak mawiali niektórzy; szkoda tylko, że pewne aspekty są tak przyziemne. Czy ta przyziemność nie popsuje jej reakcji? Czy pudełeczko nie wpłynie na jej „zmiany okresowe”?

Po powrocie do domu, Jean z zaskoczeniem poczuła ochotę, by wrócić do bordowej książeczki pani Barret. Otworzyła ją na rozdziale zatytułowanym „Rytm Podstawowy”. Postanowiła, że teraz już na poważnie przestudiuje obiecane wydarzenie. Niektórzy ludzie, przeczytała, myślą o tym jako o zwykłej sinusoidzie, fali morskiej, raz wzrastającej, raz opadającej; rzecz jest jednak bardziej złożona. „Każdy z nas” - wyjaśniła autorka „*Naszyc strusi*” - „obserwował kiedyś regularnie zmarszczki wód morskich, łamiące się na piaszczystym brzegu i zauważył, że napływ następnego strumienia wody może wytworzyć kolejny system fal pod kątem prostym do pierwszego, które to dwie serie fal przenikają się wzajemnie.”

Jean nie była nigdy nad morzem, lecz spróbowała sobie wyobrazić kształt przenikających się zmarszczek wody. Słyszała wrzask mew, widziała nietkniętą ludzką stopą piasek. Wszystko to robiło dość sympatyczne wrażenie. Sympatyczne, lecz niezbyt istotne. A może jednak po prostu śmieszne?

Wujek Leslie nie przyjechał na wesele. Wujek Leslie zrejterował. Byli natomiast rodzice Jean i wysoka, długonosa matka Michaela, która zachowywała się niezręcznie bądź z wyższością, Jean nie miała pewności. Był również kolega Michaela z policji (drużba), który szepnął do niej wcześniej:

„Drużba nie służba” (co nie wydało się Jean zbyt dowcipne) oraz kuzyn Michaela z Walii, specjalnie przybyły na tę okazję; ale wujka Lesiego nie było. Dziewczyna z jednej małej rodziny wżenią się w drugą małą rodzinę: siedem nieznanym sobie bliżej osób próbuje ocenić, czy wojenne wesele odprawiane jest z wystarczającą pompą. Wujek Leslie powiedziałby, żeby dać sobie spokój z etykietą i zacząć wycinać hołubce; może wygłosiłby przemowę lub wykonał jakieś sztuczki. Być może dlatego tak bardzo jej go brakowało, że jako dziecko zamierzała wyjść za niego za męża. Jego nieobecność zdawała się podwójną dezercją. Ale cóż, wujek Leslie zrejterował.

Taka była w każdym razie interpretacja wydarzeń dokonana przez jej ojca. Wujek Leslie, który całe życie mieszkał w Anglii, wsiadł na statek wkrótce po powrocie Chamberlaina z Monachium. W poddanym ożywionej dyskusji liście z Baltimore, Leslie zdał następującą relację: Chamberlain obwieścił epokę pokoju, Leslie poszedł po rozum do głowy i zrozumiał, że nie jest już młody, toteż postanowił zobaczyć świat, wkrótce po jego przyjeździe do Ameryki, zupełnie nieoczekiwanie wybuchła wojna, był (odrobinę) zbyt stary, by włożyć na siebie mundur, nie miało sensu przywozić kolejnej gęby do wykarmienia zza Atlantyku, najlepiej zacząć przysyłać paczki żywnościowe, gdy tylko załatwi sobie prace, oczywiście jeśli Jankesi rzucą się w wir walki, wstąpi do Armii Amerykańskiej, rzecz jasna jeśli będą go chcieli, aha, chyba zostawił w ostatnim mieszkaniu sweter, szkoda by było, gdyby go zjadły mole.

Relacja, jaką złożył ojciec matce, nie do końca się pokrywała z wersją Lesiego. Zawsze wiedziałem, że twój brat to bumelant. Za stary do wojska! A nie łaska w straży cywilnej, służbie przeciwpożarowej albo fabryce zbrojeniowej? Nie, boby sobie pobrudził rączki albo co gorsza się spocił. Myśli, że wystarczy przysyłać paczki żywnościowe i wszystko będzie pięknie. Co dziś planujesz na kolację, mamó? Paszтет Czystego Sumienia, potem odrobinę Ciasta Czystego Sumienia. Trzeba to oczywiście zjeść, nie ma sensu, żeby się zepsuło. Jak on może przysyłać naszej Jean taką frymuśną bieliznę, dopiero co miała obcięty warkocz, nie zniosę, by moja córka ubierała się jak lafirynda, gdy wokół padają bomby, to nieprzyzwoite. Jeśli on wstąpi do Armii Amerykańskiej, to ja przepłynę wpław Morze Północne. Może nasz Bohater Stratosfery po mej prawicy zechciałby jeszcze kawałek Ciasta Czystego Sumienia, może mu nie stanie w gardle, szkoda, żeby się zamamowało.



Przez pierwsze dwa lata wojny zjedli mnóstwo Pasztetu Czystego Sumienia. Ojciec skonfiskował bieliznę, lecz wydał ją Jean, gdy wyszła za męża. Był to jedyny prezent ślubny od wujka Lesliego. Powiadomiła go listownie o zamążpójściu, ale nie dostała odpowiedzi. Do końca wojny po wujku Lesliem słuch zaginał. Ojcowskie rozważania na temat przyczyny nie zawsze spotykały się z przychylną reakcją matki.

Wychodząc za męża, Jean umiała:

zaścielić łóżko po szpitalnemu;  
szyć, cerować i szydełkować;  
piec trzy rodzaje ciasta;  
zapalić ogień w kominku i wyczyścić kratę;  
wypolerować stare pensy, zanurzając je w occie;  
uprasować męską koszulę;  
splęść warkocz;  
zakładać pesarium;  
marynować owoce i robić konfiturę;  
uśmiechać się, nie mając na to ochoty.

Była dumna z tych osiągnięć, choć nie uważała ich za wystarczające wiano. Żałowała na przykład, że nie potrafi:

tańczyć walca, quickstępa i polki, gdyż dotychczas nie było to zbyt przydatne;  
biegać, nie podtrzymując automatycznie piersi;  
z góry wiedzieć, czy jej uwaga jest głupia, czy inteligentna;  
przewidzieć pogodę z powiewających na wietrze wodorostów;  
wyjaśnić, czemu kury przestały składać jajka;  
ocenić, kiedy ludzie stroją sobie z niej żarty;  
pozwolić sobie podać płaszcz, nie czując zakłopotania;  
zadawać właściwych pytań.

Michael załatwił skądś benzynę i spędzili miesiąc miodowy w gospodzie w New Forest, gdzie było kilka pokoi nad barem. Wyjechali w sobotę późnym popołudniem. Przed Basingstoke zaczął zapadać zmrok. Przepisy przeciwbombowe pozwalały włączyć tylko światła postojowe. Jean martwiła się, czy Michael dobrze widzi w nocy. W przeciwieństwie do Prossera, nie miał wprawy. Bała się: przypomniała sobie, że przez pierwsze kilka miesięcy wojny na drogach zginęło więcej ludzi, niż w wyniku działań wojennych. Położyła Michaelowi rękę na ramieniu, ale chyba źle ją zrozumiał, gdyż przyspieszył.

Gdy zaprowadzono ich do pokoju, Jean była przerażona wielkością łóżka. Wydawało się jej groźne i złośliwe. Przemawiało do niej, zarazem kpiąco i odstręczająco. Przez podłogę przenikały hałasy z baru. Oparła głowę na ramieniu Michaela.

- Czy moglibyśmy na tę noc zostać przyjaciółmi? Milczał, dłoń na jej szyi nieco zeszytywniała.

- Oczywiście. Mamy za sobą ciężką podróż. - Poglaskał ją po głowie i poszedł się umyć. Przy kolacji był wesoły i swobodny. Zadzwoił do swej matki i poprosił, by przekazała Serjeantom wiadomość, że dotarli na miejsce. Jean żałowała, że nie może porozmawiać z matką (konsylium przed operacją), ale przecież Michael na pewno panuje nad wszystkim. Bardzo go kochała, powiedziała mu o tym, potem spytała, czy może się położyć i zgasić światło, póki on jest w łazience. Leżała wśród pachnącej pralnią pościeli i zastanawiała się, co ją czeka. Pogoda była bezchmurna, a letni księżyc w pełni wisiał na niebie jak raca poszukiwacza ścieżek; w wojsku to nazywają księżycem bombardiera.

Następnego dnia rano poszli na spacer, gdyż nie wypadało marnować benzyny nawet podczas miesiąca miodowego, wrócili do gospody na obiad, po południu znów poszli na spacer, umyli się i przebrali. Gdy schodzili na kolację, Jean spytała:

- Czy możemy dziś w nocy być przyjaciółmi?

- Jak tak dalej pójdzie, będę cię musiał zgwałcić - odparł z uśmiechem.

- Tego się właśnie boję.

- No to przynajmniej musisz mi się pozwolić pocałować. Bez rozbieranki.

- Dobrze.

- Przy świetle.

Trzeciego wieczoru Jean powiedziała:

- Może jutro.

- Może? Minęło już pół miesiąca miodowego, do cholery. Równie dobrze moglibyśmy pojechać na wycieczkę w góry. - Wydawał się bardzo czerwony na twarzy, gdy na nią patrzył. Czowała lęk, nie tylko dlatego, że się na nią zezłościł; zdała sobie sprawę, że może się jeszcze bardziej zezłościć. Pomyślała też: wycieczka w góry, świetny pomysł.

- Dobrze, jutro.

Ale następnego dnia, zaraz po kolacji, dostała skurczów żołądka, więc sprawę trzeba było odłożyć na kiedy indziej. Czowała, że Michael jest coraz bardziej poirytowany. Gdzieś słyszała, że mężczyźni bardziej niż kobiety potrzebują dać upust żądzy. Co się stanie, jeśli im odmówić? Eksplodują jak chłodnica w samochodzie? Piątego wieczora przy kolacji byli mniej rozmowni. Michael zamówił koniak. Nagle Jean szepnęła:

- Przyjdź na górę za dwadzieścia minut.

Zabrała słynną puszkę i poszła do łazienki. Położyła się na podłodze, oparła pięty na krawędzi wanny i próbowała założyć pesarium. Coś było nie tak z mięśniami. Przeszło jej przez myśl, że gdyby zgasiła światło i myślała o Prosserze w jego czarnym Hurrricane, z czerwoną poświatą na twarzy i dłoniach, może by się rozluźniła; ale wiedziała, że tak nie wolno. Spróbowała kucnąć, lecz po początkowych sukcesach, pesarium wypsnęło się z niej i popłamało matę pod nogi. Spróbowała jeszcze raz z nogami do góry; zaczynało boleć. Umyła czarnego gumowego potworka, wytarła i zasypała talkiem, po czym odłożyła z powrotem do puszkki.

Położyła się do łóżka i słuchała pomruku głosów z dołu. Michael wyraźnie się nie spieszył. Może pije jeszcze jeden koniak. Może odszedł z kimś niezdefektowanym.

Nie trudził się z myciem, tylko stał w ciemnościach i zrzucał ubranie; Jean próbowała rozpoznać po dźwięku, co rozpina i ściąga. Usłyszała skrzypnięcie szuflady i uznała, że wkłada pidżamę. Z baru dochodził gwar. Michael wszedł do łóżka, pocałował ją w policzek, przetoczył się na nią, podciągnął jej drojetową koszulę nocną i szarpnął za sznurek od pidżamy, który dopiero co zawiązał: „Co Bóg związał...”, pomyślała frywolnie.

Galaretka zwilżająca stworzyła pozory podniecenia, co wyraźnie mu pochlebiało. Przymierzysz się kilkakrotnie, wszedł w nią dużo łatwiej, niż sobie oboje wyobrażali. Mimo to bolało. Leżała i czekała, żeby się odezwał. Gdy jednak zaczął ruszać się w niej w górę i w dół, szepnęła bardzo miłym tonem:

- Niestety nie udało mi się założyć, kochanie.

- Aha - powiedział dziwnym, neutralnym tonem, tonem z komisariatu. - Aha. - Nie wydawał się zły bądź rozczarowany, jak się spodziewała. Wepchnął się w nią jeszcze mocniej, a gdy zaczęła ją ogarniać panika z powodu tej agresji, zaświstał przez nos, wyszedł z niej i ejakulował na jej brzuch. Bardzo ją to wszystko zaskoczyło. Jakby ktoś na ciebie zwymiotował, pomyślała.

- Jestem cała mokra. Cała ubabrana - powiedziała, gdy stoczył się z niej do połowy.

- Zawsze się wydaje, że jest więcej niż naprawdę - odparł.

- Jak z krwią.

Zapadła cisza z powodu implikacji tego zdania, jak również wzmianki o krwi. Dyszał nieco. Czują koniak. Leżała i słuchała huku rozmów z dołu, niezmiennego, jakby na całej planecie nic się nie wydarzyło; leżała w ciemnościach i myślała o krwi. Czarne i czerwone, czarne i czerwone, kolory z życia Prossera. Być może są to jedyne kolory na świecie, jak się zastanowić.

- Przyniosę ci chusteczkę - powiedział w końcu Michael.

- Nie zapalaj światła.

- Dobrze.

Skrzypnęła kolejna szuflada, po czym podał jej chusteczkę. Rozłożyła ją na brzuchu, przycisnęła dłonią i delikatnie wycierała kolistym ruchem. Dzieci wykonują ten gest, gdy chcą pokazać, że są głodne. Tyle że na nią ktoś właśnie zwymiotował. Zmieniła chusteczkę w kulkę, rzuciła obok łóżka, ściągnęła koszulę nocną na nogi i położyła się na boku.

Następnego ranka nie otworzyła oczu, gdy usłyszała, że Michael się obudził. Wrócił z łazienki pogwizdując. Ubrany, potrząsnął nią i klepnął rubasznie w biodro.

- Do zobaczenia na dole, kochanie - szepnął.

Może wszystko jest jak należy. Ubrała się szybko i zbiegła do baru. Tak, chyba wszystko było jak należy, sądząc z tego, że nakładał jej na talerz aż za dużo tostów i dolewał herbaty, jeszcze zanim wypięła do dna. Może nie uważa, że ma defekt, może jej nie zwróci.

Musiła jednak coś powiedzieć. W końcu to się rozgrywa w związku małżeńskim. Tego wieczoru, gdy przebierali się do kolacji, zebrała się na odwagę, gdy stał odwrócony do niej plecami.

- Przepraszam za wczorajszą noc.

Nie odpowiedział. Pewnie się gniewa. Zaczęła znowu.

- Jestem pewna... jestem pewna, że następnym razem... Podszedł do łóżka i usiadł obok niej, nieco z tyłu. Położył jej na ustach duży palec. - Cii. Wszystko dobrze. To zupełnie naturalne, że jesteś w takim momencie bardzo spięta. Nie będę ci się już naprzykrzał przed wyjazdem.

Nie to chciała usłyszeć. Był miły, lecz właściwie zmienił temat. Musi spróbować jeszcze raz. Przecież nie są tacy jak rodzice, przeczytali literaturę fachową, a Michael najwyraźniej skorzystał z dobrodziejstwa londyńskich burdeli. Odjęła mu palec od swych ust.

- Następnym razem mi się uda - powiedziała drżąc nieco; może dlatego, że Michael dość mocno ścisnął ją za ramię.

- Nie rozmawiajmy o tym - powiedział stanowczo. - Na razie wystarczy. Dasz sobie radę. - Delikatnie ujął jej twarz w pachnące mydłem dłonie. Jedna spoczęła na oczach i nosie, druga na ustach i policzku. Między rozwartymi palcami wpadało trochę światła. Chwilę wisił ją w miękkiej klatce swych dłoni.

Przez ostatnie dwie noce miesiąca miodowego zostawił ją w spokoju. Po powrocie zamieszkali w kanciastym, zimnym domu; w dwóch pokojach, które przydzieliła im zmizerowana matka Michaela. Pierwszy tydzień nie był udany. Kiedy lepkie palce okiełznały wreszcie pesarium, Michael rozmawiał do późna w nocy z matką; kiedy zaś oszczędziła sobie wysiłku, on wpychał się na nią siłą. Wymykała się do łazienki, staczała kolejny paniczny bój, by po powrocie znaleźć go śpiącego lub udającego, że śpi.

- Michael - powiedziała, gdy to samo powtórzyło się po raz drugi. - Zachrapał. - Michael, o co ci chodzi?

- O nic - odparł głosem, który mówił: o coś.

- Powiedz. - Cisza. - Proszę cię, powiedz. - Cisza. - Trudno, żebym się sama domyśliła.

Nareszcie odpowiedział zniecierpliwionym głosem.

- Powinno być spontanicznie.

- O mój Boże.

Następnego wieczoru podchmielonemu Michaelowi rozwiązał się język. To nic nie warte, jeśli nie jest spontanicznie. Ponieważ nie dysponowała na ten temat żadnymi lepszymi źródłami, w ogóle żadnymi źródłami, przytaknęła. To okropne, jeśli wszystko się robi odtąd-dotąd. To obrzydliwe, kiedy człowiek się napali, przepraszam na sformułowanie, a potem musi przykręcić gaz na dziesięć minut. Przytaknęła, nie mając pojęcia, ile to zajmuje czasu innym kobietom. Nie mogą się ciągle bawić w ciuciubabkę, ciągle się rozmijają, jakby pracowali na różne zmiany; przytaknęła. Może dobrym rozwiązaniem będzie - tylko na początek, zanim się lepiej poznają - jeśli się umówią, że w określone dni... założy; co oczywiście nie oznacza, że koniecznie muszą...; przytaknęła. Pomyślmy, sobota wydaje się dość oczywista, bo zawsze zostaje jeszcze niedziela rano, jeśli w sobotę wieczór będzie zbyt zmęczony; może też środa, o ile nie zmienią mu harmonogramu służby. Dwukrotnie przytaknęła. Sobota i środa, powtórzyła do siebie, w soboty i środy będziemy spontaniczni.

System działał zupełnie sprawnie. Z urzędzeniem radziła sobie coraz lepiej; Michael nie sprawiał jej bólu; przywykła do dźwięków, które z siebie wydawał - dźwięków, które na ogół kojarzą się z małymi gryzoniami. W stosunkach cielesnych jest jednak coś miłego, uznała. To, że mąż udziela jej swego łącznika seksualnego, że staje się jak dziecko w jej

ramionach.

Owszem, miłe, ale dawało jej wiele do myślenia. Nie były to przecież chwile, kiedy najbardziej kochała Michaela; choć pragnęła, żeby były. A co się tyczy odczuć w, jak to nazywała dr Headley, sferach spodnich... no to gdzie są te wszystkie sploty prądów morskich, które jej tak gorąco poleciano? Gdzie jest krzyk mew i połać dziewiczego piasku, teraz przecięta pojedynczym śladem stóp - stóp z dużymi palcami na zewnątrz? Seks nie przypominał żadnych z jej wczesnych doświadczeń. A może jednak? Mgliste wspomnienie wkrótce nabrało wyrazistości. Tak, już pamięta: gdy bawili się z wujkiem Lesliem w Sznurówki Trzewików, w Starym Zielonym Raju. Podobne odczucia: trochę łąkocze, miłe, trochę zabawne i inne.

Zaczęła się śmiać ze swego odkrycia, lecz Michael wyglądał na urażonego, więc udała, że się zakrztusiła. Co za skojarzenie. Ale przecież zawsze wiedziała, że seks jest zabawny. Tak powiedziała do doktor Headley. Niemądra doktor Headley.

Do tego się to sprowadza, pomyślała, leżąc pewnej nocy pod Michaeliem. Do tego sprowadza się jej życie. Nie rozczulała się nad sobą, tylko stwierdzała fakt. Człowiek przychodzi na świat, dorasta, wychodzi za mąż. Ludzie udają - może rzeczywiście w to wierzą - że życie zaczyna się od ślubu. Ale to nieprawda. Ślub jest końcem, nie początkiem: w przeciwnym razie czemu tyle filmów i książek dochodzi tylko do ołtarza? Wyjście za mąż jest odpowiedzią, nie pytaniem. Nie był to dla niej temat do narzekań, tylko spostrzeżenie. Ślub oznacza stabilizację.

Stabilizacja. Ten motyw pojawiał się często. Ustabilizować się, ustatkować, prowadzić uregulowane życie. Co jeszcze można uregulować, zastanawiała się Jean. Oczywiście rachunek. Jesteś winien pieniądze, regulujesz rachunek. Tak jest z dorastaniem. Rodzice troszczą się o ciebie i oczekują czegoś w zamian, nawet jeśli te oczekiwania nie zostają nigdy sprecyzowane. Są pieniądze do zapłacenia. Po ślubie masz czyste konto.

Co nie oznacza, że żyjesz potem długo i szczęśliwie. Nie. Oznacza tylko stabilizację. Dasz sobie radę, powiedział kiedyś Michael; ujdiesz w tłumie, powiedziała jej matka wiele lat wcześniej. Przeszła jakiś test. Może nie będzie szczęśliwa, ale znów znalazła się pod czyjąś opieką. Przyjdą, rzecz jasna, dzieci, a wtedy męczyzna staje się bardziej odpowiedzialny. Nie żeby Michaelowi brakowało poczucia odpowiedzialności, w końcu jest policjantem. Trzeba zadbać, żeby się trochę lepiej ubierał. Będzie dom. Będą dzieci. Wojna się skończy. Jest już duża. Michael nazywają wprawdzie swoją małą kobietką, ale to inna sprawa. Jest dorosła. Dzieci posłużą za potwierdzenie. Ich bezradność będzie dowodem, że jest dorosła, że jest ustabilizowana.

Następnego dnia rano przeglądała się w lustrze. Ciemne włosy, które utraciły swą dziecięcą płowosc. Niebieskie oczy z plamkami nieokreślonego koloru jak włóczka. Nieco kanciasty podbródek, który przestał ją razić. Spróbowała uśmiechnąć się do siebie, ale nie za bardzo wyszło. Ujdzie, pomyślała; nie jest ładna, nie robi sobie złudzeń, ale ujdzie, da sobie radę.

Gdy patrzyła w lustro, a włózkowe oczy odwzajemniały spojrzenie, Jean miała odczucie, że poznała już wszystkie tajemnice; wszystkie tajemnice życia. Z kredensu w ciemnym, ciepłym kolorze wyjęła coś ciężkiego, zawiniętego w szary papier. Nie ma potrzeby więcej oszukiwać - nie ma potrzeby zaglądać przez dziurkę z latarką w dłoni. Jest dorosła. Może starannie i z powagą rozwinać papier. Wiedziała, co znajdzie w środku. Cztery smukłe ochrowe patyczki. Kołki golfowe, rzecz jasna. Cóż innego? Tylko dziecko wzięłoby je za hiacynty. Tylko dziecko spodziewałoby się, że zakwitną. Dorosli wiedzą, że kołki golfowe nie kwitną.

## II

Trzech mędrców? Wolne żarty!  
*graffiti, ok. 1984*

Michael krzesał ogień obcasami. Tak go pamiętała Jean w późniejszych latach. W szopie na narzędzia miał szewskie kopyto - ciężki, trójpalczasty kawał żelaza, godło jakiegoś komicznego kraju - na którym przybijał stalowe zelówki do obcasów każdej nowej pary butów. Potem szedł przed nią, trochę za szybko, tak że co kilka kroków musiała doganiać go półbiegiem. Gdy stawał nogę na chodniku, słyszała zgrzyt noża rzeźnickiego, a zelówka krzesła iskry.

Małżeństwo Jean przetrwało dwadzieścia lat. Po rozczarowaniu i poczuciu winy miesiąca miodowego, przyszła dłuższa, powolniejsza udreka wspólnego życia. Być może zbyt usilnie wyobrażała sobie, że będzie tak samo, jak przedtem, że nigdy nie skończy się życie pośród lekkich, puchatych chmur na słonecznym, przejrzystym niebie - życie pocałunków na dobranoc, czułych powitań, głupich zabaw i cudownie spełnionych, niewysłowionych nadziei. Szybko stwierdziła, że nadzieje trzeba wystawić, jeżeli coś ma z nich wynikać, a zabawy stają się stanowczo zbyt głupie, jeśli uprawiać je samemu; czule zaś powitania następowały tak szybko po pocałunkach na dobranoc, i z taką regularnością, że wkrótce przestały być czułe. Bez wątplenia również ze strony Michaela.

Najbardziej ją zdumiało, że można żyć z kimś tak blisko, bez żadnego poczucia bliskości - a przynajmniej tego, co zawsze przez bliskość rozumiała. Mieszkali, jedli, spali razem, mieli swoje prywatne dowcipy, których nikt inny nie potrafiłby rozszyfrować, znali się na wylot, a raczej aż po bieliznę. Wszystko to jednak sprowadzało się do rutyny, a nie wzajemnego rozumienia swych reakcji. Jean wyobrażała sobie, że wiciokrzew owinie się wokół głogu, że szczepy zasadzone obok siebie splotą się w łuk, że jedna łyżka umości sobie gniazdko w drugiej, że dwie odrębne istoty zespolą się w jedną. Głupie myślenie rodem z książek rysunkowych dla dzieci. Może kochać Michaela, nawet jeśli nie potrafi czytać w myślach czy przewidzieć jego reakcji; Michael może ją kochać, nawet jeśli bagatelizuje jej życie wewnętrzne. Łyżka nigdy nie zespoli się z nożem, to wszystko. Popelniła błąd, sądząc, że małżeństwo zniweczy reguły arytmetyki. Jeden plus jeden zawsze daje dwa.

Męczyzna po ślubie to już nie ten sam człowiek, ostrzegaly ją kobiety we wsi. Zobacysz, moja mała, mówiły. Jean była zatem tylko częściowo zaskoczona, że z ich związku powoli uchodzi przyjemność, a pojawiają się męczące niesnaski. Wpadał w złość, gdy mu przypominała, jaki był miły i rycerski w czasie zalecanek. Wyraźnie gniewało go oczekiwanie, by po ślubie zachowywał się tak samo, jak przed ślubem. Jeszcze bardziej go gniewało, że pośrednio zarzuca mu nieszczerłość, przedstawienie siebie w fałszywym świetle. Jakby mówił: wtedy się nie gniewałem, a teraz się gniewam, więc jak śmiesz oskarżać mnie o nieszczerłość, skoro to okazuję? Dla Jean nie miało jednak większego znaczenia, czy był dawniej szczery, jeśli teraz się gniewał.

Oczywiście to musi być głównie jej wina. To chyba normalne, że jej niezdolność do urodzenia dziecka, wzbudza w

Michaelu niewytłumaczalne napady wściekłości. Niewytłumaczalne, co nie znaczy nieuzasadnione czy nie usprawiedliwione. Tyle że jej niezdolność poczęcia dziecka była czymś niezmiennym, a jego wybuchy wściekłości następowały nieregularnie.

Z początku chciał ją wysłać do ginekologa. Pamiętała jednak poprzedni raz, gdy została przekonana, a raczej podstępnie zmuszona, do wyjazdu do Londynu. Jedna dr Headley wystarczy na całe życie; więc odmówiła.

- Może potrzebuję alpejskiego powietrza - powiedziała.

- Co ty wygadujesz?

- Alpejskie powietrze przywraca siły witalne - przytoczyła cytat jak przysłowie.

- Jean, kochanie. - Chwyił ją za nadgarstki i uściśnął, jakby zamierzał powiedzieć coś czulego. - Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś bezdennie głupia?

Odwrociła wzrok; on trzymał ją za nadgarstki; wiedziała, że musi na niego spojrzeć albo przynajmniej coś powiedzieć, zanim ją puści. Co chce osiągnąć swoją złośliwością? Być może jest głupia, choć nieśmiało podejrzewała, że nie jest; a nawet jeśli, czemu go to gniewa? Nie była ani trochę inteligentniejsza, gdy ją poznał, a wtedy jakoś mu to nie przeszkadzało. Poczula ból w żołądku.

Wreszcie, z nutką buntu w głosie, lecz nie patrząc mu w twarz, powiedziała:

- Obiecałeś, że mnie nie zwrócisz, jeśli będę miała defekt.

- Co?

- Gdy pojechałam na wizytę do dr Headley, spytałam, czy mnie zwrócisz, jeśli będę miała defekt. Powiedziałeś, że nie.

- Co ma piernik do wiatraka?

- Jeżeli uważasz, że mam defekt, możesz mnie zwrócić.

- Jean. - Ścisnął ją mocniej za nadgarstki, lecz nie chciała patrzeć w dużą czerwoną twarz, osadzoną na chłopięcej szyi. - Jezuu, nie mogę. - Wydawał się wyprowadzony z równowagi. - Nie mogę, kocham cię, Jezuu. Nie mogę, kocham cię. Tyle że czasami żałuję, że nie jesteś... inna.

Inna. Tak, wiedziała, że żałuje tego. Jest bezdennie głupia i bezdzietna. On chciał w niej kobiety inteligentnej i brzemiennej. Proste jak drut. „Orzeł - mamy sześcioro dzieci, reszka - kupujemy kota”. Będą musieli kupić kota.

- Boli mnie - powiedziała.

- Kocham cię - odparł, niemal krzyżąc z rozdrażnienia. Po raz pierwszy od pięciu lat po ślubie, ta informacja jej nie wzruszyła. Może mówi szczerze, ale szczerłość przestała być ważna.

- Boli mnie - powtórzyła, zawstydzona, że nie ma odwagi spojrzeć mu w twarz. Na pewno jeszcze bardziej nią pogardza za to, że ją boli.

W końcu puścił jej rękę. Po kilku miesiącach powrócił do tematu „wizyta u specjalisty”. Jean zgodziła się na eufemistyczną terminologię, choć w duchu powtarzała zwroty, które wyczytała, gdy Prosser Wstań-Słońce chrapał w sąsiednim pokoju. „Niedopasowanie narządów”, przypomniawszy sobie, i „niedrożność macicy”. Niedrożność - pomyślała o hydrauliku, który przyjdzie przetkać kanalizację i zadrzała. Jałowa, to jest właściwe słowo, biblijne słowo. Jałowa. Jak pustynia Gobi, co przywiodło jej na myśl wujka Lesliego. „Nie upuść, bo pofrunie więcej piasku, niż w wietrzny dzień na pustyni Gobi”. Ujrzała golfiarza, który zamachuje się raz po raz, lecz nie może trafić w piłkę.

Czasem jednak zastanawiała się, czy to takie proste, jak sądzi Michael. W okresie narzeczeństwa tężała, gdy wspominał o dzieciach. Wszystko po kolei, myślała. A później doświadczenie tego, co przychodzi najpierw nastroiło ją sceptycznie do tego, co przychodzi potem.

Może jest nienaturalna, a nie jałowa. A może jedno i drugie. Bezdennie głupia, jałowa i nienaturalna: takie wrażenie musi sprawiać z zewnątrz. W środku czuła się jednak inaczej. Można wzruszyć ramionami, jeżeli ludzie uważają ją za jałową i nienaturalną. Natomiast bezdennie głupia - wiedziała, co Michael ma na myśli, ale to także zbyt proste. Inteligencja nie jest cechą tak wyodrębnioną i niezmienną, jak się ludziom wydaje. Z inteligencją jest niczym z moralnością: można być cnotliwym w towarzystwie jednej osoby, a występny z inną. Można być inteligentnym z jedną osobą, a głupim z inną. To częściowo kwestia pewności siebie. Choć Michael był jej mężem, człowiekiem, który przemienił ją z nastoletniej dziewczyny w dojrzałą kobietę (przynajmniej w oczach świata), który zapewniał jej fizyczną i finansową opiekę, który udzielił jej swojego nazwiska, jednak zupełnie nie dawał jej poczucia pewności siebie. Bardziej rezolutna była chyba jako głupia osiemnastolatka. W wieku dwudziestu trzech lat, z Michailem, czuła się mniej pewna siebie, a co za tym idzie, mniej inteligentna. Taki obrót sprawy wydawał się jej niesprawiedliwy: Michael uczynił z niej osobę mniej inteligentną, a teraz pogardza nią za głupotę.

Może też uczynił ją bezpłodną. Czy to możliwe? Wszystko jest możliwe. Toteż gdy następnym razem spierali się na temat jej defektu, spojrzała mu w oczy i szybko, korzystając z chwili odwagi, powiedziała:

- Pójdę, jeśli ty pójdziesz.

- Nie rozumiem.

- Pójdę, jeśli ty pójdziesz.

- Jean, mówisz jak dziecko. Powtórzyc, to nie znaczy wyjaśnić.

- Może ty masz defekt.

Wtedy ją uderzył. Pierwszy i ostatni raz w życiu, właściwie trzepnął niezdarnie w nasadę szyi. Nie mogła się jednak domyślić, że to ostatni raz. Gdy wybiegała z pokoju, ze wszystkich stron opadły ją słowa. „Suka”, usłyszała najpierw, „kretynka, baba”, to ostatnie słowo wykute i wyostrzone, cięło jak nóż.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, słowa nadal fruwały w powietrzu, lecz były już pozbawione znaczenia. Dwa cale ściśle dopasowanego drewna zamieniały brutalną wiwiskę czyjegoś charakteru w zwykły zgiełk. Jakby Michael rzucał różnymi przedmiotami, które uderzając o drzwi wydawały z siebie identyczny dźwięk: czy to talerz, kałamarz, książka, nóż, czy też tomahawk przystrojony piórami i nadal ostry, choć wylądował w ciele tylu ofiar? Nie wiedziała.

I cieszyła się z tego, gdy przez następnych kilka dni rozmyślała o scysji, gdy przyjęła przeprosiny Michaela, lecz odrzuciła pieśczęty. Kije i kamienie połamią mi kości, lecz słowa mnie nie zranią. Ludzie, którzy ukuli to przysłowie mieli słuszne obawy, że prawda jest dokładnie odwrotna. Rany się goją (ta pierwsza rana w jej brzuchu zagoiła się w ciągu godziny), lecz słowa ropieją. Baba, wrzeszczał za nią Michael, związując dźwięk w kulkę, by cisnąć nim celniej na większą odległość. Baba, jak dźwięk z ust kwilącego dziecka; dwie sylaby, którym przydał nowe znaczenie: wszystko, co mnie w tobie wkurza.

Nie rozmawiali już więcej o dzieciach. Dalej się kochali, może raz na miesiąc, w każdym razie kiedy Michael miał ochotę. Jean przyjęła zupełnie bierną postawę. Gdy myślała o Michaelu i seksie, wyobrażała sobie zbiornik, który trzeba okresowo opróżniać, żeby woda się nie przelała. Niezbyt częste, niezbyt uciążliwe zajęcie, jeden z obowiązków gospodyni domowej. O sobie i seksie wolała nie myśleć wcale. Czasem udawała, z czystej uprzejmości, że odczuwa większą przyjemność niż naprawdę. Seks nie był już dla niej zabawny; wyłącznie pospolity. A wszystkie te zwroty, wyuczone kiedyś - głupie, podniecające zwroty, które zdawały się z nią flirtować - powróciły teraz z bardzo dalekiej przeszłości, z wyspy dzieciństwa. Z wyspy, której nie można opuścić nie zmoczywszy się. Pomyślała o nakładających się na siebie sinusoidach fal morskich i poczuła lekki wyrzut sumienia. Wszystkie te hasła - o krzywej normalnego pożądania czy znikomym i przejściowym wzbieraniu żądzy u kobiet przemęczonych i zapracowanych - przywoływały jej na myśl wyblakłe graffiti, jakie widzi się w przelocie na ścianie wiaty wiejskiego przystanku autobusowego.

Nie trzeba jej alpejskiego powietrza, a przemoczenie nie wynika z nadmiaru pracy. Prowadziła dom dla Michaela; uprawiała ogród; miała koty i psy, świadoma, że ludzie we wsi uważają je za zastępcze dzieci. Hodowała świnie, która uciekła i znaleziono ją jedzącą kocie oczy na środku drogi. Utrzymywała też pośredni kontakt ze zwierzętami, które boją się ludzi. Czasem, leżąc w łóżku, słyszała jeża brzękającego miską po mleku, jakby w podzięce, i uśmiechała się.

Przez dwadzieścia lat brała normalny udział w życiu wsi; chodziła z wizytą; pomagała, dawała datki; stała się, w swym własnym mniemaniu, raczej anonimowa. Nie była w rozpacz, choć nie nazwałaby się też szczęśliwą; dość ją lubiano, choć trzymała się na uboczu najważniejszych intryg; była, jak stopniowo uznała, dość pospolita. Z pewnością za taką ją uważał Michael. Można sobie jednak wyobrazić gorsze rzeczy. Jako dziecko czasem myślała, że może zostanie kimś wyjątkowym albo wyjdzie za kogoś wyjątkowego; ale przecież wszystkie dzieci tak myślą. Lekka otyłość zmiękczyła rysy twarzy. Z niskiego, szarego nieba, na którym trudno wyróżnić poszczególne chmury, zawsze może jednak lunąć deszcz.

Po latach zastanawiała się kiedyś, czy Michael jej nie zdradza. Nie zauważyła szminki na kołnierzyku, gorączkowego chowania zdjęć, raptownego odkładania słuchawki. Ale Michael jest przecież zawodowcem. Jediną poszlaką był sposób, w jaki na nią czasem patrzył: lotnik przygląda się z 18 000 stóp płonącemu frachtowcowi. Nigdy go nie spytała, on nigdy sam nie wystąpił z inicjatywą. Cudze życie jest niezgłębione.

Jej rodzice zmarli. Gdy miała trzydzieści osiem lat, przestała miesiączkować, co nie było dla niej powodem do zaskoczenia ani żalu: czuła, że jej istnienie zostało już dawno raz na zawsze zdefiniowane. Że miała czasem ochotę krzyczeć w środku nocy? Kto nie chce? Wystarczyło przyjrzeć się życiu innych kobiet, żeby zdać sobie sprawę, że mogło być gorzej. Gdy pojawiły się pierwsze siwe włosy, nie próbowała temu zaradzić.

Minął rok, odkąd przestała regularnie miesiączkować, gdy zaszła w ciążę. Kazała lekarzowi zbadać się powtórnie, nim przyjęła diagnozę. Powiedział, że nie jest to pierwszy tego rodzaju przypadek i bąknął coś na temat pociągów do Londynu. Jean podziękowała mu zdawkowo i wróciła do domu, by powiedzieć Michaelowi.

Dopiero po latach zdała sobie sprawę, że chciała sprawdzić jego reakcję. Z początku był zły, ale jakoś inaczej, jakby na siebie; może chciał ją posądzić o zdradę, lecz nie mógł, czy to ze względu na niedorzeczność oskarżenia, czy też własne nieczyście sumienie. Potem powiedział stanowczo, że za późno, aby mieli dzieci i że ma usunąć ciążę. Jak to się dziwnie porobiło przez te dwadzieścia kilka lat, dodał. Rozwinął swą myśl oświadczać, że cała sprawa jest dość porąbana i rechocząc, jak to się chłopaki zdziwiają. Potem przybrał błogi, cielecy wyraz twarzy i umilkł; może rozgrywał sobie w myślach krótkie scenki z życia ojca. Wreszcie zwrócił się do Jean i spytał, co ona o tym wszystkim myśli.

- Urodzę dziecko i odejdę od ciebie. - Nie miała wcale zamiaru mówić nic takiego, lecz wypowiedziane instynktownie, bez jakiegos świadomego aktu odwagi słowa nie zaskoczyły jej. Nie zaskoczyły też chyba Michaela, gdyż roześmiał się tylko.

- A to ci nowina! - powiedział z udawanym akcentem, który normalnie wprawiłby ją w zakłopotanie, teraz jednak była zdumiona. Michael najwyraźniej w ogóle nic nie rozumiał.

- Sądzę, że najpierw od ciebie odejdę, a potem urodzę dziecko. W tej kolejności. - Znów słowa te nie zaskoczyły jej. Gdy powtarzała je sobie w duchu, zdawały się nie tyle nie do odparcia, ile wręcz banalne. Nie czuła też lęku, choć oczekiwała, że Michael będzie zły.

Tymczasem on poklepał ją w ramię.

- Porozmawiamy o tym rano - powiedział i zaczął rozprawiać o serii kradzieży ubrań z miejscowego domu handlowego, których sprawcę nareszcie wykryto. W damskiej przebieralni założono lustro, przez które można patrzeć z drugiej strony i schowany w szafie funkcjonariusz zatrzymał transwestytę, który wsuwał sobie za biustonosz bluzki.

Chciała mu powiedzieć:

- Posłuchaj, ta decyzja nie ma nic wspólnego z tobą. Po prostu pragnę mieć trudniejsze życie. A tak naprawdę chodzi o pierwszorzędne życie. Może to nierealne, ale jedyna szansa to wyrwać się z drugorzędnego życia. Może poniosę zupełną porażkę, ale chcę spróbować. Chodzi o mnie, nie o ciebie, więc nie przejmuj się.

Nie mogła mu jednak tego wszystkiego powiedzieć. Należało przestrzegać pewnej etykiety, podobnie jak w kwestii, czy Michael ją zdradza. Należało się stosować do pewnych reguł, zezwalać na wybuchy gniewu, szanować pewne formy kłamstwa; należało odwoływać się do uczuć drugiej osoby, których wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wcale nie było. To między innymi rozumiała przez drugorzędne życie.

Zdała sobie sprawę, że jej odejście może Michaela zranić; zamiast skłaniać ją do pozostania, świadomość ta wzbudziła w niej odrobinę pogardy w stosunku do Michaela. Nie czuła się dumna z tej reakcji, ale po raz pierwszy od ślubu wiedziała, że ma nad nim pewną władzę. Może poczucie władzy zawsze rodzi pogardę, może dlatego uważał ją za bezdennie głupią. Jeśli tak, tym bardziej trzeba odejść.

Chciała to zrobić od razu, lecz wstrzymała się ze względu na dziecko. Lepiej, żeby przespało pierwsze miesiące bez ogłuszającego zgiełku przyszłego życia, życia gdzie indziej; lepiej nie pakować się w kłopoty, nim to będzie konieczne. Gdyby zniknęła teraz, w trzecim miesiącu ciąży, we wsi mamrotano by, że uciekła do kochanka, jakiegoś poznanego w herbaciarni żigolaka czy cyrkowego akrobaty. Jeżeli zaś wyjedzie po urodzeniu dziecka albo w końcowym okresie ciąży, nie będą wiedzieć, co o tym sądzić. Może pomyśla, że zwariowała. Kobiety często wariują po urodzeniu dziecka; zwłaszcza w takim wieku.

Sąsiedzi powiedzieli, że Bóg darzy późne dzieci specjalną łaską. Lekarz ostrzegł delikatnie przed możliwością mongolizmu i znów wspominał o połączeniach kolejowych ze stolicą. Michael obserwował ją zmieszany, rozdarty między chłpiące zadowolenie z siebie i nieokreślony strach. Wyczuwała ten strach i nie próbowała go złagodzić; postanowiła go

wykorzystać. Wiedziała, że kobiety w ciąży powinny zamknąć się w sobie, że matka i nie narodzone dziecko stanowią niezależną republikę, że stara magia plemienna każe mężczyznom zachowywać się inaczej, gdy ich żony brzuchacją - uczy ich świętej trwogi, która często wyraża się cikliwością.

Starła się zatem robić wrażenie bardziej nieobecnej niż w rzeczywistości. Zaczęła kapryścić, gdyż i tego się po niej na poły spodziewano. Nachodziły ją zresztą różne kaprysy - gęsty, mączny zapach karmy dla kur, którą mieszała w wiadrze, kusił ją, by skosztować; nie wspominała jednak o tych normalnych w jej stanie fanaberiach. Podczas długich popołudniowych spacerów przy mętnej, burej pogodzie ćwiczyła się za to w bardziej wymyślnych dziwactwach. Celowo zachowywała się wbrew swej naturze i wbrew swym uczuciom. Okazywała Michaelowi złość i znudzenie, lecz nie wtedy, gdy naprawdę je czuła; trenowała na zapas.

Ciąża zdawała się rozbudzać w niej większe oczekiwania, a łatwo nabyta chimeryczność sugerowała, że charakter nie musi być czymś raz na zawsze ustalonym. Nie była szczególnie zadowolona z tej fazy nieszczerości, lecz nie miała wyjścia - na zupełną szczerłość brakowało jej jeszcze odwagi. Odwaga przyjdzie może wraz z nowym życiem, drugim życiem. Przypominała sobie swoje rozczarowanie hiacyntami wujka Lesiego. Może jednak kofek potrafi zakwitnąć. Przecież jest z drewna.

\*\*\*

Jesienią, pod niezdecydowanym niebem, gdy delikatny wietrzyk odchyłał poły jej ortalionowego płaszcza i odsłaniał wydatny brzuch, myślała czasem o sierżancie lotnictwa, Prosserze. Na kilka tygodni przed jej ślubem odkomenderowano go z powrotem do jednostki. Stał przy porosłej bluszczem furtce z motywem wschodu słońca, przestępując z nogi na nogę i zerkając od czasu do czasu na bok, by sprawdzić, czy nie zniknęła walizka: wreszcie uśmiechnął się, nie patrząc na nią i poczłapał na stację. Jean chciała go zaprosić na wesele, ale Michael naburmuszył się. Co się od tego czasu działo z Prosserem? Jean spojrzała na niebo, jakby liczyła, że znajdzie tam odpowiedź.

Prosser był odważny. Twierdził, że w górze dostaje cykora, ale nie o to chodzi. Nie ma odwagi bez strachu, bez przyznania się do strachu. U mężczyzn odwaga polega na czym innym niż u kobiet. U mężczyzn odwaga polega na tym, żeby walczyć, ryzykując życie. U kobiet, tak przynajmniej wszyscy mówili, odwaga polega na wytrwałości. Mężczyźni okazują odwagę w nagłych wybuchach, kobiety w cierpliwym znoszeniu swej doli. Może odpowiada to ich naturze: mężczyźni są bardziej drażliwi, bardziej skorzy do gniewu niż kobiety. A może odwaga wymaga gniewu. Mężczyźni szli stawić czoło światu; kobiety zostawały w domu i okazywały odwagę, znosząc ich nieobecność. Potem, pomyślała Jean z sarkazmem, mężczyźni wracali i wpadali w gniew, a kobiety okazywały odwagę, znosząc ich obecność.

Była w siódmym miesiącu ciąży, gdy odeszła od Michaela, zrobiwszy mu rano zakupy. Na pewno będą trudności, chociażby z takimi rzeczami, jak... no na przykład podatek dochodowy. Wcześniej lękliwa półświadomość trudności opóźniłaby jej odejście na całe lata, teraz owe trudności wydawały się drobnostkami. Nie czuła się mądrzejsza dzięki ciąży, tylko nabyła inną perspektywę; choć może już to samo w sobie jest mądrością. Myślała o innych małżeństwach we wsi i z ulgą uznała, że jej własne wcale nie było takie najgorsze. Pani Lester, która czasem nie wychodziła z domu przez kilka dni, gdyż była zbyt posiniaczona, powiedziała kiedyś:

- Wiem, że ma swoje narowy, ale kto robiłby mu pranie, gdybym odeszła? - Dla pani Lester logika tego wywodu była nie do odparcia, natomiast Jean pokiwała zgodnie głową i pomyślała, że pani Lester jest trochę naiwna, ale tylko trochę.

Kobiety ze wsi (a Jean nie wykluczała siebie z tego grona) sterowały swymi mężami. Karmiły ich, dmuchały w ognisko, prały, zmywały i prasowały; we wszystkim im ustępowały, przyjmowały męską interpretację świata. W zamian dostawały pieniądze, dach nad głową, bezpieczeństwo, dzieci i nieodwracalny awans w wiejskiej hierarchii. Układ ten wydawał się korzystny, a gdy już został osiągnięty, za plecami mężów wyrażały się o nich z politowaniem, nazywając ich dziećmi, plotkując o ich słabostkach. Z kolei mężczyźni sądzili, że to oni sterują żonami: trzeba być stanowczym, lecz sprawiedliwym, jeśli dać im do zrozumienia, kto rządzi, wypłacać regularną sumę na dom, nie ujawniając, ile się zatrzymało na piwo, można im trochę popoľgować.

Wedle tutejszych reguł winna była zawsze strona odchodząca. - Porzuciła go, zostawił ją na lodzie - mawiano. Odejść to zdradzić; odejść to wyrzec się swych praw; odejść to okazać słabość charakteru. Wytrwaj, z nim przynajmniej wiesz, co cię czeka, zawsze są zwłoty i upadki, każdy kryzys w końcu mija.

Ileż razy słyszała porady, które zawsze beztrząsko wygłaszano i którym zawsze beztrząsko dawano wiarę.

- Ucieczka - mówili ludzie - jest dowodem braku odwagi. - Jean skłaniała się ku podejrzeniu, że jest wręcz przeciwnie.

- Bezdennie głupia - powiedział Michael. Jeżeli ja jestem bezdennie głupia, to i on nie był zbyt mądry, że się ze mną ożenił. Tak powinna była odparować. Albo przyznać, owszem, jestem bezdennie głupia, bo tak długo z tobą wytrzymałam. Tyle że wcale nie było tak źle, na przykład w porównaniu z panią Lester. Lecz kiedy Michael wrzasnął za nią baba, a słowo to rozprysnęło się po pokoju jak szrapnel, powinna była odpowiedzieć spokojnie, chłop. Czyli: to zrozumiałe, że się tak zachowujesz, wiem, jakie to dla ciebie trudne, współczuję ci. Mężczyznom trzeba współczuć, pomyślała Jean; i odejść. Kobiety wychowuje się w wierze, że odpowiedzią na wszystko są mężczyźni. Nie są. Nie są nawet jednym z pytań.

„Ostrzegałam cię”. Tylko tyle napisała na kartce. Musiała zostawić kartkę, żeby Michael sobie czegoś nie ubzdurał i nie zaczął szukać zwłok. Nie musiała jednak nic wyjaśniać; a przede wszystkim nie wolno jej przeproszać. „Ostrzegałam cię”. Liniowaną kartkę papieru zostawiła na stole w kuchni i przycisnęła dwoma pierścionkami: srebrnym z granatem (zaręczynowy) i platynową obrączką ślubną. Gdy pociąg wiozł ją w siną dal, powtarzała: „Ostrzegałam cię”. Zbyt długo słuchała, godziła się i sama powtarzała jakieś my, w które nie wierzyła. Teraz będzie już tylko j a. Wkrótce pojawi się nowe m y, ale inne. Matka i dziecko. Jakiego rodzaju jest to my? Pogrzebała w torebce i znalazła cienki pasek folii aluminiowej. Napis dodał jej otuchy: JEAN SERJEANT XXX.

Była nieprzytomna, gdy Gregory przyszedł na świat. Tak jest lepiej, mówili; w pani wieku mogą grozić powikłania. Nie sprzeciwiała się. Gdy się zbudziła, powiedzieli jej, że ma pięknego chłopczyka.

- Czy jest... - szukała chyba w tej części mózgu, która nadal spała. - Czy jest zdefektowany?

- Ależ skąd, pani Serjeant - przyszła odpowiedź, nieco karcąca, jakby niedoskonałe niemowlęta miały podważyć renomę szpitala. - Jak pani nie wstyd. Ma wszystko na swoim miejscu.

Wyglądał identycznie, jak wszystkie niemowlęta, lecz Jean, podobnie jak inne matki, ujrzała w nim ideał ponad możliwości opisu poetyckiego. Stanowił powszedni cud: połączenie bezradności i żywotności, wskutek czego była rozdarta

pomiędzy lęk i dumę. Kiedy ciężka głowa gibnęła się do tyłu na patyczkowej szyjce, w Jean zamarło serce; gdy drobne paluszki ścisnęły jej kciuk, jak gimnastyk szczebel drabinek, przeszła ją fala rozkoszy. Z początku ciągle po nim sprzątała; wszystkie upusty jego ciała współzawodniczyły ze sobą na polu wydajności; tylko uszy zachowywały się przyzwoicie. Wkrótce się do tego przyzwyczaiła, jak również do zapachów, jakie wnosi ze sobą niemowlę. Zaczyna od nowa, to należy pamiętać; Gregory dał jej szansę, by zacząć od nowa. Będzie go za to jeszcze bardziej kochała.

Nauczyła się, jakie dźwięki go uspokajają, niektóre zapożyczone z czasów, gdy opiekowała się zwierzętami. Cmokała i gaworzyła; czasem, dla odmiany, bzycała, jak owad czy odległy samolot. Gdy wyrzynał się pierwszy ząbek, było to dla niej wydarzenie światowej rangi, znacznie istotniejsze, niż pierwszy sputnik wystrzelony na orbitę.

Zanim zaczął chodzić do szkoły, wszędzie go ze sobą zabierała. Pracowała w piwiarniach, tanich restauracjach i barach z hamburgerami. Na zawsze zachowała w pamięci, jak jego pieluszki cuchnęły smażoną cebulą, jak go odstawiła na zaplecze w „Księciu Clarence”, niczym potajemnego, dwuletniego pijaka; zachowała w pamięci jego cierpliwe, baczne spojrzenie, gdy lustrował wzrokiem ociekającego potem kucharza, zabieganego kelnera, klnącego woźnicę z browaru. Pracodawcy często wciskali jej różne smakołyki, żeby podkar-miła delikwenta. Ubięła go z nieregularną pomocą wujka Leslie, który wrócił z Ameryki do Luton i zamiast racji żywnościowych, przysyłał teraz paczki z odzieżą. Niektóre z ubranek trzeba było trochę przerobić. Gdy Gregory skończył pięć lat, dostał na urodziny dwurzędowy garnitur wieczorowy, obwód w klatce piersiowej 42 cale, marszczoną wieczorową koszulę i szkarłatny cylinder.

Gregory mało się naprzykrzał. Wyrósł na spokojnego, biernego chłopca, jego ciekawość świata powściągał lęk; wolał patrzeć, jak inne dzieci się bawią, niż się do nich przyłączyć. Mieszkali w średniej wielkości miastach - z dworcem autobusowym, ale bez katedry. Jean myślała nieufnie o małych dziurach, gdzie wszyscy się znają, lecz i wielkie aglomeracje traktowała ostrożnie. Mieszkania wynajmowali; z nikim się nie przyjaźnili; Jean chciała zapomnieć o Michaelu. Gregory nigdy nie narzekał na wędrowny styl bycia, a gdy pytał o ojca, otrzymywał odpowiedzi dość zgodne z prawdą, z aluzjami do surowych wychowawców w swych poprzednich szkołach.

Z początku często się przeprowadzali. Niemal każdemu napotkanemu policjantowi przyglądała się z nerwową podejrzliwością, jakby Michael postawił w stan pogotowia wszystkie posterunki w kraju. Gdy stojkowy chylił głowę ku wyłogom munduru i zaczynał się zwierzać krótkofalówce, Jean widziała Michaela siedzącego w jakimś podziemnym centrum dowodzenia jak Winston Churchill. Wyobrażała sobie swoją twarz na plakatach rozjaśnionych niebieskim światłem reflektorów. Michael posiada jej namiary i każe ją sprowadzić do siebie. Każe ją przywieźć wozem drabiniastym. Zawieszają im tabliczki na szyjach i wszyscy wieśniacy po drodze wyjdą z domów, by obrzucić marnotrawną żonę wyzwiskami. Jean przypomniawszy sobie z sarkazmem wskazówkę z poradnika małżeńskiego: zawsze uciekaj.

Albo odbiorą jej Gregory'ego; tego się naprawdę bała. Michael powie, że odeszła od niego i nie nadaje się do wychowywania dziecka; właśnie, w końcu dopnie swego i uzna ją za zdefektowaną. Powie, że jest nieodpowiedzialna, że go zdradzała. Zabiorą jej syna, Gregory zamieszka z Michałem. Michael zgodzi sobie kochankę, oficjalnie jako osobę do prowadzenia domu. Ludzie we wsi pochwalą go za wyrwanie syna ze szponów włóczęgostwa i prostytucji. Powiedzą, że Jean ma w sobie cygańską krew.

Więc ciągle uciekali. Musieli uciekać, a Jean nie mogła mieć kochanków. Po prawdzie nie chciała tego, może się bała; co takiego powiedział Prosser? Że jak się człowiek raz sparzy...? Bała się, że jeśli będzie miała kochanków, odbiorą jej Gregory'ego. Wiedziała z gazet, że takie przypadki się zdarzają. Więc kiedy mężczyźni ją podrywali lub wyglądali na chętnych, a szczególnie kiedy ona miała ochotę, żeby ją podrywali, zaczynała niezbyt nachalnie grać cnotkę; bawiła się odpustową mosiężną obrączką ślubną, wołała do siebie Gregory'ego. Zaniedbała swój wygląd, nie broniła się przed coraz liczniejszymi pasemkami siwizny. Coś w niej tęskniło za czasami, kiedy nie będzie się musiała przejmować tymi sprawami.

Michael jej nie ściigał. Wiele lat później dowiedziała się, że co jakiś czas dzwonił do wujka Lesliego i wymógłszy na nim obietnicę, że zachowa milczenie, pytał o najświeższe wiadomości. Gdzie mieszkają, jak Gregory radzi sobie w szkole. Nigdy nie prosił, żeby wrócili. Nie zgodził sobie kochanki ani nawet gospodyni. Umarł na zawał serca w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, a Jean ubiegając się o spadek, potraktowała go jako alimenty.

Gdy Gregory miał dziesięć lat, dostał od wujka Lesliego na Gwiazdkę model samolotu do składania. Po wojnie Leslie wrócił do Anglii pełen opowieści, którymi chętnie się dzielił, o fascynujących i niebezpiecznych dokonaniach. Bajdy swe rozpoczynał, kładąc palec na ustach, aby wskazać, że sprawy, o których będzie mowa, są nadal ściśle poufne. Dziś Jean stwierdziła jednak, że ma dosyć męskich przygód. A może wyrosła już z wujka Lesliego; choć to bezlitosna reguła, nie można być zawsze tym samym wujkiem. Lubiała Lesliego, ale nie było sensu dalej uprawiać dziecinnych zabaw. Coraz częściej ogarniała ją zniecierpliwienie i mówiła: „Och, Leslie, zamknij się wreszcie”, gdy opowiadał Gregory'emu, jak to w czterdziestym trzecim sterował mikrookretem podwodnym przez Kanał, ubił niemieckiego wartownika na plaży koło Dieppe, pokonał nadmorską skałę, wysadził w powietrze lokalną fabrykę ciężkiej wody, sfrunął z powrotem na plażę i pożegłował w morze. Gdy opisywał bezgwiezdną noc i zmarszczki na wodzie podczas ponownego zanurzenia w mroczne otchłanie, Jean mamrotała „Och Leslie, zamknij się wreszcie”, choć widząc dwie rozczarowane twarze wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Dlaczego pozbawia Gregory'ego tego, co ją samą tak kiedyś cieszyło? Chyba dlatego, że Leslie zmyśla. Miał około siedemdziesiątki, choć przyznawał się tylko, że dwudziesta piąta wiosna jego życia minęła bezpowrotnie. Do Starego Zielonego Raju zaglądał już tylko po to, by przepłukać gardło. Może wypłukał z siebie poczucie rzeczywistości.

Modelem, który Gregory dostał na Gwiazdkę, był Lysander. Dopiero po kilku dniach składania chłopiec odkrył, że brakuje podwozia i części statecznika. Być może model był owocem jednej z wysoce skomplikowanych operacji bezgotówkowych wujka Lesliego, który pieniądze uważał najwyraźniej za bardzo prymitywny środek wymiany. Jean poszła do sklepu modelarskiego spytać o części zapasowe, lecz okazało się, że seria już dawno wyszła z produkcji.

Na pocieszenie kupiła Gregory'emu model Hurricane'a i z dumą zerkała, jak wycina pierwsze zastrzały z balsy. Pracował w milczeniu, a ostrze zakrzywionego, mosiężnego nożyka odbijało niekiedy światło. Samolot najbardziej się jej podobał, gdy stał na podściółce z gazet, w formie szkieletu, gustowny i niegroźny. Gdy został obleczony, nabrał wymownej powagi. Kokpit był z pleksiglasu, skrzydła i kadłub z kartonu, śmigło i koła z żółtego plastyku. Na jeden dzień dom zaniósł się zapachem kwaśnych cukierków, gdy Gregory pociągnął skórę samolotu lakierem bezbarwnym; powłoka skłęśla i oklapła, po czym naprężyła się, gdy lakier wysechł. Instrukcja sugerowała, by pomalować Hurricane'a na kolory ochronne: brązowe i zielone plamy na górze, aby zlały się z angielskim krajobrazem, niebieskoszare pod spodem, aby zlały się z niezdecydowanym angielskim niebem. Gregory pomalował cały samolot na różowo, a Jean odetchnęła z ulgą. Ten pamiętny, wysmukły kształt budził w niej sentyment, ale i niepokój; teraz, ze swym idiotycznym ubarwieniem i komicznymi żółtymi kołami, był tylko zabawką dla dziecka.

- Kiedy puścimy?

Ale Gregory potrzęsnał głową. Był puculoватым dziesięcioletkiem i pilnym uczniem, któremu niedawno przepisano okulary korekcyjne. Nie po to zbudował Hurricane'a, by go puszczać; mógłby się rozbić. A to byłby dowód, że Gregory źle go poskładał. Nie warto ryzykować.

Gregory złożył różowego Hurricane'a, purpurowego Spitfire'a, pomarańczowego Messerschmitta i szmaragdowego Mitsubishi; żadnego z nich nie puścił. Chyba wyczuwał dyskretne zdziwienie matki i chyba odczytał je jako rozczarowanie, gdyż pewnego wieczoru oświadczył, że kupił Vampire'a, że model jest wyposażony w silnik odrzutowy i że zamierza go puścić. Jean ponownie obserwowała zmarszczone w skupieniu czoło, troskliwą precyzję, z jaką polyskujący nóż wrzynał się w słoje balsy. Patrzyła, jak klej twardnieje na koniuszkach palców Gregory'ego w drugą skórę, która złuszczy się pod koniec dnia. Czuła zapach kwaśnych cukierków i znów nie mogła wyjść z podziwu, że krucha konstrukcja krzepnie i nabiera jędrności. Vampire wyglądał pokraccznie, z krótkim, strąkowatym kadłubem i zespołem stateczników połączonym z skrzydłami za pomocą długich zastrzałów. Jean myślała, że samolot przypomina fasolę na rusztowaniu, póki Gregory nie pomalował go na złoty kolor.

Wynajmowali pokoje na przedmieściach Towcester, w domu ze schodami przeciwpożarowymi, które opadały zygzakiem po tylnej ścianie. Zwykle Gregory nie ufał odrapanym żelaznym stopniom, bał się nawet solidnych podestów na zakrętach schodów, lecz teraz nie widać było po nim lęku. Byli na wysokości piętnastu stóp nad ziemią; dwadzieścia jardów dalej, na końcu ogrodu, rosły dwie jodły, a jeszcze dalej, za zwartym żywopłotem o rdzawym listowiu, otwierał się widok na przedmieścia. Jesienne niebo było bladoniebieskie, upstrzone wysokimi, strzępiastymi chmurami; wiał łagodny wietrzyk. Doskonała pogoda dla lotników.

Gregory zdjął nakrętkę aluminiowego silniczka na podbrzuszu Vampire'a i włożył brązowy pojemnik z paliwem stałym. Przez niewielki otwór wcisnął kawałek knota. Trzymając na wysokości ramienia strączkowy kadłub samolotu, poprosił matkę, by zapaliła lont. Gdy ogień trzaskał i migotał, Gregory delikatnie powierzył samolot przychylnemu powietrzu.

Szybował znakomicie, jakby dla potwierdzenia, że Gregory sumiennie wykonał robotę. Niestety na locie ślizgowym się skończyło: powoli spłynął na trawnik i wylądował bez szwanku. Prawdopodobnie lont zgasił za wcześnie, nie zapaliwszy raketowego paliwa; może paliwo było zbyt wilgotne albo zbyt suche, lichy wie. Zeszli na dół i podnieśli błyszczącego Vampire'a.

Brakowało silniczka. W kartonowym podbrzuszu kadłuba była wypalona dziura. Gregory nachmurzył się: silniczek musiał wypaść przy starcie. Szukali najpierw u dołu schodów, nie znaleźli, potem szli śladem lotu aż do miejsca, gdzie samolot wylądował. Potem szukali pod różnymi kątami do toru lotu, wkrótce tak odchylonymi od nadanego kierunku, że przynosiły ujmę zdolnościom modelarskim Gregory'ego; umilkł i wrócił do domu. Późnym popołudniem, pod zagniewanym niebem, Jean odkryła aluminiowy cylinder w buczynowym żywopłocie za jodłami. Silniczek nie był uszkodzony. Z pewnością wystartował, tyle że zostawił samolot za sobą.

Gregory zarzucił składanie samolotów. Niebawem zaczął się golić; zmienił dziecięce oprawki okularów na rogowe; przez nowe okulary zaczął się rozglądać za dziewczynami. Nie wszystkie dziewczyny odwzajemniały jego spojrzenia.

Nie przestali uciekać, nawet po śmierci Michaela. Jako nastolatek, Gregory zagościł w kilkunastu szkołach. W każdej szybko dołączył do bezpiecznej, anonimowej grupy chłopców, którzy nie wchodzą w drogę klasowym chuliganom, ale i nie są specjalnie lubiani. Nikt nie mógł mu nic zarzucić, ale też nikt nie miał specjalnego powodu za nim przepadać. Na kilkunastu placach zabaw przyglądał się z boku zapamiętaniu innych. Gdy miał czternaście lat, siedział kiedyś w restauracji nad autostradą, gdzie Jean pracowała jako zastępca kierownika. Gregory zasiadł przy stole pod mętym oknem, szerokim na całą ścianę i grał w komputerowe szachy, które dostał od wujka Lesliego. Automat, pozbawiony dwóch pionków, piszcząc i bucząc, wykonując kolejne ruchy i osaczając przeciwnika. Gregory uśmiechał się życzliwie do kratkowanego przyrządu, jakby doszukał się w nim ludzkich odruchów. Niekiedy, czekając, aż komputer podejmie decyzję, zerkał na pędzące w dole samochody, na huczący strumień ludzi, którzy chcieli czym prędzej znaleźć się w innym miejscu. Oglądał ich bez zawiści.

Jean nie patrzyła w ogóle, skupiona na swej pracy, gdyż tak łatwo było rzucić okiem z mostu i dać się pociągnąć za jakąś rodzinną limuzyną ze sprzętem biwakowym na dachu, za sportowym kabrioletem siejącym śmiech i rozwiany włos, a nawet za rozklekotaną furgonetką przewożącą z hrabstwa do hrabstwa stare rupiecie. Jak Gregory to robi, że siedzi tak flegmatycznie i kiwa głową do swego buczącego przyjaciela, nieporuszony kuszącym pędem jazdy? Miała świetną pracę w restauracji nad autostradą, ale szybko z niej zrezygnowała.

Gdy Gregory był już na tyle duży, że można go było zostawić samego, Jean zaczęła podróżować. Rodzice, a potem Michael, zostawili w spadku trochę pieniędzy; Gregory przekonywał ją, żeby wydała je na siebie. Była już dobrze po pięćdziesiątce i poczuła pragnienie, by znaleźć się gdzie indziej, gdziekolwiek. Wychowując Gregory'ego, widziała prawie całą Anglię, ale ucieczka nie liczyła się jako podróżowanie. Tymczasowa znajoma wytłumaczyła jej, że nowa skłonność jest przypuszczalnie substytutem seksu.

- Rozwiń skrzydła, Jean - powiedziała jej dwudziestopięcioletnia dziewczyna, która tak się już natrzepotała swoimi, że membrana była napięta jak karton w modelach samolotów. Jean nie wierzyła w teorię substytutów; wszystko jest tym, czym jest.

- Chcę podróżować - odparła po prostu.

Nie chciała poznawać innych krajów, nie czuła w sobie żyłki awanturniczkiej; chciała tylko być gdzie indziej. Z początku jeździła na wycieczki do miast europejskich: trzy dni deszczowych widoków z za szyb autokaru i obowiązkowego zwiedzania muzeów, trzy dni zamawiania potraw, które powinny ją zaskoczyć; z reguły zaskakiwały. Jeździła sama, lecz choć tęskniła za Gregory'm, rzadko czuła się samotnie. Za towarzystwo wystarczały jej najbanalniejsze rzeczy: gazeta w języku, którego nie rozumiała; obskurny kanał z tęgowymi smugami ropy; witryna zaniedbanej apteki czy wulgarnego sklepu bielizniarskiego; narożne zapachy kawy, środków czyszczących i świńskich koryt.

Pewnej jesieni Leslie poinformował o wygranej na wyścigach i wykupił Jean jednodniową wycieczkę Concordem pod piramidy. Co za połączenie rozrzutności i banału: była zbyt przejęta, żeby spytać wujka o imiona koni. Śniadanie zjadła wysoko, nad brązowiejącymi angielskimi łanami pszenicy, a obiad systemem szwedzkim, w Holiday Inn w Kairze. Przegnana ją przez bazar; do zdjęcia grupowego uszczęśliwiono nakryciem głowy a la Lawrence z Arabii; posadzono na wielbłąda; na koniec pokazano piramidy i Sfinksa. Były tak blisko Kairu: zawsze wyobrażała sobie, że Sfinks czyha gdzieś pośród ruchomych piasków, a Wielka Piramida jawi się mgliście jak fatamorgana z księżycowego krajobrazu pustyni.



Tymczasem wystarczyło przejechać autokarem za przedmieścia Kairu. Jeden z siedmiu cudów świata okazał się łatwym łupem niedzielnego turysty.

Gdzieś nad pogrążonym w ciemnościach Morzem Śródziemnym, gdy samolot wyrwał się naprzód, Jean przypomniała sobie rymowaną, wyuczoną dziesiątki lat wcześniej na lekcjach religii w wiejskiej szkole:

Pierwszy, egipskie, kamienne piramidy.

Drugi, babilońskie ogrody Semiramidy.

Trzeci, grób Mausolosa, owoc miłości gorącej...

Utknęła. „Trzeci, grób Mausolosa, owoc miłości gorącej”... Gorącej, gorącej... stojący, tak. „W Efezie stojący”. Co takiego stoi w Efezie? „Piąty, kolos rodyjski, w spiżu ku słońcu wzniesiony” - przypomniała jej się nagle cała linijka; ale potem było już gorzej. Chyba coś z Jowiszem i jeszcze jedna rzecz w Egipcie?

Po powrocie poszła do biblioteki sprawdzić siedem cudów świata, lecz nie mogła znaleźć żadnych z rymowanki. Nawet nie piramidy? Ani wiszące ogrody Babilonu? Encyklopedia wymieniała; Koloseum w Rzymie, katakumby w Aleksandrii, Mur Chiński, Stonehenge, Krzywą Wieżę w Pizie, Porcelanową Pagodę w Nankinie i kościół Hagia Sophia w Konstantynopolu.

No cóż. Może są dwie różne listy. A może lista jest aktualizowana, gdy któryś z cudów się zawali i powstanie nowy. Może każdy ma prawo wymyślić sobie prywatny zestaw. Czemu nie? Jej zdaniem katakumby w Aleksandrii nie brzmiały zbyt zachęcająco. Może już ich tam nie ma. Porcelanowa Pagoda w Nankinie, to samo: mało prawdopodobne, że dotrwało do naszych czasów cokolwiek porcelanowego. A jeśli dotrwała, czerwone mundury na pewno ją obaliły.

Powzięła plan, żeby zwiedzić siedem cudów. Miała już za sobą Stonehenge, Krzywą Wieżę i Koloseum. Jeżeli zamieni katakumby na piramidy, to daje cztery. Zostaje Wielki Mur Chiński, Porcelanowa Pagoda i Hagia Sophia. Pierwsze dwa można zaliczyć podczas jednej podróży, a jeśli Porcelanowa Pagoda nie istnieje, zastąpi ją katedrą w Chartres, którą już widziała. Zostanie Hagia Sophia, ale wujek Leslie powiedział kiedyś, że w Turcji jedzą jeże, więc zastąpiła kościół Wielkim Kanionem. Czuli, że to drobne oszukaństwo, gdyż Wielki Kanion nie jest do końca dziełem rąk ludzkich, ale wzruszyła na to ramionami. Nie ma już nikogo, kto by nad nią stał i sprawdzał takie rzeczy.

W czerwcu pojechała na wycieczkę do Chin. Najpierw pojechali do Kantonu, Szanghaju i Nankinu, gdzie spytała miejscowych przewodników o Porcelanową Pagodę. Była pagoda bębnowa i pagoda dzwonu, ale nikt nie słyszał o pagodzie porcelanowej. Dokładnie tak, jak podejrzewała. Milczał na ten temat również przewodnik turystyczny, wspominał natomiast, że chlubą Nankinu jest „Zu Chong Zhi, matematyk, który dokonał przybliżonego wyliczenia liczby Pi”, jak również „Fan Zhen, filozof, który zasłynął z eseju „Zniszczalność duszy”. Jakież to dziwne, pomyślała Jean. Przecież dusza ma być czymś w rodzaju absolutu. Albo istnieje, albo nie istnieje. Jak można ją zniszczyć? Może to kwestia złego tłumaczenia. No a Pi - czy to również nie jest absolut? Jaki sens ma puszenie się z wyliczenia, które jest poprawne tylko w przybliżeniu, to właściwie sprzeczność sama w sobie. Spodziewała się po Chińczykach, że będą nieco inni, ale to wszystko wydawało się postawione na głowie.

W Pekinie zatrzymali się na trzy dni. W pierwszy zwiedzili Wielki Mur Chiński, to jest podeszli na odległość, z której widać było Mur wspinający się z gracją na wzgórze. Przewodniki informowały, że jest to jedyne dzieło rąk ludzkich widoczne z księżycą: Jean próbowała to sobie uświadomić, wchodząc do wieży strażniczej, ciemnej i smrodliwej jak publiczna toaleta. Zauważyła też dużą liczbę graffiti wyrżniętego w górnych kamieniach Muru. Chińskie graffiti wyglądało gustownie i na miejscu. Widząc jej zainteresowanie, jowialny rudobrody wycieczkowiec odcyfrował dla niej jeden z napisów: „Nie strzelać, póki nie zaświecą żółtka ich oczu”. Jean uśmiechnęła się uprzejmie, lecz myślami była gdzie indziej. Czemu Chińczycy kują w Murze graffiti? Czy to jakiś uniwersalny instynkt? Równie uniwersalny, co pragnienie, by wyliczyć Pi, choćby w przybliżeniu?

Drugiego dnia zwiedzili pałace i muzea, a trzeciego - świątynie i sklepy ze starociami. W Świątyni Nieba obiecano im prawdziwą frajdę: Mur Ech. Jean snuła się po głowie, że kiedyś ktoś ją zabrał na galerię szeptów - może jest coś takiego pod kopułą katedry św. Pawła w Londynie - ale nie mogła sobie dokładnie przypomnieć.

Mur Ech stał na południe od głównych budynków Świątyni: okrągły, trzydzięci do czterdziestu metrów średnicy, z jedną bramą. Gdy weszli do środka, echo już wypróbowywały grupy Chińczyków. Przewodnik wyjaśnił, że dwie osoby mogą stanąć w przeciwległych punktach na obwodzie muru i mówiąc normalnym głosem, zwracając się pod pewnym kątem do cegieł, będą doskonale słyszalne. Nikt nie wiedział, czy był to zamierzony, czy też przypadkowy efekt.

Jean podeszła do najbliższego miejsca przy murze. Czuli się zmęczeni. Powietrze w Pekinie było wyjątkowo suche, a mikroskopijny, wszędobylski pył ponoć przywiał prosto z pustyni Gobi. Nie upuść kija, mawiał wujek Leslie, bo pofrunie więcej piasku, niż w wietrzny dzień na pustyni Gobi. Michael miał ją za bardziej jałową, niż pustynia Gobi. Pył wciskał się jej do oczu, poczuła, że ogarnia ją nagły smutek. Muru Ech nie należy zwiedzać samotnie, tak jak nie należy w pojedynkę wjeżdżać do Tunelu Miłości. Brakowało jej... kogoś, nie wiedziała kogo. Nie Michaela; może jakiejś wersji Michaela, kogoś, kto jeszcze żyje i mógłby jej towarzyszyć, kto poczłapałby na drugą stronę muru, kaszlnął w cegłę, przywędrował z powrotem na środek, porządził, że do niczego ta ściana, a w ogóle to jak mogą nie mieć w Chinach indyjskiej herbaty? Kogoś nieco marudnego, ale nie traktującego swej marudności poważnie. Kogoś, kto może ją znudzić, ale nigdy jej nie przestraszy.

Płonne nadzieje. Oparła się o mur i przycisnęła ucho do ceglanego łuku. Usłyszała jakiś bezładny bełkot, a potem dwa wyraźne zachodne głosy.

- Najpierw ty.

- Nie, najpierw ty.

- Czemu ja?

- Bo ja się wstydzę.

- Ty się wstydzisz?

Głosy należały zapewne do jakiejś pary z wycieczki Jean, lecz nie potrafiła ich zidentyfikować. Mur odsiewał z nich wszelką indywidualność, zamieniał w uogólniony głos zachodni, bezpłciowy.

- Myślisz, że tu jest podsłuch?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Widzisz tego faceta w maojce? Wygląda, jakby nadstawiał ucha.

Jean uniosła głowę. Kilka metrów przed nią sędziwy Chińczyk w oliwkowej marynarce i maojce wyciągał szyję ku

ścianie. Zaczęła rozpoznawać zachodnie głosy: należały do młodej pary małżonków, trochę beczelnych i zbyt świeżo upieczonych jak na gust reszty wycieczki.

- Wujaszek Mao wylał sobie na fiuta kakao.
- Vincent! Na miłość boską.
- Chciałem tylko sprawdzić, czy stara czapa maojka rozumie po angielsku.
- Vincent! Powiedz coś innego. Powiedz coś przyzwoitego.
- Dobra.
- No mów.
- Gotowa?
- Tak. Mów.
- Masz świetne nogi.
- Och, Vincent, naprawdę?

Jean postanowiła darować sobie resztę zrozumiących czułości, lecz stary Chińczyk nadal wyteżał słuch. Co jest lepsze: nie rozumieć nic, tak jak on, czy rozumieć wszystko, tak jak ona?

Prócz II i kwestii duszy, Chiny okazały się bardziej normalne i przystępne niż sobie wyobrażała. To prawda, że czasem miała wrażenie, jakby słuchała zaszyfrowanej mowy, mamroczącej coś z pokrytego kurzem muru. Częściej jednak były to słowa w jej własnym języku, wypowiedane z przekonaniem, lecz z odmienną emfazą. W epoce azjatyckiej... - przewodnicy często zaczynali w ten sposób zdanie, a Jean z początku wierzyła w to, co słyszała - że Chińczycy nazywają stare czasy epoką azjatycką, gdyż ich cywilizacja odgrywała wtedy dominującą rolę w świecie. Nawet gdy się już zorientowała, że chcą powiedzieć „starożytnej”, wołała słysząc „azjatyckiej”. W epoce azjatyckiej...

- Na polach uprawiamy zboże i pyrz. - Pozostali uczestnicy wycieczki, szczególnie beczelna młoda para, zachichotali, ale Jean delektowała się tym eksperymentalnym językiem.

- Na polach rosną ziemniaki i kuraki.
- W 1974 roku świątynię przebalowano.

- Proszę płakać przy kasie. - Nawet Jean się uśmiechnęła na to przejęzyczenie, usłyszane w Kantonie; uśmiech wzbudziła jednak jego trafność. Zachodni turyści wysiadali z autobusów i wydawali pieniądze na rzeczy, na które większość Chińczyków nigdy nie będzie stać. Płakać przy kasie, słusznie, taka kantońska ściana płaczu.

Nie, ten kraj nie był wcale taki dziwny. Na prowincji panowała nędza i zacofanie, ale Jean widziała obrazy, które mogły pochodzić z jej własnego dzieciństwa: świnia, przywiązana sznurkiem do błotnika roweru, w drodze na jarmark; staruszka kupująca dwa jajka ze straganu, lustruje je podejrzliwie pod światło; świergot targujących się głosów; błotnisty, posuwisty rytuał orki i cerowanie ubrań. Ten ostatni zwyczaj, który na Zachodzie prawie wymarł po wojnie, tutaj miał się znakomicie: w maleńskiej wiosce syczuńskiej, gdzie się zatrzymali, żeby pójść do ubikacji i zrobić zdjęcia, widziała suszącą się pocerowaną szmatę do naczyń. Za sznur do bielizny służył bambusowy kij wsparty na gałęziach banianu. W więcej niż połowie szmata składała się z cer.

Stara nędza wyglądała podobnie; jeszcze bardziej podobnie wyglądały owoce nowych pieniędzy; duże radia, japońskie aparaty fotograficzne, jasna odzież pozbawiona zieleni i błękitu - te mdłe intruzy z niedawnej przeszłości. Także okulary słoneczne: młodzieńcom z wyjątkami radioodbiornikami, nawet pod pomnikiem Sun Yat-sena, bez ciemnych okularów brakowało czegoś do kompletu, choć tego dnia niebo było zaciągnięte ciężkimi chmurami. Jean zauważyła, że moda nakazuje zostawić maleńką nalepkę z nazwą producenta.

W nankińskim zoo były dwa perskie koty w klatce, podpisane „perskie koty”. We wspólnocie pod Chengdu pokazano im niewielki warsztat, w którym wyrabiano futra ze skóry psów; młodzi małżonkowie pozując do zdjęcia, ubrali się kolejno w alzatczyka. W cyrku w Pekinie sztukmistrz żonglował złotymi rybkami, które z dumnym rozmachem wyjmował z pękających rękawów jedwabnej marynarki - sztuczka ta nie wydała się Jean zbyt trudna. W Kantonie, na targach handlowych, widzieli plastikowe bonsai.

Przewodnicy uważali, że dodaje im powagi posiadanie megafonu na baterie. W Yangzhou do mikrobusu wsiadł kurier, aby ich powitać w mieście, a wycieczkowicze - siedzący nie dalej niż trzy metry od dudniącego głosu - skulili się w sobie i z trudem powstrzymywali śmiech. W fabryce jadeitu wprowadzającą przemowę zmianowej tłumaczył przewodnik, którego megafon odmówił posłuszeństwa. Zamiast jednak odłożyć przyrząd na bok, przewodnik wołał krzyżeć przez tubę. Gdy przyszła pora na pytania, ktoś chciał się dowiedzieć, jak odróżnić dobry jadeit od złego. Zepsuty przyrząd wykrzyczał z siebie odpowiedź:

- Patrzymy na kamień i w ten sposób oceniamy jego jakość.

Jean sądziła, że podróże lotnicze w Chinach umiędzynarodowiły się; tymczasem nawet w tej dziedzinie panował orientalny bałagan. Stewardesy wyglądały jak uczennice i zupełnie nie wiedziały, po co żyją; gdy lądowali w Pekinie, jedna z nich stała cały czas nieruchomo i chichotała do siebie nerwowo. Na pokładzie nie podawano alkoholu, za to pasażerowie otrzymywali batony orzechowe, kawałki czekolady, paczki cukierków, herbatę i upominek. Jean wzbogaciła się w ten sposób o breloczek do kluczy i maleńki adresownik w plastikowej okładce, którego rozmiary sugerowały, że typowy pasażer chińskich linii lotniczych jest mizantropem.

W Chengdu spytała jednego z miejscowych przewodników - postawnego, dwornego mężczyznę gdzieś między dwudziestką a sześćdziesiątką - jak mu się żyje. Jego odpowiedź była miejscami precyzyjna, miejscami enigmatyczna. Niedawno wrócił z dziesięcioletniego pobytu na wsi. Były problemy. Nauczył się angielskiego z taśm i płyt. Co rano przed śniadaniem wynosi nieczystości z nocy na sąsiednie wysypisko. Mają jedno dziecko. Dziecko często zostaje u dziadków. Żona jest mechanikiem samochodowym. Pracuje na inną zmianę, co jest korzystne, gdyż on lubi ćwiczyć angielski z płyt i taśm. Nie pije na przyjęciu, bo nie chce się skompromitować i zamknąć sobie drogi do Partii. Były problemy, ale już się skończyły. Przysługuje mu jeden dzień wolnego w tygodniu, plus pięć dni oddzielnie w ciągu roku, plus dwa tygodnie po ślubie. Przez te dwa tygodnie wolno podróżować. Może ludzie po to się rozwodzą, żeby znów się pobrać i mieć więcej urlopu.

Na dwa pytania przewodnik nie był w stanie odpowiedzieć. Gdy Jean spytała, ile zarabia, wyglądał, jakby nie zrozumiał, choć doskonale mówił po angielsku. Powtórzyła pytanie w rozbudowanej formie, świadoma, że być może popełnia *faux pas*.

- Chce pani wymienić pieniądze? - odparł w końcu.
- Tak - odpowiedziała uprzejmie - o to właśnie chciałam spytać; może zdołam wymienić pieniądze w hotelu

wieczorem.

- Może lepiej zaczekać do jutra - rzekł.

- Oczywiście.

Drugie pytanie zdawało się jej mniej drażliwe.

- Chciałby pan pojechać do Szanghaju?

Nie zmienił się na twarzy, ale i nie odpowiedział. Może nie zrozumiał nazwy w angielskiej wymowie.

- Chciałby pan pojechać do Szanghaju? Do Szanghaju, wielkiego portu?

Znów przejściowy atak głuchoty. Powtórzyła pytanie; uśmiechnął się tylko, rozejrzał dokoła, nic nie mówiąc. Gdy Jean przemyślała później ten incydent, doszła do wniosku, że była nie tyle nietaktowna, jak w przypadku pytania o dochody, co nieuważna. Już wcześniej udzielił jej bowiem odpowiedzi. Miał tylko pojedyncze dni wolnego; był żonaty, a zatem wykorzystał już przysługujące mu raz w życiu dwa tygodnie; nie można pojechać do Szanghaju na jeden dzień. Nie było istotne, czy chciałby pojechać. Zadała mu fałszywe pytanie.

W Nankinie, gdzie było gorąco i wilgotno, Jean sama przeżyła atak głuchoty; przeziębła się, dostała kataru i jedno ucho odmówiło posłuszeństwa. Nocowali w hotelu wybudowanym przez firmę australijską; z kapy na łóżku kłuł w oczy wzór z liści eukaliptusa, na zasłonach baraszkowały misie koala, toteż było jej jeszcze bardziej gorąco. Pograżona w półśnie Jean usłyszała, jak sądziła, zachłanny bzyk komara. Czemu komary nie darują sobie starszych wiekiem ofiar, nie uganiają się za młodszym ciałem, jak mężczyźni? Naciągnęła kołdrę na głowę. Po chwili zrobiło się jej zbyt gorąco, lecz gdy tylko zacerpnęła nieco powietrza, komar znów zerwał się do lotu. Zdenerwowana Jean jeszcze kilka razy bawiła się ospale w chowanego, po czym zdała sobie sprawę, w czym rzecz: jej niedosłyszające ucho odbierało świst powietrza w nosie jako bzyk komara. Całkowicie rozbudzona, sprawdziła, że w pokoju panuje absolutna cisza i roześmiała się na ten drobny odgłos z przeszłości. Dokładnie jak Prosser Wstań-Słońce: niechący strzelał ze swych własnych dział i uciekał przed wymagowanym wrogiem. Ona też sama napędzała sobie strachu, ona też była naprawdę zupełnie sama.

\*\*\*

Jean nigdy nie bała się latania samolotem. Nie potrzebowała wlewać sobie do uszu muzyki przez plastikową rurkę, zamawiać przysadzistych buteleczek z trunkami czy wymacywać piętą kamizelki ratunkowej pod fotelem. Kiedyś nad Morzem

Śródziemnym opadła kilka tysięcy stóp w dół; kiedyś samolot zawrócił do Madrytu i krążąc wokół miasta przez dwie godziny, zużywał paliwo; kiedyś, lądując od strony morza w Hongkongu, odbili się od pasa lotniska jak podskakujący na wodzie kamień. Za każdym razem Jean pograżała się tylko głębiej w myślach. Gregory - pilny, melancholijny, metodyczny - martwił się o nią. Gdy odwoził Jean na lotnisko, czuł zapach nafty i wyobrażał sobie zwęglone ciała; w wyciu silników przy starcie słyszał czysty głos hysterii. W dawnych czasach ludzie bali się piekła, nie śmierci, a artyści obrazowali te lęki w panoramach bólu. Teraz piekła już nie było, wiadano, że strach jest czymś skończonym, a rolę diabła przejęli inżynierowie. Choć nie było w tym świadomego zamysłu, konstruując samolot i czyniąc wszystko, co w ich mocy, by uspokoić latających, zdaniem Gregory'ego, inżynierowie stworzyli najbardziej piekielne warunki do umierania.

Ignorancja, to był pierwszy aspekt nowoczesnej, inżynierskiej formy śmierci. Jeśli samolot nawalił, pasażerowie dowiadywali się tylko niezbędnego minimum. Jeśli odpadło skrzydło, szkocki kapitan oznajmiał spokojnym głosem, że nastąpiła awaria automatu do sprzedaży napojów orzeźwiających i dlatego właśnie postanowił wejść w korkociąg, nie ostrzegając wcześniej swych podopiecznych, by zapięli pasy. Do chwili śmierci słyszałeś kłamstwa.

Ignorancja, ale i pewność. Gdy spadałeś z 30 000 stóp, czy nad ziemią, czy nad wodą (z tej wysokości woda miała twardość betonu), wiedziałeś, że zginiesz, i to kilkusetkrotną śmiercią. Jeszcze przed bombą atomową samolot zapoznał nas z ideą śmierci zwielokrotnionej: przy uderzeniu o ziemię, szarpnięcie pasów bezpieczeństwa wywoływało śmiertelny atak serca; później ginęło się ponownie w ogniu; wybuch rozpraszał zwłoki po jakichś zapomnianych przez Boga wzgórzach i wreszcie, gdy ekipy ratunkowe ruszały na poszukiwania pod drwiącym niebem, spalone, rozszarpane, pozbawione akcji serca strzępki umierały jeszcze raz wskutek bezlitosnego działania żywiołów. To było normalne; to było pewne. Pewność powinna wykluczać ignorancję, lecz niestety, samolot odwrócił ogólnie przyjętą relację między tymi dwoma pojęciami. W przypadku śmierci tradycyjnej, siedzący u węzłowia lekarz informował, co jest nie w porządku, lecz rzadko wyrokował, jaki będzie ostateczny rezultat: nawet najbardziej sceptyczny konował doświadczył w swej karierze kilku cudownych wyleczeń. Czyli dawna pewność przyczyny i ignorancja skutku zostały zastąpione ignorancją przyczyny i pewnością skutku. Gregory nie mógł się w tym dopatrzeć postępu.

Trzeci aspekt - zamknięcie. Czy nie wszyscy lękamy się klaustrofobii trumny? Samolot sankcjonował i uwypuklał ten wizerunek. Gregory pomyślał o pilotach z czasów pierwszej wojny światowej, którym wiatr gwizdał melodyjnie w dźwigarach; o pilotach z czasów drugiej wojny światowej, którzy jechali po płycie lotniska w paradzie zwycięstwa, ogarniając zarówno niebo, jak i ziemię. Lotnicy ci stykali się z naturą. Kiedy dwupłat ze sklejki rozpadł się pod wpływem nagłego wzrostu ciśnienia powietrza, kiedy Hurricane, spisawszy czarnym dymem swój własny nekrolog, z wizgiem spadał w łan zboża, można się było przynajmniej ludzić, że taki kres ma w sobie coś godziwego: lotnik wyszedł kiedyś z ziemi i został przyzwany z powrotem. Ale w samolocie pasażerskim z bezlitośnie szczelnymi oknami? Jak można znaleźć słodką pociechę w odwiecznym rytmie natury siedząc na bosaka i przerażonym okiem nie widząc nic prócz krzykliwych pokrowców na fotele? Taka scenografia nie spełnia podstawowych wymogów.

A skoro mowa o scenografii, to można przejść do czwartego aspektu: obsady. Jak większość z nas chce umrzeć? Nie jest to łatwe pytanie, lecz Gregory'emu przychodziły do głowy różne możliwości: w otoczeniu rodziny, z księdzem lub bez - taki jest tradycyjny model, śmierć jako rodzaj ostatniej wieczerzy wigilijnej. Albo w otoczeniu miłej, spokojnej, usługowej obsługi medycznej, zastępczej rodziny, która umie łagodzić ból i nie robić zbytniego zamieszania. Jeżeli zaś rodzina zawiedzie, a na szpital kogoś nie stać, można chcieć umrzeć w domu, w ulubionym fotelu, ze zwierzęciem do towarzystwa albo ogniem w kominku, albo kolekcją zdjęć, albo mocnym trunkiem. Kto jednak miałby ochotę umrzeć w towarzystwie trzystu pięćdziesięciu obcych, z których nie wszyscy będą się przyzwyczajali zachowywać? Żołnierz może gnać na pewną śmierć - przez bagno, przez step - lecz umrze w towarzystwie ludzi, których zna, trzystu pięćdziesięciu mężczyzn, których obecność pozwoli mu ze stoickim spokojem dać się rozerwać na pół seria z karabinu maszynowego. Ale ci wszyscy obcy? Nie obejdzie się bez krzyków, na to jedno można liczyć. Umrzeć, słuchając swych własnych krzyków nie jest przyjemnie; umrzeć, słuchając cudzych krzyków to pomysł rodem z tego nowego inżynierskiego piekła. Gregory wyobraził sobie siebie na polu zboża, z buczącą plamką w górze. Choćby wszyscy krzyczeli, trzysta pięćdziesiąt osób jak jeden mąż, normalna

histeria silników wszystko by zagłuszyła.

Wrzask, zamknięcie, ignorancja i pewność. A na dodatek pełen komfort. To był piąty i ostatni element triumfu inżynierów. Umierało się w wygodnym fotelu z zagłówkiem. Umierało się ze składanym plastikowym stolikiem, w którego blacie był okrągły otwór, żeby się kawa nie wylała. Umierało się z bagażem na przestronnych półkach i z plastikowymi zasłonkami na bezlitośnie szczelnych oknach. Umierało się z całą armią dziewcząt na usługi. Umierało się w pluszowym wystroju, który miał wprawiać w dobre samopoczucie. Umierało się, zgasiwszy papierosa w popielniczkę w oparciu fotela. Umierało się, oglądając film, z którego usunięto większość scen miłosnych. Umierało się ze skradzionym ręcznikiem w kosmetyczce. Umierało się z informacją, że dzięki korzystnym wiatrom dotrzesz na miejsce przed planem, dziękujemy za wspólnie spędzony czas. Rzeczywiście: przed planem. Umierało się z napojem orzeźwiającym sąsiada na spodniach. Umierało się komfortowo, lecz nie w swoim domu. W domu nieznanego, który na dobitkę zaprosił mnóstwo zupełnie obcych osób. Jak w takich okolicznościach można uznać swój własny zgon za coś tragicznego, czy nawet istotnego, czy nawet godnego wzmianki? Taka śmierć drwi sobie z umierającego.

\*\*\*

Jean zwiedziła Wielki Kanion w listopadzie. Krawędź północna była niedostępna, a drogę z Williams od południa torowały pługi śnieżne. Zarejestrowała się w hotelu na skraju Kanionu; zapadł zmierzch. Nie było jej spieszo z rozpakowywaniem walizek, a zanim poszła rzucić okiem na Kanion, najpierw odwiedziła hotelowy sklep z pamiątkami. Nie chodziło jej o to, by zostawić sobie przyjemność na później, wręcz przeciwnie - Jean spodziewała się rozczarowania. W ostatniej chwili miała nawet zamiar zrewidować listę siedmiu cudów świata i zamiast Kanionu obejrzeć Most Złotej Bramy.

Śnieg leżał głęboki na stopę, a słońce, niemal zrównane z horyzontem, pewną ręką zakreśliło pomarańczowe półkole na przeciwległych wierzchołkach gór. Granica królestwa słońca dokładnie pokrywała się z dolną linią śniegu: wyrastające z pomarańczowych dziaseł śniegu pomarańczowe zęby gór, wpijały się w koślawe pomarańczowe chmury; poniżej śniegu wszystko przybierało suche kolory brązu, umbrę, skóry bawolej, a głęboko w dole, pośród mętnej zieleni snuła się strużka srebra - jak metaliczny szew ożywiający smętną tweedową bluzę. Jean ścisnęła oszronioną barierkę i była szczęśliwa, że jest sama, że tego, co widzi, nie trzeba przekładać na słowa, opisywać, omawiać, komentować. Szczęśliwy widok z perspektywy rybiego oka był rozleglejszy, głębszy, pokaźniejszy, podnioslejszy, dziksz, piękniejszy i groźniejszy, niż to uważała za możliwe; ale i ten, pełen zachwytu, ciąg przymiotników nie zadowolili jej. Rachel, najbardziej bojowa ze wszystkich dotychczasowych dziewczyn Gregory'ego, powiedziała jej przed podróżą:

- Mówię ci, jakbyś miała nieustanny orgazm. - Niewątpliwie chciała ją zaszokować i słowa te rzeczywiście szokowały; ale tylko przez swą nieadekwatność. W porównaniu z tym seks - nawet namiętny seks, jaki Jean wyobrażała sobie, ale którego nigdy nie zaznała - jest nie więcej niż zabawą w Sznurówki Trzewików, łaskotaniem w podbicie. Ktoś inny obiecał, że będzie się czuła jak „świadek Stworzenia”, ale i to były tylko słowa. Słowa już się jej przejadły. O ile Kanion pomniejszała turystów na skraju przepaści do lilipucich rozmiarów, o tyle wydawane przez nich odgłosy - trajkotanie, pokrzykiwanie, pstrykanie migawek aparatów - przeradzały się w bzyczenie owadów. To nie jest miejsce, gdzie się dowcipkuje, majstruje przy światłomierzu, ciska śnieżnymi pigułkami. To miejsce przerasta słowa, przerasta ludzkie odgłosy, przerasta wszelkie interpretacje.

Mawia się, że wielkie katedry gotyckie posiadały moc nawracania samym swym istnieniem. Nie chodziło tylko o chłopów rozdziawiających gęby w podziw. Również wyrafinowane umysły mówiły sobie: Skoro istnieje coś tak nieskończenie pięknego, czy idea, która była temu natchnieniem, może być fałszywa? Jedna katedra jest warta stu teologów potrafiących logicznie dowieść istnienia Boga. Umysł pożąda pewności, a być może najbardziej pożąda tej pewności, która rozumu nie potrzebuje. Być może to, co umysł rozumie, czego potrafi mozolnie dowieść i przyjąć do wiadomości, jest zarazem tym, czym najbardziej gardzi. Umysł chce, by pewność zaszła go od tyłu w ciemnej uliczce i położyła mu nóż na gardle.

Być może na turystów religijnych Kanion wpływał tak samo, jak katedra, bez słów dowodził boskiej potęgi i majestatu Jego dzieł. Reakcja Jean była przeciwna. Kanion wzbudził w niej zamęt, niepewność. Gdy siedziała i myślała przy obiedzie, usiłowała nie myśleć słowami, a jeśli już, to ostrożnie. Jedynym słowem, które przypuściła do siebie na dłużej, było zatem. Kanion, a zatem... Jeżeli Kanion jest pytaniem, co jest odpowiedzią? Jeżeli Kanion jest odpowiedzią, co jest pytaniem? Kanion, a zatem...? Nawet odpowiedź sceptyczna, Kanion, a zatem nic, wydawała się ważką. Ktoś powiedział, że największą tragedią dla ducha jest urodzić się człowiekiem religijnym w świecie, w którym wiara nie jest już możliwa. Czy nie równie tragiczne jest urodzić się człowiekiem niereligijnym w świecie, gdzie wiara jest możliwa?

Następnego ranka, przed odjazdem, Jean oparła się jeszcze raz na oszronionej barierce i patrzyła w głąb Kanionu. Teraz zaglądało tam słońce i pełzło ku rzece. Setki, może tysiące stóp pod Jean ciągnęły się trawiaste połacie. Górskie grzbiety, pozbawione pomarańczowego koloru, w porannej szacie zdawały się posępne i odległe; śnieg mrugał na białą. Idąc tropem własnego warkotu, na niebie pojawił się sportowy samolot. Pierwszy przelot turystów tego dnia, owad unoszący się nad olbrzymią raną. Przez chwilę leciał na poziomie oczu Jean, po czym zajął w dół do krętej szczeliny, która zamykała z dwóch stron rzekę. Jakie to dziwne, pomyślała Jean, stać na ziemi, a mimo to być wyżej niż samolot; zobaczyć skrzydła i kadłub od góry to tak, jak zobaczyć, z innej niż zwykle strony, liść albo ćmę. To chyba wbrew naturze, żeby samolot latał poniżej powierzchni ziemi. Tak, jakby wynurzający się okręt podwodny wyskoczył z wody - monstrualna latająca ryba.

Wbrew naturze. Czy rzeczywiście? Kiedy mówimy „wbrew naturze”, mamy na myśli „wbrew rozumowi”. To właśnie natura dostarcza cudów, przywidzeń, pięknych szalbierstw. Czterdzieści lat wcześniej, natura pokazała pilotowi Kataliny motocyklistę spokojnie prującego fale Atlantyku, czterysta pięćdziesiąt mil od wybrzeża Irlandii. Natura to uczyniła. Rozum później zaprzeczył, gdyż zjawy sprzeciwiała się rozumowi, nie naturze. Rozum i człowieczy spryt wybudowały pierwszych sześć cudów świata, które Jean wcześniej zwiedziła. Natura dorzuciła siódmy i dopiero siódmy zasypał ją pytaniami.

\*\*\*

Przez Fundusz Dobroczynny RAF-u dotarła do wdowy po Prosserze Wstań-Słońce. Nazywała się teraz Redpath i mieszkała koło Whitby. Jean wysłała do niej list i kilka dni później dostała pocztówkę z portem rybackim pod jasnobłękitnym niebem. „Proszę wpaść, kiedy pani będzie po drodze. Derek i ja lubimy wspominać dawne czasy. Ze też po

tylu latach trafił się ktoś, kto zna Tommy'ego! PS. Pogoda nie jak na odwrocie”.

Olive mieszkała w gustownym domu komunalnym, w osiedlu, które nie zdążyło się jeszcze zżyć ze swym otoczeniem na wzgórzu. Bezlistne słupy drzew okolone były cylindrami z drutu kolczastego, a betonowych przystanków autobusowych nie oszpeciła jeszcze wilgoć czy graffiti. Jean było po drodze znacznie wcześniej, niż spodziewała się pani Redpath.

- Ciekawe, co może być nagle takiego pilnego, skoro tyle lat mogło czekać. - Było to na poły stwierdzenie, na poły pytanie. Jean została poczęstowana kawą i posadzona w fotelu naprzeciwko telewizora. Olive i Derek siedzieli na otomaniu - Derek za parawanem dymu papierosowego. Jak zauważyła Jean, narzuta otomany była uszyta z jasnego materiału w kratkę, jakiego często używa się na pokrowce foteli lotniczych.

- Naprawdę wpadłam po drodze. Muszę jechać do Manchesteru.

- Do Manchesteru! To chyba jakiś skrót. - Pani Redpath zakpiła z rozrzutności i niezgłębionej logiki mieszkańców południa. - Słyszałaś, Derek? Do Manchesteru!

- Dziwne, że się pani nic nie stało - powiedział Derek, odrywając się na zaskakująco długą chwilę od papierosa. - Ludzie mówią, że tu u nas ludożercy grasują.

- Aż takie pilne to chyba rzeczywiście nie jest. Ale chciałam przyjechać, póki mi to chodzi po głowie.

- Kuć żelazo, póki gorące - powiedziała Olive.

- Pani... pani zmarły mąż...

- Tommy.

- Tommy... Tommy kwaterował u nas podczas wojny. W domu moich rodziców. Kiedy został odkomenderowany z West Mailing. Bardzo dużo rozmawialiśmy... - Nie wiedziała, jak to dobrze ująć.

- Jedną z jego narzeczonych, co? - Zainteresowała się Olive z przychylnym śmiechem.

- Nie, nie, nic z tych...

- Wcale by mi to nie przeszkadzało, słonko. Nawet miło byłoby pomyśleć, że poczciwy Tommy miał się do kogo przytulić na koniec. Zawsze był z niego czaruś.

Czaruś? Ostatnia rzecz, jaka przysłały Jean do głowy. Trochę grubo ciosany, gwałtowny, niekiedy wręcz chamski. Umiał być miły, ale czar nie był jego mocną stroną.

- To się rzeczywiście narzuca, ale nic między nami...

- Pierwsze, co powiedziałam, prawda, Derek? Popatrz, popatrz, jedna z dawnych narzeczonych Tommy'ego wyszła spod korca po tych wszystkich latach. Gdybym wiedziała, nie wyrzuciłabym go za drzwi.

- Wyrzuciła za drzwi?

- Tak, wyrzuciłam go za drzwi, kiedy się przeprowadziliśmy. To nie miało sensu. Kiedy to było, Derek, dziewięć, dziesięć lat temu?

Derek zamyślił się, powoli wciągając i wypuszczając dym.

- Teraz wszystko trwa dłużej, niż się człowiekowi zdaje - odparł.

- Wszystko jedno, może dwanaście lat temu, wyrzuciłam go za drzwi. Przeprowadziliśmy się, wszystkiego nie dało się zabrać. Od lat do tego nie zaglądałam, a ten jego, jak mu tam, strój wojenny, nie wiem, po co to w ogóle trzymałam, w każdym razie mole go zjadły. Więc wszystko wyrzuciłam. Listy, zdjęcia, kilka bezsensownych rzeczy, których nawet nie oglądałam, żeby mi nie było smutno, Derek był jak najbardziej za.

- No, to trochę za mocno powiedziane, słonko.

- W każdym razie nie był przeciw. Ale o co mi chodzi: Tommy ma swoje miejsce w moim sercu, to na diabła mu miejsce na moim strychu, no nie? - Olive, której wyraźnie zbierało się na płacz, nagle zatrzęsła się śmiechem, strącając trochę popiołu z papierosa Dereka. - Kochany był z niego chłopak, Tommy, jak go pamiętam. Ale życie musi iść dalej, prawda?

- Tak - powiedziała Jean.

- Szybciej, niż pani sądzi.

- Chociaż nie pomyślałabym, że jest pani w jego typie - powiedziała Olive dość krytycznym tonem.

- Zupełnie nie byłam w jego typie - powiedziała Jean. Milczeli przez chwilę. - Chciałam spytać... Urwał mi się z nim kontakt, kiedy go odkomenderowali. Chciałam spytać... kiedy był u nas, bardzo chciał wrócić do latania.

- Tak? - powiedziała Olive. - Osobiście myślałam, że nie grzeszył odwagą. - Zauważyła zmianę na twarzy Jean. - Na pewno nie była pani jedną z jego narzeczonych? Bo tak się pani zachowuje. Ale nieważne, tylko mówię, co myślę. Jaki jest sens owijając w bawełnę?

- Żadnego - przyznała Jean. - Nie jestem jakoś specjalnie zaszokowana. Ale sądziłam, że był odważny. Że oni wszyscy byli odważni.

- Mogę pani na pewno powiedzieć, że Tommy P. nigdy nie tracił z oczu kwestii bezpieczeństwa osobistego, o ile jasno się wyrażam. Nigdy nie miałam mu tego zresztą za złe. Dlatego byłam trochę zaskoczona, kiedy usłyszałam, że wrócił do latania.

- Robił wrażenie, że bardzo mu na tym zależy.

- Tak pani sądzi... Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to dziwi. Teraz już tego nie rozstrzygniemy, a odkąd go wywaliłam, nie mam jego listów. - Olive zarechotała. - W każdym razie byłam pewnie bardziej zaskoczona, niż pani. A potem, niech pomyśle... - przerwała, choć na pewno nie pierwszy raz opowiadała tę historię. - Minęło ledwo kilka dni, może tydzień, kiedy dostałam list od jego, jak mu tam, zastępowego...

- Dowódcy eskadry - dopomógł Derek.

- Dowódcy eskadry, dziękuję ci, z informacją, że zaginął, prawdopodobnie poniósł śmierć w akcji. Dosyć mnie to rąbnęło, powiem pani. Miałam do Tommy'ego dużą słabość, byliśmy dopiero z rok po ślubie, planowaliśmy założyć rodzinę po wojnie... Więc piszę do zastępowego i pytam: w jakiej akcji? Poniósł śmierć w jakiej akcji? A on odpisał, i znów jak mu jest bardzo przykro, jaki z Tommy'ego był wspaniały facet, a skąd niby wiedział, skoro Tommy został odkomenderowany ledwie kilka dni wcześniej, a potem coś tam bąknął o tajemnicy wojskowej. Na to ja mu odpisałam: Nie zgadzam się, chcę wiedzieć, więc przyjeżdżam się z panem zobaczyć. Żeby mi nie zdążył odpisać, że tego też zabrania tajemnica wojskowa, od razu pojechałam. Jeszcze kawy, słonko?

- Nie, dziękuję.

- Ekspres cały czas grzeje, więc wystarczy powiedzieć. Zajechałam na miejsce, co nie było łatwe, spotkałam się z

facetem od eskadry i powiedziałam: Słuchaj pan, w jakiej akcji? Gdzie? Był dość miły, ale powiedział, że nie może tego ujawnić. Ja na to, za kogo mnie pan bierze, za niemieckiego szpiega? Zabili mi Tommy'ego, a ja chcę wiedzieć, gdzie. W końcu powiedział, że we Francji, a ja na to, że bardzo dziękuję za szczegółowe naświetlenie sytuacji, bo myślałam, że w Islandii. A poza tym, co to znaczy zaginał i nie żyje? Jeśli zaginał, to może żyje, a jeśli nie żyje, to nie zaginał, no nie? Na to facet od eskadry powiedział, że Tommy odłączył się od reszty kumpli (przerwałam mu, że to w stylu Tommy'ego, wszystko na własną rękę), a trochę później któryś z pozostałych pilotów widział Hurricane'a, który, jak on to nazwał, stracił sterowność i spadał w dół. I ten pilot podleciał się przyjrzeć, to był Tommy, a potem facet widział, jak samolot uderzył o ziemię.

- Ja na to, że chcę się zobaczyć z tym facetem. On mi mówi, że to wbrew przepisom, ale odstawiłam numer z historyczką, powiedziałam, że nie ruszę się z miejsca, póki mi tego nie załatwi, płakałam jak bóbr (to akurat nie było trudne) i wie pani, co powiedział?

- Powiedział, że musisz podpisać zobowiązanie do zachowania tajemnicy państwowej - wtrącił Derek.

- Nie ciebie pytam, głupi. Powiedziałam, że nie mam nic przeciwko temu. Dawać mi tu papiery, podpisałam, nawet nie patrząc, mogli mi podetkać cokolwiek, i zabrali mnie do tego faceta. Mac coś tam, nie pamiętam. Ale drużynowy na pewno zdążył go ustawić jak trzeba. Powiedział tylko, że nad Francją i że spadł. Ja pytam, skąd pan wiedział, że to Tommy? On, że samolot ma z boku wymalowany numer. Ustawił się panu elegancko boczkim, żeby pan sobie mógł odczytać, mówię. Powiedział, że numery maluje się kobylistycznymi cyframi, żeby się dało odczytać, ale widział, że jestem zła. Znow się rozplakałam i jedno, o czym byłam w stanie myśleć, to jakie duże są numery. Wtedy ten Mac jak-mu-tam wstał, ścisnął mi rękę i powiedział, że nic więcej nie wie, ale że jeżeli wpadnę do „Trzech Statków” koło ósmej, może sobie przypomni coś więcej.

Przyszłam pod pub jeszcze przed otwarciem, powiem pani. Byłam już trochę podchmielona, zanim się pojawił, ale pamiętam wszystko, co mówił. Lecieli nad Francją, mniej więcej w ósemkę i zauważyli, że Tommy jakby odsuwa się na bok. Pewnie przez wzgląd na bezpieczeństwo osobiste, jak znam życie. Więc ten co rządzi wzywa go przez, jak mu tam...

- Radio - mruknął Derek, tym razem jak najbardziej pytany.

- ...przez radio, żeby wrócił do szyku. Nie było odpowiedzi. Próbował kilka razy, ale wyglądało na to, że radio Tommy'ego wysiadło. Potem zauważyli, że wspina się do góry, więc dowódca kazał temu Macowi, żeby spróbował go dogonić. Powiedział, że miał problemy, bo Tommy szedł prosto pod słońce, więc niewiele było widać. Ale po jakimś czasie znalazł się na tyle blisko, że zobaczył Tommy'ego w kabinie - nie zemdlął ani nic. Trzymał dłoń przed oczami, pewnie żeby go słońce nie oślepiło. Wołał do niego przez radio, ale Tommy nie odpowiadał. Wystrzelili z dział, ale też nic nie pomogło.

- Więc dowódca mu kazał wrócić i dołączyć do reszty, a Tommy niech sobie robi, co mu serduszko dyktuje. Dla mnie to oczywiste, że samolot mu nawalił i nie chciał lecieć inaczej, jak tylko do góry, ale Mac zaczął wracać jak mu kazali, a tu w połowie drogi widzi, że jakiś Hurricane pikuje w dół. Ja mówię: to wtedy odczytałeś numer. Zawstydził się i powiedział, że samolot stracił sterowność, więc nie było widać numeru, ale kiedy był mniej więcej na równi z nim, zobaczył pilota. W każdym razie zarys pilota. Oczywiście nie był w stanie rozpoznać, że to Tommy, ale powiedział, że ktokolwiek to był, trzymał rękę przed oczami, tak jak Tommy, gdy się wspiął. A potem Mac poleciał za nim kawałek w dół, ale nie było szans. Nie skoczył ze spadochronem. I tak skończył mój Tommy.

Derek objął Olive ramieniem i przytulił, a dym papierosa łąsił się jej do ramienia i wpełzł we włosy.

Jean nie wiedziała, co powiedzieć; siedziała i czekała.

- Dobrze go pani pamięta? - Spytała w końcu Olive.

- Tak. Dobrze go pamiętam. Byłam jeszcze bardzo młoda. Robił mi... robił mi kanapki Alarm Odwołany.

Olive nie zareagowała.

- Zauważyła pani, że ostatni guzik kombinezonu zostawiał zawsze rozpięty?

- Nie, nie sądzę.

- Zauważyła pani, że ciągle gonił oczami, nie potrafił utrzymać głowy w jednej pozycji?

- Tak, pamiętam. - Michael to skomentował, widział w tym dowód, że Prosser jest śliski. - Myślałam, że ma taki tik.

- Tik? - zachnęła się Olive. - Ładny mi tik. Posłuchaj, słonko, na tych Hurricane'ach trzeba było kręcić głową co trzy sekundy albo śmierć. - Na wężnianym ramieniu Dereka Olive obracała głowę z lewa na prawo, mrużąc oczy pod słońce w poszukiwaniu Messerschmitta. - Weszło mu w nawyk, wie pani.

- Aha.

- Z tego samego powodu nie zapinał ostatniego guzika kombinezonu. Mieli na to pozwolenie, bo musieli ciągle kręcić głową. Specjalny przywilej. Nikomu innemu w wojsku nie wolno było. - Olive dalej obracała głowę z boku na bok, przerywając tylko od czasu do czasu, by się zaciągnąć papierosem Dereka.

- Aha.

- Nikt tak nie rozumiał Tommy'ego jak ja - powiedziała Olive dość zapalczywie, a Derek przytulił ją w milczeniu.

Wracając pociągami do domu, Jean wyglądała przez okno i myślała o ostatnim locie Prossera Wstań-Słońce. Oczywiście mogło dojść do awarii, blokady sterów; był tak zajęty próbami zapanowania nad maszyną, że nie miał czasu reagować na radio czy wystrzał z dział kolegi. Nie wierzyła w to jednak. Scenariusz zbyt dokładnie pokrywał się z tym, co jej Prosser kiedyś powiedział, czterdzieści lat wcześniej. Piąć się pod słońce, patrzeć przez lekko rozstawione palce. Powietrze coraz rzadsze; samolot dygocze i zwalnia. Para zamarza na pleksyglasie od wewnątrz. Narasta chłód. Coraz mniej tlenu. Stopniowy przyływ zadowolenia, potem radości. Ocieężałość; miła ocieężałość ciała i myśli...

\*\*\*

Kiedy Jean urodziła Gregory'ego, kiedy karmiła go piersią, kiedy odprawiała go do szkoły, kiedy stała na zygżaku schodów przeciwpożarowych pod Towcester i patrzyła, jak Vampire szybuje łagodnie w dół, podczas gdy silnik błędzi, nabrawszy bezcelowego przyspieszenia, żywiła wszelkie normalne nadzieje co do przyszłości swego syna. Żeby ci się powiodło, żebyś był szczęśliwy, żebyś był zdrow, żebyś był inteligentny, żebyś był kochany; żebyś mnie kochał. Gdy pochylał się cierpliwie nad pajęczyną dźwigarów samolotu, gdy nawilżał karton i czekał, aż się napręży, gdy napelniał pokój zapachem kwaśnych cukierków, ona również leniwie budowała, budowała swe własne wyobrażenie, jak powinny wyglądać stosunki między pokoleniami. Młodzi stoją nam na ramionach, pomyślała, i będąc wyżej, widzą dalej. Mogą też spojrzeć stamtąd na drogę, którą myśmy przebyli i uniknąć błędów, które myśmy popełnili. Coś im przekazujemy:

pochodnie, pałeczkę, brzemię. Gdy słabniemy, oni krzepną; młody człowiek niesie przodka na plecach, a za rękę prowadzi swe własne dziecko.

Widziała jednak w życiu wystarczająco dużo, żeby wątpić w to wszystko. Obrazy te wydawały się trwałe, lecz zrobione były tylko z drzewa balsa i kartonu. Wcale nierzadko rodzice stoją na ramionach dziecka, wdeptując je w miękką glebę. Dziecko aż za dobrze widzi błędy rodziców, ale za całą naukę ma z tego tyle, że popełnia inne błędy. Rodzice rzeczywiście przekazują coś dzieciom: białaczkę, syfilis, katar sienny. Gdy młody człowiek weźmie na plecy przodka, wyskoczy mu dysk, gdy poprowadzi za rękę dziecko, zwicznie sobie ramię. Jean życzyła więc swemu synowi nie tylko pomyślności, ale i uniknięcia nieszczęść. Obyś nie cierpiał smutku, biedy, choroby. Obyś się nie wyróżniał z tłumu. Obyś dawał z siebie wszystko, lecz nie gonił za niemożliwym. Obyś był bezpieczny z samym sobą. Obyś się nie sparzył, nawet raz.

W późniejszych latach zadawała sobie pytanie, czy te skromne ambicje udzieliły się Gregory'emu. Jeżeli dziecku w łonie matki mogą zaszkodzić sprzeczki rodziców, o ileż bardziej prawdopodobne, że po urodzeniu wchłonie niewypowiedziane nadzieje - nadzieje unoszące się w powietrzu jak zapach kwaśnych cukierków. Może to pod wpływem Jean Gregory stał się pokornym, uległym nastolatkiem, a później zamkniętym w sobie młodym człowiekiem? Był uprzejmy i nie raził swą powierzchownością; nikt nie miał mu za złe pucułowatej, różowej twarzy, belferskiej aparycji, jaką nadawały mu okulary w rogowej oprawie. Czasem jednak Jean łapała się na myśli: Mógłbyś być kimkolwiek innym. Mógłbyś. Mógłbyś być inny niż mój syn. Zdała sobie jednak sprawę, że właśnie tego od początku mu życzyła: obyś się niczym nie wyróżniał. Obyś nie gonił za niemożliwym.

Niektóre ze swych oczekiwań wypowiadała na głos. Nie stabilizuj się zbyt wcześnie. Jako dwudziestolatek nie rób czegoś, co cię uwięzi na resztę życia. Nie rób tego, co ja zrobiłam. Podróżuj. Ciesz się życiem. Zorientuj się, kim jesteś. Poszukuj.

Gregory rozumiał, do czego próbuje go nakłonić matka, lecz miał wrażenie (jak to dzieci), że są to bardziej jej niespełnione marzenia, niż istotne dla niego wskazówki. To prawda, że nie miał ochoty się uwiązać, ale nie miał też zbytnej ochoty podróżować. To prawda, że chciał się dowiedzieć, kim jest, cokolwiek to znaczyło, ale bez zbytejnego wysiłku. Cieszył się życiem? Tak, chciał cieszyć się życiem. A dokładnie mówiąc, chciał chcieć. Gregory uważał się za ignoranta w dziedzinie przyjemności życiowych. Inni ludzie wiedzieli, gdzie ich szukać i jak je zdobyć. Nie mógł zrozumieć, skąd z góry wiedzą, gdzie kryje się przyjemność. Przypuszczalnie obserwowali innych ludzi, zapamiętywali, co im sprawia radość, po czym robili to samo. Dla Gregory'ego rzecz nie przedstawiała się tak prosto. Gdy obserwowali grupy ludzi nastawionych na przyjemność: piwoszy w pubie, kibiców sportowych, plażowiczów, ogarniała go dotkliwa zawiść, ale i wielkie zażenowanie. Być może coś się w nim poprzestawiało. Wiedział, że aby odczuwać przyjemność, trzeba w nią wierzyć. Pilot, który zbliża się do końca pasa startowego, wierzy we wzlot. Nie jest to tylko kwestia rozumienia zasad aerodynamiki, lecz także kwestia wiary. Gregory drżał w kabinie, po sygnale z wieży toczył się do przodu, ale w połowie pasa startowego zawsze naciskał hamulce. Nie wierzył, że ten latawiec pofrunie.

Miał dziewczyny, ale w ich towarzystwie nigdy nie czuł tego, co powinno się czuć. Zdał sobie sprawę, że przyjemność zbiorowa jest dla niego niedostępna, nawet jeśli grupa liczy dwie osoby. Nie czuł się w seksie samotnie, nie czuł też jednak jakiegś szczególnej intymności. W zażyłości z mężczyznami zawsze dostrzegał coś fałszywego. Mężczyźni gromadzą się razem dla uniknięcia komplikacji. Chcą, żeby wszystko było prostsze, chcą pewności, chcą określonych reguł. Weźmy klasztory. Weźmy puby.

Gregory nie podróżował, ani się nie ożenił. Większość życia spędził blisko Jean, od czego ona go z początku odwozila, lecz później uznała to za błąd komplement. W pierwszych dorosłych latach życia, Gregory miał się różnych zajęć, lecz uznał, że wszystkie są takie same. Każda praca jest nudna, ale trzeba pracować, bo wtedy bardziej się ceni czas wolny. Kiedy dzielił się tym poglądem z innymi, sądzili, że jest cyniczny. Tymczasem dla niego był to truizm. Życie polega na kontrastach, aż po ten ostateczny kontrast.

Gregory zatrudnił się w biurze ubezpieczeniowym. Lubił tę pracę, gdyż ludzie mało go o nią pytali. Mówili, że to musi być bardzo ciekawe, a on kiwał głową; pytali, czy można się ubezpieczyć od deszczu podczas urlopu, on odpowiadał, że można, oni śmiali się i mówili: a to ci dopiero, a potem tracili zainteresowanie. Gregory'emu to odpowiadało.

Odpowiadało mu także, że zajmuje się ubezpieczeniami na życie. Gdy brał tę posadę, nie doszedł jeszcze do wniosku, że życie jest absurdalne - nadal rozważał za i przeciw - zdążył już jednak postanowić, że należy mieć absurdalną pracę. Pojęcie „pracy użytecznej”, którym szafowali politycy, dla Gregory'ego było pozbawione sensu. Uważał, że praca jest użyteczna tylko o tyle, o ile jest bezużyteczna, o ile kpi sama z siebie. Malowanie mostu w Forth wydawało się znakomitą pracą, gdyż ledwo skończyłeś, trzeba było zaczynać od nowa. Ubezpieczenia na życie nie mogły się mierzyć z malowaniem mostów pod względem groteskowości, lecz i tu kryła się pewna ironia. Gregory szczególnie lubił mówić ludziom, ile dostaną, gdy umrą. Delektował się chciwością i wyrachowaniem na ich twarzach: tyle pieniędzy za taką prostą rzecz. Kiedyś wyjaśniał działanie polisy mężczyźnie po dwudziestce - tyle a tyle składki miesięcznej, tyle po śmierci - lecz nagle klient mu przerwał.

- Czyli jeśli dziś podpiszę, a jutro umrę, dostanę 25 000 £? Entuzjazm ten z początku wzbudził w Gregor'ym zawodową podejrzliwość. Wyjaśnił, że trzeba uiścić wstępną wpłatę, że polisa zostaje unieważniona w przypadku samobójstwa bądź zatajenia poważnej choroby...

- Tak, tak, tak - przerwał mu mężczyzna niecierpliwie. - Ale jeśli bym zapłacił, a jutro zupełnie przypadkowo - podkreślił ochocko - wpadłbym pod autobus, dostałbym 25 000 £?

- Tak. - Gregory nie chciał precyzować, że pieniądze faktycznie zasiląby kieszeń wdowy, rodziców czy kogo tam. Byłoby to niemal w złym guście.

Ale właśnie z tego powodu lubił ubezpieczenia na życie. Oczywiście nieustannie uciekano się do eufemizmów, przedstawiano polisę jako rodzaj renty, lecz koniec końców wszyscy chcieli ubić jak najlepszy interes na swej własnej śmierci. Ludzie, z którymi miał do czynienia, byli nauczeni oszczędności, wiedzieli, że trzeba poszukać najkorzystniejszego wariantu, codzienną żyłkę handlową stosowali także do spraw największych. Nawet tych, którzy przyznawali, że pieniądze dostanie kto inny, transakcja wprawiała w uniesienie. Przyjdzie śmierć i mnie wykradnie, ale jejku, jaki jestem cwany, żona będzie się pławić w pieniądzach. Gdyby śmierć zdawała sobie z tego sprawę, nie byłaby tak pazerna.

Ubezpieczenie na życie. W samym sformułowaniu kryła się sprzeczność. Życie. Tego nie można ubezpieczyć, zabezpieczyć, ani nawet odbezpieczyć. Ludzie jednak sądzili, że można. Siedzieli po drugiej stronie biurka i ważyli na szali

korzyści ze swego własnego zgonu. Czasem odnosił wrażenie, że w ogóle nie rozumie ludzi. Z wszystkim byli w takich przyjacielskich stosunkach: mieli ubaw po pachy z przyjemnością, baraszkowali i targowali się ze śmiercią. Wcale ich nie zaskakiwało, że w ogóle żyją; skoro już tu jesteście, trzeba to maksymalnie wykorzystać; a odchodząc, trzeba dobić jak najkorzystniejszego targu. Niezwykłe. Może godne podziwu, ale przecież niezwykle.

Życie, śmierć i przyjemność innych ludzi były dla Gregory'ego coraz większą zagadką. Zerkał na nich zza okularów w rogowej oprawie i zastanawiał się, czemu robią te wszystkie rzeczy, te zwyczajne rzeczy. Może nigdy nie zadają sobie pytań: Dlaczego? Jak? Może myślenie go okulało. Na przykład jego matka: ni stąd, ni zowąd zaczęła jeździć po świecie. Gdy ją pytał, dlaczego, uśmiechała się i przebąkiwała, że chce zaliczyć siedem cudów świata. Ale to nie jest dlaczego. Jej jednak wyraźnie nie interesowało dlaczego.

Gregory nigdy nie miał ochoty podróżować; może zniechęciło go ciągle tułanie się po Anglii w dzieciństwie. Czasem wybierał się na wycieczkę, nie dalej niż sto mil od miejsca zamieszkania, żeby zobaczyć, jak ludzie żyją gdzie indziej.

Odnosił wrażenie, że tak samo. Podróże męczą, irytują, schlebiają naszej próżności. Ludzie mówili, że podróże poszerzają horyzonty. Gregory w to nie wierzył. Podróże dają tylko takie złudzenie. Zdaniem Gregory'ego, najbardziej poszerza horyzonty ciągle przebywanie w jednym miejscu.

Myśląc o podróżach, Gregory często przypominał sobie lotnika Cadmana. W kościele NMP w Shrewsbury natrafił na tablicę pamiątkową. Pełne okoliczności lotu Cadmana nie były wyjaśnione, ale wydaje się, że ten współczesny Ikar skonstruował parę skrzydeł, wszedł na szczyt kościoła i skoczył. Oczywiście zginął na miejscu. Lotniczy grzech pychy, ale również, podobnie jak w przypadku Ikara, usterka techniczna:

Upadł, nie z indolencji,

Czy z braku odwagi, by czynu swego dokonać. Ach, nie - to linka zbyt silnie naprężona Sprawiała, że dusza jego wzwyl uleciała, Dobranoc rzekłszy do ległego w dole ciała.

Niekiedy, odprowadzając Jean na lotnisko, Gregory myślał o Cadmanie. Jedna z pierwszych nowożytnych katastrof lotniczych. Sto procent ofiar śmiertelnych - typowy współczynnik. Cadmanowi nie brakowało odwagi (tablica nie kłamała), tylko rozumowi. Gregory wyobraził sobie, że musi wyliczyć szansę przeżycia awiatora. Nie, na pewno by mu nie sprzedał polisy na życie.

Gregory'ego zastanowił jednak nie tylko sposób, w jaki zginął Cadman, ale i poetycki wywód na nagrobku. Awiator pragnął polecieć i poniósł porażkę. Lecz gdy ciało upadło zmiażdżone, uleciała dusza. Była to bez wątpienia moralna nauka dla ludzkiej ambicji i próżności: gdyby Bóg chciał, żebyśmy latali, dałby nam skrzydła. Czy z historii tej nie wynikało jednak, że Bóg nagradza odważnych życiem wiecznym? Jeśli tak - jeśli do Nieba idzie się za odwagę - Gregory nisko oceniał swe szanse.

Przypomniał sobie scenę z dzieciństwa. Puścił model samolotu... nie z wieży kościelnej, lecz z dachu domu, czy jakoś tak. Musiał chyba źle przymocować silniczek do kadłuba, gdyż odpadł. Samolot rozbił się, jak ciało Cadmana, a silniczek pofurczał przez ogród jak dusza Cadmana w drodze do Nieba.

Czy tak myśleli o śmierci ludzie, którzy uśmiechali się do niego zakłopotani, gdy wymieniał wielotysięczne sumy? Gregory wyobraził sobie bardziej publiczną wersję swego ogrodowego eksperymentu: lot kosmiczny. Olbrzymia, toporna rakieta - ciało, i mała kapsuła na szczycie - dusza. Ciało dysponujące wystarczającą ilością paliwa, by przewyższyć łączywą grawitację ziemi. Obserwując krępa marchewkę na wyrzutni, można by sądzić, że rakieta jest istotna. Tymczasem rakieta jest do jednorazowego użytku, jak ciało Cadmana; służy wyłącznie do wyniesienia duszy na orbitę.

Gregory przez chwilę trawił te skojarzenia, nim przypomniał sobie, jak zakończył się lot Vampire'a. Jean znalazła silniczek w żywopłocie, który zamykał ogród. Wniosek? Być może dusza wznosi się wyżej niż ciało, ale tylko na pewien czas, na pewną odległość. Być może dusza przewyższa ciało, lecz nie różni się od niego aż tak bardzo, jak ludzie sądzą. Być może jest zrobiona z trwalszego materiału - powiedzmy z aluminium, nie z balsy - lecz koniec końców równie podatnego na działanie czasu, przestrzeni i grawitacji jak ciało biednego Cadmana, czy pomalowany na złoto Vampire.

\*\*\*

Ze wszystkich dziewczyn Gregory'ego Rachel zdawała się najmniej do niego pasować. Był z natury bierny, pozostawiał po sobie znikomy ślad na tym świecie. Jean pomyślała kiedyś, że jeśliby mu oblepić palce klejem modelarskim, zdjęte odciski przypominałyby regularne słoje drzewa. Jako słaba osobowość zawsze szukał sobie jeszcze słabszych, bardziej biernych dziewczyn, dziewczyn o przezroczyściej skórze i przegranej postawie. Rachel była niska i ognista, z rozbieganymi brązowymi oczyma i krótkimi, kręconymi blond włosami, które przywoływały Jean na myśl runo jakiegoś rzadkiego gatunku górskiej owcy. Rachel nie tylko знаła siebie, znała też innych, zwłaszcza Gregory'ego. Jean słyszała o przyciąganiu przeciwności, lecz, mimo to, nie wróżyła temu związkowi zbyt długiej przyszłości.

Gdy Gregory po raz pierwszy przyprowadził Rachel do domu, doszło do sprzeczki na temat sedesów. Tak przynajmniej zapamiętała wizytę Jean, natomiast Rachel, która klóciła się tak zajadle, jakby od tej potyczki zależał rezultat bitwy o Anglię, później twierdziła, że nie przypomina sobie żadnej dyskusji. Zdaniem Jean awantura zrodziła się z niczego - typowy rodowód. Po małżeństwie z Michaeliem uznała, że do końca życia ma dość awantur. Odniosła jednak wrażenie, że dziś, częściej niż dawniej, prowodyrami są kobiety. A przecież Rachel pracowała w lokalnym ośrodku poradnictwa prawnego. Czy jej zadaniem nie było raczej utrzymywanie spokoju?

- No a co powiesz o sedesach, co? - wrzasnęła nagle Rachel na Gregory'ego, gorejące brązowe oczy, włosy niemal najeżone. Jean nie przypominała sobie, żeby sprawa była wcześniej poruszana. - Jak myślisz, dla kogo są projektowane?

- No, dla ludzi - odparł Gregory z pedantycznym, lecz zdaniem jego matki, dość uroczym uśmiechem.

- Dla mężczyzn - wyjaśniła Rachel, wydłużając sylaby z cierpliwym politowaniem. - Dla facetów.

- Nie wiedziałem, że miałaś jakieś... problemy - powiedział Gregory, wyczuwając, że potulna reakcja jeszcze bardziej by ją zdenerwowała. - Nie rozumiem, czy ktoś cię kiedyś musiał ewakuować?

- Gdy siedzę na sedesie - oświadczyło zaskakujące stworzenie - myślę sobie, że to zrobili mężczyźni dla innych mężczyzn. Co pani myśli?

- Szczerze mówiąc w ogóle o tym nie myślę. - Ton był raczej neutralny.

- A widzisz? - skomentował Gregory, z niemądrym poczuciem triumfu.

- Widzę albo i nie widzę - wrzasnęła Rachel, przedkładając argumentację emocjonalną nad logiczną. - Schody. To samo drabiny. Wsiadanie z pociągu. Pedał w samochodzie. Giełda.



Gregory zaśmiał się.  
 - Nie możesz oczekiwać...  
 - Czemu nie? Czemu nie? Czemu to zawsze my się mamy uczyć? Czemu nie wy? Weźmy zmianę koła. Czemu śruby są tak cholernie mocno przykręcone, że kobieta ich za cholerę nie ruszy?  
 - Bo gdyby nie były cholernie mocno przykręcone, toby cholernie łatwo odpadały.  
 Rachel nie dała się zbić z tropu.  
 - Zagłówki - ciągnęła. - Sędziowie. Drukarze. Taksówkarze. Kosiarki. Język.  
 Jean nie potrafiła powstrzymać chichotu.  
 - Z czego się pani śmieje? Pani jest w jeszcze gorszej sytuacji.  
 - Dlaczego jestem w jeszcze gorszej sytuacji?  
 - Bo wychowała się pani w ignorancji.  
 - Chyba mnie jeszcze na tyle nie znasz, żeby mówić takie rzeczy. - Jean podobała się naturalność Rachel, jej pewność siebie. - Ale nie śmiałam się z ciebie, moja droga. Myślałam o pieniądzu.  
 - No i co?  
 - Pamiętam, że kiedy byłam mała, ostrzegano mnie przed giełdą. Postawiono ją na równi z hazardem, oszustwem i strajkiem.  
 - Nie traktuje pani niczego poważnie - powiedziała z gniewem Rachel. - Powinna pani traktować pewne rzeczy poważnie.  
 - No cóż - powiedziała Jean, usiłując potraktować pewne rzeczy poważnie - może to jednak dobry pomysł, żeby kobiety się... przystosowały. Może robią się dzięki temu bardziej elastyczne. Może powinno nam być żal mężczyźni. Że oni nie umieją się przystosować.  
 - To jest męska argumentacja.  
 - Naprawdę? A nie po prostu argumentacja?  
 - Nie, to męska argumentacja. Dali nam ją, bo wiedzieli, że się nie sprawdzi. Tak jakby nam dali zestaw kluczy, które nie pasują do śrub.  
 - Może dlatego nie umiesz zmienić koła - powiedział Gregory, uśmiechając się do siebie.  
 - Odpieprz się, Gregory.  
 Tak, pomyślała Jean. Nie daję im więcej niż kilka tygodni. Z drugiej strony, dość ją lubię.  
 Przyszli do niej jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem Gregory wydawał się bardziej nieobecny. W towarzystwie tej przebojowej dziewczyny prawie niknął. Pewnego popołudnia, gdy Gregory rzucił jakiś puszczonej mimo uszu dowcip o sedesach i wyszedł z pokoju, Rachel powiedziała spokojnym tonem:  
 - Chodźmy jutro do kina.  
 - Z wielką chęcią.  
 - I proszę... nie mówić Gregory'emu.  
 - Dobrze.  
 Jakie dziwne, pomyślała Jean następnego dnia rano, iść na randkę z dziewczyną własnego syna. No może „randka” to niewłaściwe słowo na wyjście do kina i chińskiej restauracji, ale była cała przejęta i tak długo nie mogła się zdecydować, co na siebie włożyć, że zrobiło jej się wstyd.  
 - Przyjdę po panią o siódmej - powiedziała poprzedniego dnia Rachel, zupełnie naturalnie. Słowa te wzbudziły jednak u Jean dziwne skojarzenia. Tak powinni mówić młodzieńcy w maleńkich Austinach i smalący cholewki motocykliści. Zalotnicy, których nie miała czterdzieści lat temu. Tymczasem słowa zostały wypowiedziane przez dziewczynę ponad dwa razy młodszą od niej.  
 Film, który wybrała Rachel, był brutalny, germański i polityczny. Nawet chwile czułości błyskawicznie okazywały się iluzją lub manipulacją. Choć film bardzo się Jean nie podobał, całkowicie ją pochłonął. Coraz częściej zauważała u siebie tego rodzaju reakcje. Poprzednio (słowo to obejmowało całą jej życie), interesowało Jean tylko to, co lubiła i na odwrót - z grubsza biorąc. Sądziła, że wszyscy są tacy. Wyraźnie zrodziła się w niej jednak nowa warstwa wrażliwości. Czasem nudziły ją rzeczy, które pochwałała, potrafiła też czuć sympatię do czegoś, czemu była przeciwna. Nie była do końca pewna, czy powinna się cieszyć z tej przemiany, zaskakującej i niezaprzeczalnej.  
 Rachel kupiła Jean bilet, poinformowała ją także, że płaci za kolację.  
 - Ale ja mam trochę pieniędzy. - Jean zaczęła grzebać w torebce, jeszcze zanim kelner przyjął zamówienie. Wyjęła kilka zmiętych w kulkę pięciofuntowych banknotów. Bezceremonialne obchodzenie się z pieniędzmi miało zniwelować jakiś nieokreślony wstyd związany z ich zdobywaniem. Jeśli zmiąć banknoty, można ich używać albo mówić o nich bez zbytecznego zakłopotania.  
 Rachel sięgnęła przez stół, zacisnęła dłoń Jean na banknotach i wepchnęła je z powrotem do torebki. Na dnie, spośród paprochów i kosmetyków, zmatowiałe litery układały się w podpis: JEAN SERJEANT XXX.  
 - Nie jest pani na randce z mężczyzną - powiedziała Rachel.  
 Jean uśmiechnęła się. Oczywiście, że nie jest. A jednak zachowuje się jak na randce z mężczyzną. Najpierw się wystroiła, po wyjściu z kina nie do końca powiedziała, co myśli o filmie, w restauracji pozwoliła Rachel o wszystkim decydować. Może starość składa hołd młodości; może nie.  
 - Ale zabroniłaś mi za siebie zapłacić. Tak robią mężczyźni.  
 - Już nie.  
 - Mężczyźni już nie płacą rachunku?  
 - Nie. Dziś każdy płaci za siebie, ale mężczyźni nadal traktuje kobietę tak, jakby on płacił za wszystko.  
 - Czyli?  
 - Niech mi pani opowie o Chinach. - Na ścianie restauracji wisiał kolorowy slajd z wyidealizowanym krajobrazem orientalnym: rzeczna kaskada, szmaragdowe drzewa, hollywoodzkie niebo. Dzięki jakiejś prymitywnej technice animacji rzeka mieniła się i połyskiwała, a chmury kolebały się ślamazarnie na boki.  
 - Było trochę inaczej, niż na obrazku - powiedziała Jean. Po nie znoszącej sprzeciwu minie Rachel poznała, że się nie wymiga i wiedziała, że musi, jakby to ujęła jej matka, wyśpiewać sobie kolację.  
 Rozmawiała o Chinach i podróżach, potem o przyjaźni i małżeństwie. Jean łatwo przychodziło opowiadać o swym życiu z Michałem. Dostrzegała rozbłąski zdezaktualizowanego gniewu u swej młodej przyjaciółki, lecz sama starała się

nie dać ponieść emocjom. Gdy skończyła, Rachel skomentowała:

- Nie rozumiem, czemu pani zwlekała. Czemu to tyle trwało.
- To proste. Strach. Strach przed samotnością. Pieniądze. Niechęć do uznania swej przegranej.
- Przecież to nie pani przegrała. Pani odeszła, on przegrał. Tego właśnie nie potrafię zrozumieć.
- Może. Były też inne powody. Gdy wyszłam za mąż, straciłam dużo pewności siebie. Nie rozumiałam świata.

Ciągle byłam w błędzie. Nie znałam odpowiedzi. Nie znałam nawet pytań. Ale po jakimś czasie, gdzieś po pięciu latach, wszystko zaczęło się zmieniać. Byłam nieszczęśliwa i chyba znudzona, ale coraz więcej rozumiałam świat. Im bardziej byłam nieszczęśliwa, tym się czułam inteligentniejsza.

- A może na odwrót. Rosła pani inteligencja, więc dotarło do pani, że została pani wykiwana?
- Może. Nie wiem. Ale zaczęłam się robić przesadna na tym punkcie. Nie mogę odejść, myślałam, gdyż jeśli będę mniej nieszczęśliwa, spadnie mi inteligencja.

- I spadła?

- Nie, ale nie w tym rzecz. Był jeszcze jeden powód, który pewnie uznasz za równie głupi. Nie wiem, czy potrafię go dobrze wytłumaczyć, ale pamiętam, jak to się stało. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy, on był zły, ja znudzona; on czasem pił, ja czasem znikaliśmy, żeby się o mnie pomartwił. Gdy było ciepło, czasem spędzałam cały wieczór w ogrodzie, tylko po to, żeby z nim nie być.

- W każdym razie masz ogólne pojęcie. Niezbyt wesołe życie. Pewnego wieczoru siedziałam w ogrodzie. W domu pełne zaciemnienie jak podczas wojny. Na niebie ani chmurki, tylko wyjątkowo jasny księżyc jak słońce na Arktyce. Księżyc bombardiera, tak to nazywaliśmy... I nagle pomyślałam, po co mi to małżeństwo? Czemu tu sterczeć? Czemu się nie wymknąć w ciepłą noc? Może to z bezsenności, byłam trochę osowiała, ale odpowiedź wydała mi się oczywista. Nie odchodzę, ponieważ wszystko wskazuje na to, że powinnam, ponieważ to nie ma sensu, jest absurdalne. Ktoś tam kiedyś powiedział, że wierzy w Boga, bo to absurdalne. W tym momencie naprawdę to rozumiałam.

- Ja nie rozumiem - powiedziała Rachel. - I mam nadzieję, że nigdy nie zrozumie.

- Nie licz na to. To bardzo męczące, być cały czas racjonalną.

- Ale ja właśnie dlatego panią lubię - powiedziała Rachel. - Bo nigdy nie wygaduje pani głupot.

Jean uśmiechnęła się i spuściła wzrok. Komplement sprawił jej przyjemność, ale nadal miała się na baczności.

- To bardzo miłe z twojej strony. Ludzie sądzą, że w moim wieku już się nie potrzebuje komplementów, ale starzy potrzebują ich w tym samym stopniu, co młodzi.

- Nie jest pani stara - powiedziała Rachel ze złością.

- O rany. Kolejny komplement. O rany. - Lubiła Rachel, ale trochę się jej bała. Jej pewności, gniewu. Dawno temu tylko mężczyźni byli tacy pewni, i tacy rozgniewani.

Właściwie dlatego postanowiła żyć sama. Małżeństwo zawiera się między dwoma biegunami magnetycznymi, złością i lękiem. Teraz jednak kobiety dorównują mężczyznom w złości. Dla Jean było zagadką, że największą złość czują kobiety, które odrzuciły mężczyzn najzupełniej, które odeszły i żyły z inną kobietą, które zadeklarowały całkowitą suwerenność od płci przeciwnej. Teraz, gdy mają, czego chciały, czy nie powinny być najspokojniejsze? A może wyrażały w ten sposób ogólniejszy gniew wobec świata stworzonego, który daje tylko dwa wyjścia, jedno zaśośnie nieskuteczne? Jean nie podjęła tej kwestii z Rachel, gdyż pewnie by ją to tylko rozgniewało. I tu jest kolejna zmiana: dziś kobiety złością się na siebie nawzajem. W szarych czasach, w tym dawnym świecie, gdzie mężczyźni znęcali się, a kobiety samooszukiwały, gdzie hipokryzja pełniła rolę okładu rumiankowego, istniała przynajmniej jakaś potajemna wspólnota kobiet, wszystkich kobiet. Teraz kobiety dzielą się na te, które zachowały wierność przyjętej doktrynie bądź ją zdradziły. Tak to widziała Jean. Ale może w życiu przychodzi taki moment, kiedy człowiek nie jest w stanie nauczyć się niczego nowego. W zbiornikach jest tylko tyle a tyle paliwa, a ona zaczęła już tracić wysokość. A im niżej, tym mniej widać.

- Czy mogłybyśmy porozmawiać o seksie? To znaczy... - Po raz pierwszy Rachel zawahała się.

- Oczywiście, moja droga. Choć samą mnie to teraz zaskakuje, uprawiało się seks w tej zamierzczłej przeszłości.

- Było... Było... - Znów niepewność. - Było w porządku? Jean zaśmiała się. Uniosła niebieską filizankę, zrobioną z czegoś pomiędzy chińską porcelaną a plastykiem, po chwili wahania wzięła łyk herbaty i zamyśliła się nad dziwnym, jakby pękniętym dźwiękiem przy odstawianiu na spodeczek.

- Gdy byłam w Chinach, właśnie opublikowali nową ustawę małżeńską. Czytałam tłumaczenie. Była bardzo szczegółowa, obejmowała prawie wszystko. Mówiła, że nie wolno zawrzeć ślubu, jeżeli któregoś z kandydatów jest trędowate, że dzieciobójstwo przez utopienie jest surowo wzbronione. Pamiętam, że zainteresowało mnie, co Partia zadekretowała w sprawach seksu. Skoro każda dziedzina życia jest ogólnie uregulowana. Ale w ustawie na ten temat był tylko artykuł 12. - Przerwała, raczej niepotrzebnie.

- Trudno, żeby się sama domyśliła.

- Masz rację. Artykuł 12 brzmi: „Mąż i żona podlegają obowiązkowi planowania rodziny”. - Znów przerwała, tym razem bardziej znacząco.

- No i?

- No i chyba można powiedzieć, że byliśmy chińskim małżeństwem. Wspominam to raczej jako planowanie rodziny, niż, jak wy to dzisiaj nazywacie, uprawianie seksu.

- Jakie to smutne!

- Są gorsze rzeczy. Nie wyróżnialiśmy się pod tym względem. Wtedy było mnóstwo chińskich małżeństw. Pewnie nadal jest. Nie wydawało się to zbyt... istotne. Najpierw była wojna, potem był pokój i takie rzeczy jak... - nie mogła znaleźć przykładu- ... takie rzeczy jak Święto Wielkiej Brytanii...

- No nie, na miłość boską.

- Może to głupi przykład, ale właśnie o to mi chodzi. Nie uważaliśmy, że tylko seks się liczy. Nie...

- Pójdzie pani ze mną do łóżka? - Rachel zadała to pytanie pospiesznie, z głową pochyloną w dół, mierząc w Jean kręconymi włosami.

- To bardzo słodkie z twojej strony, moja droga, ale w moim wieku...

- Niech sobie pani ze mnie nie drwi. Ani z siebie. - Rachel zmarszczyła groźnie brwi, lecz Jean nadal nie mogła jej traktować poważnie.

- Nie myśl sobie, że wystarczy postawić mi kolację...

- Mówię serio.

Nagle Jean poczuła się znacznie starsza od dziewczyny i trochę nią znużona.

- Chodź, idziemy - powiedziała. - Zapłać rachunek.

W samochodzie położyła jej jednak dłoń na ramieniu. Przez jakiś czas jechały w milczeniu, tylko Rachel kłęła niekiedy na kierowców. Wreszcie, nie patrząc na Jean, powiedziała:

- Nie jestem taka chamska, jak pani sądzi.

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Mam na myśli kłótnie z Gregorym. Ale jest w nim coś takiego, co mnie wkurza.

- W takim razie powinnaś dać sobie z nim spokój.

- Nigdy nie myśli o tym, co to znaczy być mężczyzną. Nie w sensie mężczyzną, co wspina się na góry i te rzeczy. Po prostu co to znaczy być mężczyzną. Nigdy o tym nie myśli. Większość z nich nie myśli, Gregory jest nie lepszy, niż cała reszta. Uważa, że to, co sobą prezentuje, to norma.

- Moim zdaniem Gregory jest dość wrażliwym chłopcem.

- Ojej, nie mówię, że nie, nie mówię, że nie. Ale uważa, że być mężczyzną to norma. Według niego pani i ja jesteśmy mutantami.

- Chcesz powiedzieć, że ja go w ten sposób wychowałam?

- Boże, nie! Przy mężczyźnie to już nie wiem na kogo by wyrósł.

- Dziękuję za komplement - powiedziała Jean posępnie. Nocne chmury spryskiwały samochód mżawką.

- Dobra rzecz z pigułką polega na tym - powiedziała nagle Rachel - że można się pieprzyć z ludźmi, których się nie lubi.

- Po co to komu potrzebne do szczęścia?

Cisza. O rany. Znów źle. Znów fałszywe pytanie. Ile pan zarabia? Chciałby pan pojechać do Szanghaju?

- Kiedy umarł Michael - zaczęła Jean, nie wiedząc, skąd powstał w jej głowie ten temat - zostawił mi wszystkie swoje pieniądze. Dom. Wszystko.

- Jasne, że zostawił - powiedziała Rachel gniewnie. - Zasraniec, odstawia tatula, żeby pani musiała czuć się wdzięczna.

Taka interpretacja nie satysfakcjonowała Jean.

- W takim razie co byś powiedziała, gdyby mi nic nie zostawił?

W półmroku wnętrza samochodu Jean ujrzała, że Rachel się uśmiecha.

- Powiedziałabym, zasraniec, odstawia tatula. Zabrał pani dwadzieścia najlepszych lat życia, a mimo to do końca chce panią ukarać i wzbudzić poczucie winy.

- Tak naprawdę - powiedziała Jean - nie zostawił testamentu. A przynajmniej nic nie znaleźli. Przepisy są takie, że wszystko przypadło Gregory'emu i mnie. I co ty na to?

Rachel niemal śmiała się z wściekłości.

- Zasraniec, odstawia tatula. Nie mógł się zdecydować, czy wzbudzić w pani poczucie winy, czy wdzięczności. Chciał jednego i drugiego, nawet gdy umierał. Chciał, żeby sobie pani przez lata łamała nad tym głowę. Typowe.

- Czyli tak źle i tak niedobrze?

- Jeśli o mnie chodzi. Jeśli o niego chodzi, tak dobrze, a tak jeszcze lepiej.

- Kiedyś mi się wydawało, że znam odpowiedzi - powiedziała Jean. - Dlatego odeszłam. Wiem, co robić, myślałam.

Może trzeba sobie wmówić, że się zna odpowiedzi, bo inaczej nigdy by człowiek nic nie zrobił. Wydawało mi się, że znam odpowiedzi, gdy wychodziłam za męża. A przynajmniej, że je poznam. Wydawało mi się, że znam odpowiedzi, kiedy odchodziłam. Teraz nie jestem pewna. A raczej znam odpowiedzi na inne pytania. Może na tym polega problem: w danej chwili potrafimy znać odpowiedzi tylko na określoną liczbę pytań.

- Widzi pani, udało mu się - powiedziała Rachel. - Dalej pani o nim myśli. Zasraniec.

Gdy podjechały pod dom Jean, Rachel zaczęła od nowa.

- Chodziłam kiedyś z kim innym. Fajny facet na imprezę, inteligentny, dość miły; jak na mężczyznę, zupełnie przyzwoity. Było niezłe. Dopóki go nie nakryłam, że podgląda mnie.

- Jak to: podgląda? Przez dziurkę od klucza?

- Nie, Jean, nie przez dziurkę od klucza.

O jejku, pomyślała Jean, w kółko ten sam temat.

- Nie przez dziurkę od klucza. W łóżku. Seks. Pieprzenie.

- Rozumiem.

- Patrzył na mnie. Jakbym była zwierzęciem cyrkowym. Zerknijmy, co tam się w dole wyprawia. Kątem oka. Dostawałam gęsiej skórki. Postanowiłam się zrewanżować. Dostałam chyba lekkiej obsesji, bo wiedziałam, że niedługo się rozstaniemy, ale i tak chciałam się zrewanżować. Żeby mnie popamiętał.

- Zaczęłam udawać, że nie mam orgazmu. Szokuje to panią? - Jean zaprzeczyła ruchem głowy. Rany, jak świat się zmienił. Rachel mówiła agresywnie, ale Jean dosłuchała się odcienia niepewności.

- Z początku nie zawsze mi się udawało, ale i tak mu dopiekło. Najpierw miałam orgazm, ale udawałam, że nie mam, nie pozwalałam mu kończyć, udawałam, że jestem w miarę podniecona, właśnie dochodzę do następnego zakrętu, a potem dawałam mu spokój, jak początkującemu licealiście: nie szkodzi, nie przejmuj się. Kiedy już stoczył się ze mnie i prawie spał, ale nie całkiem, udawałam, że trochę sobie pomagam. Żadnej hysterii, tyle, żeby zauważył, ale myślał, że się z tym kryje, bo nie chce zranić jego uczuć. Dopiekło mu jak nie wiem. Zasraniec.

Po co tyle zachodu, pomyślała Jean wysiadłszy z auta. Nie dość, że to zrobiła, to jeszcze mi opowiada. Chyba, że... nie mówiła chyba o Gregorym? Usiłowała sobie przypomnieć najgorsze chwile z Michaielem: nudne dni pod gniewnym niebem, samotne noce pod księżycem bombardiera. Była smutna, rozczarowana, zła, nie przypominała sobie jednak nic, co mogłoby się choć trochę równać z pogardą, jaką właśnie okazała Rachel. Kwestia charakteru czy pokolenia? Ludzie mówią, że kobiety mają teraz więcej swobody, więcej pieniędzy, więcej możliwości wyboru. Może postęp ten można było osiągnąć tylko kosztem zgrubienia charakteru. To by tłumaczyło, dlaczego między mężczyznami a kobietami dzieje się dziś często gorzej, a nie lepiej; tłumaczyłoby, skąd tyle agresji i dlaczego tak chętnie nazywają agresję szczerością. A może, pomyślała Jean, może jest prostsze wytłumaczenie: zapomniałam już, co czułam. Umysł ma swoje sposoby, by wyrzucać niekorzystne wspomnienia do kubła na śmieci. Niepamięć o wczorajszych lękach umożliwia dzisiejsze przetrwanie. Być może czułam ogromną złość i pogardę, gdy byłam z Michaielem, ale udusiłam je poduszką jak dwoje popiskujących

szczeniąt, a teraz już sobie nie przypominam, gdzie zakopałam ciała.

Rachel powiedziała: - Uwielbiam lęk w oczach mężczyzny, który spotyka inteligentną kobietę. - Rachel powiedziała: - Jedno, czego się brzydzę, to mężczyzna nadskakujący kobiecie. - Rachel powiedziała: - Tylko kobieta potrafi zrozumieć kobietę. - Wyprowadziła się od rodziców, gdy miała szesnaście lat, błąkała się po kilku dużych miastach, przez jakiś czas mieszkała w domach, gdzie mężczyźni mieli zakaz wstępu. Rachel powiedziała: - Mężczyźni biją kobiety częściej niż kiedykolwiek. Mężczyźni mordują dzieci. - Rachel powiedziała: - Jaka jest różnica między mężczyzną a kupą? Jak walisz kupę, nie musisz jej potem przytulać. - Rachel powiedziała: - Wszystko sprowadza się do pieniędzy i polityki, niech się pani nie łudzi. - Rachel powiedziała: - Nie chcę pani krytykować, ale myślę, że dalej czeka pani na mężczyznę, który odpowie za panią na wszystkie pytania.

Jean wyobraziła sobie huśtawkę na miejskim placu zabaw, pomalowaną na urzędowy zielony kolor. Na jednym końcu siedział tłusciuch w trzyczęściowym garniturze, przyciskając huśtawkę do ziemi. Jean ostrożnie wgramoliła się na pierwsze siedzenie po drugiej stronie, lecz swym małym ciężarem, umieszczonym zbyt blisko punktu podparcia, nic nie wskórała. Przyszła Rachel, wspierała się jak małpa na sam koniec huśtawki i, nie bacząc na niebezpieczeństwo i asfalt w dole, zaczęła podskakiwać. Tłusciuch w garniturze biznesmena przez chwilę wyglądał na zmieszanego, po czym przesunął ciężar ciała do tyłu i wsparł się na łokciach; huśtawka ani drgnęła. Po chwili, zniesmaczona Rachel poszła sobie. Później i ostrożniej, zsunęła się na ziemię Jean i zostawiła tłusciucha samego. Nie robił wrażenia zbitego z tropu. Zaraz przyjdzie ktoś nowy. Poza tym tłusciuch jest właścicielem placu zabaw.

Rachel powiedziała: - Trzech mędrców? Wolne żarty! - Rachel powiedziała: - Jeżeli można posłać jednego mężczyznę na księżyc, czemu nie można posłać wszystkich? - Rachel powiedziała: - Kobieta tyle potrzebuje mężczyzny, co drzewo potrzebuje psa z zadartą nogą. - Rachel dała kiedyś ojcu buty do czyszczenia, a on pomylił się i użył pasty do zębów zamiast do butów; obserwowała, jak matka marnuje swoją inteligencję na obliczanie cen konserw; obserwowała, jak ojciec więzi matkę w miękkiej klatce swych dłoni. Rachel powiedziała: - Rycerz na białym koniu to piękny widok, ale kto posprząta łajno? Urodzić się kobietą to jak urodzić się mańkutomem i być zmuszonym pisać prawą ręką. Nic dziwnego, że się jākamy. - Rachel powiedziała: - Uwaga pani, że krzyczę? Nie wie pani, jacy oni są głusi.

Jean złapała się na pytanie, czy Rachel nie była bita przez ojca, czy nie miała jakiegoś bolesnego pierwszego kontaktu z mężczyzną; Rachel domyśliła się, do czego zmierza, jeszcze zanim na dobre zaczęła mówić.

- Jean, to jest męski argument. Klucz nie pasuje do śruby.

- Tylko się zastanawiałam...

- To niech się pani nie zastanawia. Nie trzeba być zgwałconą, żeby zostać feministką. Nie trzeba wyglądać jak mechanik samochodowy. Wystarczy być normalną. Trzeba widzieć świat tak, jak naprawdę wygląda. To takie oczywiste. Takie cholernie oczywiste. - Rachel powiedziała: - Dla mężczyzny „żona” rymuje się z: „Bądź ze mną, póki nie skonam”. A „mąż”? W ogóle się nie rymuje. No chyba że z: „Już dość tych ciąż”.

Jean powiedziała: - Chyba nie dałaś mężczyznom szansy. - Rachel powiedziała: - Teraz wiemy, co o nich myślimy.

Weszły w cotygodniową rutynę: kino, restauracja, rozmowy, w których nawzajem, niezłośliwie parodiowały postawę przeciwniczki. Trzeciego wieczoru Jean uparła się, że zapłaci; później, w samochodzie pod domem Jean, Rachel pocałowała ją w policzek.

- Lepiej idź, zanim tato się zdenerwuje.

Czwartego wieczoru, w restauracji hinduskiej, gdzie zdaniem Jean kucharz przesadził z barwnikiem mandarynkowym, Rachel zaprosiła ją do siebie. Jean zaśmiała się; tym razem propozycja mniej ją zaskoczyła.

- Ale co one robią? - spytała frywolnie.

- Jakie one?

- One - powtórzyła, mając na myśli lesbijki, ale nie mogąc się zdobyć na powiedzenie tego na głos.

- Skoro tak... - powiedziała ostro Rachel, a Jean natychmiast chwyciła ją za dłoń.

- Nie, nie obrażaj się. Nie obrażaj się. - Nagle za *one* podstawiała sobie *my*: obrazek był niedorzeczny i żenujący. -

Poza tym przecież...

- Przecież co? Przecież Święto Wielkiej Brytanii?

- Przecież nie jesteś... lesbijką. - Tym razem przeszło jej przez gardło, a pauza oczyściła wyraz z brzydkich skojarzeń, stał się odległy i teoretyczny, zupełnie nie przystający do Rachel. Jej niska jasnowłosa towarzyszka wzięła Jean za nadgarstki, a zajadłe brązowookie spojrzenie przyszpiliło jej wzrok.

- Pieprzę się z kobietami - powiedziała powolnym, stanowczym głosem. - Czy to wystarczy, żeby zrobić ze mnie lesbijkę?

- Za bardzo cię lubię, żeby w to uwierzyła.

- Jean, to jedna z najmniej inteligentnych uwag, jakie od ciebie słyszałam.

- Chciałam powiedzieć, że chyba głównie chcesz się odegrać na mężczyznach, nie sądzisz? Twoje pokolenie nazywa to sferą polityki. Wchodzą w to inne rzeczy, to już nie jest tylko... to już nie jest tylko seks.

- A kiedy seks był tylko seksem?

Zawsze - chciała odrzec Jean, ale wiedziała, że to niedobra odpowiedź. Może ma zbyt mało doświadczenia, żeby się sprzeczać z Rachel? Dlaczego ludzie zawsze się na nią złością? Rachel wręcz ją prowokuje, żeby powiedzieć coś głupiego. Nie dała się sprowokować. A w każdym razie nie w tę stronę.

- Rachel, ja po prostu nie mam ochoty.

- A, to już zupełnie inna rozmowa.

Jean spojrzała na Rachel, jej sterczący podbródek i zajadłe brązowe oczy. Jak można mieć taką wściekłą minę i to nie z rozczarowania, ale z żądy? Jean przychodziły do głowy najprzeróżniejsze zwroty: „całkiem z niej ładna osobka”; „taki gorący temperament”; „mam do niej słabość”. Ale uświadomiła sobie, że to frazesy, za pomocą których starość rozbraja młodość. Żal jej było Rachel, jeszcze wystarczająco młodej, by sprawy potoczyły się dobrym bądź złym torem; duma lub wina leżały jeszcze przed nią. A jeszcze dalej, poza dumą lub winą, czekał wiek, który napawał Jean zarazem lękiem i nadzieją: wiek zobojetnienia, nie tyle umysłu, co całej istoty. Dziś, kiedy słuchała jakiejś opowieści albo oglądała film, znacznie mniej ją obchodziło, czy skończy się dobrze, czy źle. Chciała tylko, żeby się skończyło rozsądnie, właściwie, zgodnie z wewnętrzną logiką. To samo dotyczyło filmu z jej własnego życia. Nie tęskniła już za szczęściem, zabezpieczeniem finansowym, dobrym zdrowiem, lecz za czymś bardziej ogólnym, w czym zresztą zawierały się te życzenia: za nieprzerwanym poczuciem pewności. Potrzebowała wiedzieć, że zawsze będzie sobą.

Nie potrafiła wytłumaczyć Rachel, dlaczego powiedziała „Ja po prostu nie mam ochoty”. Ale potem, leżąc w łóżku tej ciepłej nocy, nie była nawet pewna, czy to do końca prawda. Pomyślała o Prosserze pobrzękującym monetami w sali odpraw. Pomyślała o mężczyznach w niebieskich mundurach, którzy podają sól uprzejmiej, niż zwykle, którzy siedzą cicho w kącie.

Nie było dla niej zbytnim zaskoczeniem, gdy zgodziła się pójść do łóżka z Rachel.

- Starzy potrzebują adoracji tak samo, jak młodzi - powiedziała - a pożądanie jest formą adoracji.

- Nie jestem już okazem piękna - rzekła, gdy weszły do mieszkania Rachel. Pomyślała o swych piersiach, ramionach, brzuchu. - Możesz mi pożyczyć koszulę nocną?

Rachel odparła ze śmiechem, że nie ma, ale przyniosła coś zastępczego. Jean poszła do łazienki, umyła zęby, wzięła kąpiel, weszła pod pościel i wyłączyła światło. Leżała twarzą skierowaną na zewnątrz. Usłyszała kroki Rachel, ciężar opadającego blisko ciała. Płask. Jak wujek Leslie na trawiastej pochyłości przed czternastym dołkiem. Jean szepnęła:

- Chyba dziś musisz mi darować.

Rachel wpasowała się w kształt pleców Jean. Łyżki, przypomniała sobie Jean z dzieciństwa. Z Michaeliem byli jak łyżka i nóż. Może to jest odpowiedź.

- Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty - stwierdziła Rachel. Jean mruknęła z cicha. A jeśli na nic nie ma ochoty? Gdy Rachel ją pieściła, leżała spięta, baczna, by nie dać jakiegoś niezamierzonego sygnału, który można odczytać jako rozkosz. Po chwili Rachel przestała. Usnęły.

Próbowały jeszcze dwa razy, o ile można to nazwać próbowaniem: W pożyczonej koszuli nocnej, Jean leżała plecami do Rachel i wstrzymywała oddech. Chciała chcieć, ale przekraczało to jej możliwości. Gdy była pewna, że Rachel zasnęła, odprężyła się; uderzyło ją, jak dobrze się jej potem śpi. Zastanawiała się, czy mogą bez końca powtarzać ten proceder. Powątpiewała. Ale perspektywa czegokolwiek więcej wzbudzała w niej myśli o popłochu, wysuszeniu, starości.

- Nie sądzę bym miała odwagę iść z tobą naprawdę do łóżka, moja droga - powiedziała, gdy się następnym razem spotkały.

- Pójście z kimś do łóżka wcale nie jest odważne. Zwykle wręcz przeciwnie.

- Mnie się wydaje bardzo odważne. Daleko za odważne. Będziesz musiała mi darować.

- Nie można powiedzieć, żebyśmy naprawdę próbowały.

- Lubię akt drugi, gdy śpimy - powiedziała Jean i natychmiast pożałowała tej uwagi. Rachel zmarszczyła brwi. Czemu ludzie zawsze się złością o seks? Potem nasza ją niepokojąca myśl.

- Pamiętasz, jak mi opowiadałaś... że nie czułaś się dobrze z kimś... z mężczyzną w łóżku?

- Tak.

- Czy to Gregory? Rachel zaśmiała się

- Skąd, oczywiście że nie. Nie opowiadałabym ci o tym. - Jean poczuła ulgę: przynajmniej jej rodzina nie jest obciążona jakąś potworną seksualną klątwą, która spadłaby też na Rachel. Później jednak zaczęło ją dręczyć, że skoro Rachel dokonała trudnego kłamstwa swym ciałem, z pewnością podołałaby łatwemu kłamstwu językiem.

Być może, wbrew temu, co twierdziła Rachel, pójście z kimś do łóżka jest aktem odwagi. A przynajmniej bywa. Może jej zapasy odwagi już się wyczerpały. Jak Prosser Wstań-Słońce: cykoria, dostał cykora, spietrał się, sparzył dwa razy. Rachel powiedziała, że Jean okazała odwagę, odchodząc od Michaela i samotnie wychowując Gregory'ego. Jean nie uważała tych posunięć za odważne, lecz za oczywiste. Może na tym polega odwaga: robić rzeczy oczywiste, których inni za takie nie uważają. Jak z Rachelą i chodzeniem do łóżka. Dla Racheli to było oczywiste i wcale nie odważne; dla Jean nieoczywiste, toteż wyzuwało ją do cna z odwagi. Ludzie się zużywają, pomyślała Jean; akumulatorów nie da się z powrotem naładować, wszystko stracone. O rany.

A może to nie ma nic wspólnego z odwagą. Może na czas pokoju powinno istnieć inne słowo. Może na słowo *odważny* powinni mieć monopol strażacy, saperzy i tym podobni. Zwykli ludzie albo coś robią, albo nie.

\*\*\*

Wiadomość, że wujek Leslie jest chory, wykrzyczała przez telefon właścicielka domu, pani Brooks. Od powrotu z Ameryki, który nastąpił wystarczająco długo po zakończeniu wojny, by nikt nie zwrócił na to uwagi, Leslie zarabiał na życie rozmaitymi nieujawnionymi posadami, hazardem i wyrafinowanym pieczeniarnstwem. Mieszkania zawsze wynajmował, czasem wprowadzał się w znacznym pośpiechu, lecz ogólnie prowadził się przyzwoicie. Z wiekiem udoskonalił swój system transakcji bezgotówkowych.

- Nie sprawiłoby panu kłopotu wymienić mi tę wtyczkę, panie Newby? - Nie sprawiłoby pani kłopotu podzielić się ze mną obiadem, pani Ferris? - Tak wyglądała pierwsza rozmowa w wykonaniu stryjecznego dziadka, jaką zapamiętał Gregory. Przez ostatnie lata Leslie kilka razy zabrał go do pubu, lecz nigdy nie doszło do żadnych płatności, chyba że to Gregory miał postawić następną kolejkę. Może gdy nadchodziła pora zamknięcia pubu, Leslie przyjmował na siebie rolę jednego z tych letargicznych pijaków, którzy w formie zapłaty za napitek zbierają szklanki i wykonują bełkotliwą parodię zawołania oberżysty:

- Już czas, panowie, prosimy do wyjścia!

- Cześć, mała Jeanie. - Minęły lata, odkąd ostatni raz ją tak nazwał. Miała ponad sześćdziesiąt lat, ale nie robiło jej to różnicy.

- Jak się czujesz?

- Wyciągam kopyta, oto jak się czuję. Wyciągam kopyta.

- Lekarze tak mówią?

- Nie mówią, bo nie pytam. - Wujek Leslie był wychudzony i pożółkły, wąsy miał zwichrzone, a rzędzące czarne włosy nie rozsypywały się na wszystkie strony tylko dzięki obfitej dawce brylantyny. - Złapałem to, o czym się nie mówi. Cierpię na „nie-pyta-nie-powiemy”.

Jean usiadła na łóżku i wzięła go za zimną, kruchą dłoń.

- Zawsze byłeś takim odważnym człowiekiem - powiedziała. - Chyba nie ruszyłabym się z kraju, gdyby nie myśl, że ty to już wcześniej zrobiłeś. I to ty posłałeś mnie do Egiptu.

- Teraz bym ci raczej nie radził iść w moje ślady. - Jean milczała. Nie było wiele do powiedzenia. - Poza tym zawsze byłem trochę tchórzliwy. Gdy byłaś małą dziewczynką, pewnie uważałaś mnie za Bóg wie jakiego zucha. Byłem wtedy tak samo tchórzliwy jak teraz. Ciągle uciekałem. Ciągle. Nigdy nie byłem odważny.

- Nie ma odwagi bez strachu - powiedziała Jean z dużym przekonaniem. Nie chciała, żeby wujek Leslie zaczął się nad sobą użalać. Poza tym to prawda.

- Może nie ma - odrzekł wujek Leslie. Oczy miał zamknięte; obdarzył ją poźółkłym uśmiechem. - Ale jedno ci powiem. Zdarza się strach bez odwagi.

Jean nie wiedziała, co odpowiedzieć, póki nie przypomniała sobie bajkowej chatki podobnej do zarośniętej budki dla ptaków.

- Leslie, kiedy chodziliśmy do Starego Zielonego Raju...

- Aha, myślisz, że tam idą po śmierci starzy golfiarze? - Znów nie wiedziała, co powiedzieć. - Nie przejmuj się, mała Jeanie. Golfiarze wiecznie grają. Tylko już nie oni pudłują, lecz ich pudłują.

- Gdy chodziliśmy do Starego Zielonego Raju. Robiłeś sztuczkę z papierosem.

- Z papierosem?

- Wypalałeś całego papierosa nie strącając ani trochę popiołu. Odchyłałeś głowę do tyłu, aż popiół stał pionowo.

- Taki był ze mnie czarodziej? - Uśmiechnął się Leslie. Przynajmniej zostały mu jeszcze jakieś tajemnice. Zwykle ludzie chcą się w takich sytuacjach dowiedzieć, jak to jest z umieraniem. - Chcesz się dowiedzieć, na czym polega sztuczka?

- Tak.

- Sztuczka polega na tym, że do papierosa wkłwa się igłę. A odchylenie głowy do tyłu to tylko dla zamydlenia oczu. Z tego samego powodu nie robi się tego na wietrze, ani w ogóle na zewnątrz, i każe wszystkim wstrzymać oddech. Myślą wtedy, że mogą wszystko popsuć. Zawsze robi wrażenie. Pewnie można by palić w dół podczas wichury i popiół też by nie spadł, ale nie próbowałem. Powiem ci jednak, że to żadna przyjemność. Smak jest jakiś taki metaliczny.

- Ale z ciebie spryciarz, Leslie.

- Trzeba coś mieć w zanadrzu, no nie?

Przy drugich odwiedzinach Jean, Leslie robił wrażenie słabszego i chciał się zobaczyć z Gregorym. Odkąd chłopiec skończył pięć lat - Leslie oficjalnie uznał wtedy jego istnienie - rokrocznie dostawał na Gwiazdkę coraz bardziej zagadkowe prezenty. Gdy miał lat sześć, przyszedł ażurowy stojak na fajki; rok później otrzymał zestaw trójwymiarowych slajdów bez przeglądarki; w wieku lat dziesięciu, model Lysandra bez podwozia; jedenastu - pompkę do roweru; dwunastu - trzy lniane chusteczki z monogramem H. Pomyłka tylko o jedną literę, pomyślał. Gdy miał czternaście lat, dostał trochę francuskich pieniędzy wycofanych z obiegu dwadzieścia lat wcześniej, toteż gdy próbował je wymienić w banku, potraktowano go jako nieudolnego oszusta. Gdy miał lat dwadzieścia jeden, otrzymał podpisane zdjęcie wujka Lesliego, zrobione wiele lat wcześniej, przypuszczalnie w Ameryce. Początkowo rozczarowany, Gregory z czasem poczuł skrywaną dumę ze swych prezentów; nie dostrzegał w nich znamion bez troski ze strony stryjecznego dziadka, a wręcz przeciwnie. Widział w nich chęć ofiarowania swemu pupilowi czegoś bardzo specyficznego, typowego dla wujka Lesliego. Pod tym względem nieodmiennie się sprawdzały. Przez kilka lat Gregory żywił potajemne obawy, że odnajdzie się przeglądarka do slajdów, lub że matka mu kupi. To by wszystko popsuło.

Pani Brooks, u której Leslie mieszkał od prawie pięciu lat, była chuda, enigmatyczną kobietą, która bez widocznego powodu zawsze krzyczała. Nie miało to nic wspólnego z głuchotą, jak sprawdził kiedyś wujek Leslie, włączając na małą głośność radio i obserwując jej reakcję. Był to po prostu nawyk, tolerowany od tak długiego czasu, że nikt nie znał już, i nie chciał znać, jego rodowodu.

- CORAZ Z NIM GORZEJ - wrzasnęła na całą ulicę, otworzywszy drzwi Gregory'emu. - NIE MA WIDOKÓW NA POPRAWĘ - dodała dla uszu mieszkańców parteru i pierwszego piętra swej kamienicy, zdzierając z Gregory'ego płaszcz. Na szczęście wujek Leslie miał pokój, na dużym strychu, który przegrzewał się latem, a bulgotanie bojlerów lokator wykorzystywał jako żelazny argument w rzadkich negocjacjach na temat ewentualnego czynszu.

Wymownymi gestami Gregory zdołał wyperswadować pani Brooks wycieczkę na górę. Zapukał do drzwi strychu i wszedł. Nigdy tam wcześniej nie był. Natychmiast ogarnęła go dziwna nostalgia: teraz już jasne, skąd się wzięły wszystkie moje prezenty gwiazdkowe. Pomieszczenie przypominało niskodochodowy sklep ze starzyzną. Czego tam nie było: wieszak z ubraniami, ewidentnie nie przeznaczonymi dla tej samej osoby; trzy odkurzacze i części, z których można by złożyć czwarty; kryształowy wazon z żółtawą pionową plamą; porozrzucane tanie wznowienia książek z oddartymi prawymi górnymi rogami i cenami w szylingach; prahistoryczna gołarka Electrolux, w perłowo różowym etui, tak do niczego niepodobna, że kojarzyła się raczej z jakimś rzadko stosowanym stymulatorem seksualnym; stos talerzy z różnych kompletów; kilka waliz, których całkowita ładowność znacznie przekraczała zawartość pokoju; wreszcie znormalizowana lampa, włączona nawet o jedenastej rano w wiosenny dzień.

- Drogi Chłopcze-powitał go Leslie. „Chłopiec”, zabrzmiał z dużej litery, dzięki czemu Gregory poczuł, że tytuł ten przyznawany jest tylko najdorodszejszym z ludzi. - Drogi Chłopcze.

Gregory udał, że nie widzi wiklinowego kosza na bieliznę, z wgniecioną pokrywą, który najwyraźniej służył za krzesło, i usiadł na łóżku. Nie wiedział, co się mówi w takich sytuacjach - założył, że jest to jedna z „takich sytuacji”. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż Leslie, choć czasem milczał przez kilka minut, wzięł na siebie rolę wodzireja. Jego myśli krążyły wokół pani Brooks.

- Powiedziała ci, w jaki sposób ją zmusiłem, żeby mi pozwoliła tu umrzeć?

Gregory był zbyt rozsądny, żeby pocieszać wujka.

- Nie.

- Zagroziłem, że napuszczę na nią Urząd Skarbowy.

- Leslie, ty stary draniu. - Gregory czuł, że jest to najmilszy komplement, na jaki go stać, a Leslie tak to właśnie odebrał. Położył sobie palec z boku na nosie. Był chyba zbyt słaby, żeby się popukać.

- Zmusiłem nawet starą prukwę, żeby się podała za moją odnalezioną po latach szwagierkę czy coś. Bo inaczej by mnie nie wypuścili ze szpitala. „Masz zażądać wypisania” mówię jej. Krzywo na nią patrzyli w szpitalu. Poczęstuj się pigułką, stary. - Pokazał na rząd plastikowych pojemników koło łóżka. Gregory odmówił ruchem głowy. - Nie dziwię ci się, chłopie. Też za nimi nie przepadam.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Leslie z zamkniętymi oczami. Włosy miał czarne jak smoła. Może trzyma w kosmetyczce jakąś miksturę po niżkowej cenie, pomyślał Gregory. Lecz brwi miał bielutkie, a wąsy gdzieś pośrodku. Skóra na policzkach poźółkła i odeszła od kości, ale nawet w bezruchu w jego twarzy było coś czarującego. Wyglądał jak naganiacz z wesołego miasteczka, który zachęca, by obejrzeć kobietę z brodą. Wchodzisz i wiesz, że broda jest

przyklejona, wiesz, że on wie, że ty wiesz, lecz jakoś nie potrafisz mieć mu tego za złe. - Nie przegapcie pani z brodą - oświadczasz, przeciskając się koło niezdecydowanego tłumu. - Najlepsza pani z brodą na południe od Muru Hadriana.

Od czasu do czasu Leslie odzywał się, usiłując wraz z ustami rozewrzeć też powieki. Nie wspominał już więcej o śmierci, więc Gregory uznał, że ta sprawa została zamknięta. Mówił trochę o Jean, wyznając w pewnym momencie Gregory'emu: - Twoja mama to miała darcie - nim zamknął na powrót oczy.

Gregory nie wiedział, co to znaczy. Może darło ją do mężczyzn, ale to zupełnie niepodobne do jego matki. Pewnie jakiś przedwojenny slang. Sprawdzi w słowniku, jeśli nie zapomni.

Po jakimś czasie chciał powiedzieć Lesliemu, jak bardzo go zawsze lubił i jak przyjemnie mu się słuchało tych wojennych gawęd, na które kręciła nosem Jean. Czuł jednak, że byłby w tym jakiś nietakt, niemal okrucieństwo. Zagaił więc:

- Pamiętasz te trójwymiarowe slajdy, które mi dałeś? Dopiero co o nich myślałem.

- Trójwymiarowe co?

- Slajdy. Takie kolorowe slajdy, tyle że dwa obok siebie. Wkłada się je do przeglądarki, ustawia pod światło i widzi afrykańskie parki zwierzyny albo Wielki Kanion. Z tą różnicą, że ty nie dałeś mi przeglądarki. - Mimo wszelkich starań Gregory nie uniknął nutki pretensji w głosie, choć w środku wcale nie żywił żadnych wyrzutów.

- Ha - powiedział Leslie, z mocno zaciśniętymi powiekami. - Ha. - Czy refleksja ta dotyczyła jego własnego skąpstwa, czy też niewdzięczności stryjecznego wnuka? Oczy powoli otworzyły się i mierzyły wzrokiem obok ramienia Gregory'ego. - Poszukaj tam, to pewnie znajdziesz resztę.

- Nie, nie, wujku, naprawdę. Ja... ja nie chcę reszty. Jedno oko zamknęło się, drugie zlustrowało chłopca, doszło do wniosku, że szkoda słów na taką przewrotność i poszło w ślady pierwszego. Parę minut później Leslie powiedział:

- Weź sobie przynajmniej golarkę.

- Proszę?

- Mówię, weź sobie przynajmniej golarkę. - Gregory spojrzął na blat komody. Electrolux błyszczał ku niemu różowo.

- Dziękuję bardzo. - Zdał sobie sprawę, że to idealny prezent.

- Bo jeśli nie, pani Brooks ją zabierze do golenia nóg. Gregory parsknął krótkim śmiechem. Wpatrywał się w twarz naganiacza z wesołego miasteczka. Wreszcie, nie otwierając oczu, Leslie wypowiedział ostatnie słowa, jakie Gregory od niego usłyszał:

- Tu nie chodzi o żaden Wspólny Rynek. Oczywiście że nie. Gregory wstał, położył wujkowi dłoń na ramieniu, potrząsnął delikatnie, zabrał z komody golarkę, schował do kieszeni, żeby pani Brooks nie posądziła go o kradzież (nie pomogło, gdyż stwierdziwszy, że golarzki nie ma, tak właśnie sobie pomyślała) i wyszedł.

Po śmierci Lesliego Gregory pomógł pani Brooks posprzątać strych.

- NAJLEPIEJ ODDAĆ WSZYSTKO BIEDNYM - wrzasnęła, aby drugie i trzecie piętro kamienicy zapoznało się z jej zamierzeniami. Kiedy przesuwali łóżko, Gregory nadepnął na coś, co zachrząściło. Była to papierowa torebka z rybą i frytkami, która musiała tam leżeć od dłuższego czasu, gdyż olej wysychł. Gregory podniósł torebkę i rozejrzał się za koszem na śmieci. Nie było. Tyle rupieci, pomyślał, i nie ma gdzie wyrzucić.

W biurze, targując się z tymi, którzy chcieli pieniędzy w zamian za swe zejście, Gregory wracał myślami do życia i śmierci wujka Leslie. Był nie tylko wzruszony, był pełen podziwu dla zachowania Lesliego podczas ostatniej wizyty. Wspominał, że wkrótce umrze, skwitował to żartem, po czym mówił o innych sprawach. Nie traktował wizyty jako pożegnalnej, choć taka właśnie była; nie użalał się nad sobą, nie skłaniał swego gościa do łez. Wskutek czego śmierć Lesliego była jeszcze trudniejsza do zniesienia. Gregory sądził, że Leslie zachował się, z braku lepszego słowa, odważnie.

Ta śmierć zdawała się coś mówić. Leslie, który wymigał się od wojny, który przebumelował całe życie kosztem innych, którego nawet Jean potrafiłaby nazwać gnojkiem, gdyby nie był członkiem rodziny, umarł odważnie, a nawet wzniosie. A może to zbyt uproszczenie, sprowadzające wszystko do aspektu moralnego? Nie mieli przecież nawet pewności, czy rzeczywiście Leslie wymigał się od wojny - tak twierdził ojciec Jean, sam Leslie nazywał to „epoką, kiedy byłem w Stanie Zamorskim”. Nie byli pewni też, czy jego bezgotówkowy sposób na życie nie został wymuszony biedą, a Gregory tak naprawdę nie wiedział, jak Leslie umarł, jak wyglądał sam koniec. Może pigułki uśmierzyły wszelki ból. Czy w takim razie można powiedzieć, że umarł odważnie? Tak, gdyż musiał zmierzyć się ze świadomością własnej śmierci. Ale może pigułki odbierają tę świadomość, a przynajmniej łagodzą, osładzają. Gregory miał takie podejrzenie.

Więc na czym polega dobra śmierć? Czy jest jeszcze możliwa? Czy też było iluzją wierzyć, że zdarzała się dobra śmierć - odważna, stoicka, napawająca nadzieją - w przeszłości? Czy dobra śmierć nie należy do tych zwrotów, które nijak się mają do tego, co rzekomo określają? Jakby na przykład wymyślić nazwę dla nie istniejącego zwierzęcia, powiedzmy, latającego krokodyla? A może dobra śmierć to po prostu najlepsza śmierć, na jaką nas stać w danych okolicznościach, niezależnie od pomocy medycznej? Albo jeszcze lepiej: dobra śmierć to każda śmierć, w której człowiek nie zwija się w męce, strachu i sprzecznie. Według tego kryterium - właściwie według dowolnego kryterium - wujek Leslie miał dobrą śmierć.

\*\*\*

Jean przypominała sobie Chiny. Być może dlatego czuła się tam nie tak obco, jak przewidywała, gdyż pobyt w Chinach był jak życie z mężczyzną. Mężczyźni zonglowali złotymi rybkami i oczekiwali uznania. Mężczyźni dawali jej futra z psów. Mężczyźni wynaleźli plastikowego bonsai. Mężczyźni dawali małeńkie adresowniki, sądząc, że wystarczy. Mężczyźni byli niekiedy bardzo prymitywni: jeździli rowerem na targ, ciągnąc za sobą przywiązaną do błotnika świnię. A przede wszystkim sposób, w jaki mężczyźni do niej mówili. „Świątynię przebalo-wano”. „Pyrz na polach”. „Płakać przy kasie”. Mówili do niej przez megafon z odległości paru metrów. A gdy wysiadły baterie, nadal woleli wrzeszczeć przez tubę, niż wystąpić na równej stopie. Albo mówili do niej z drugiej strony okrągłego muru, a gdy wyciągała szyję, z trudem wyłuskiwała ich głos spośród kilkunastu innych. A gdy zadawała im najprostsze pytania - „Czy chciałby pan pojechać do Szanghaju?” - nie chcieli odpowiedzieć. Udawali, że z pytaniem jest coś nie tak. Fałszywe pytanie. Czemu pani pyta o takie rzeczy? Nie ma odpowiedzi, bo nie było pytania. „Proszę płakać przy kasie”. „Pomóż mi przywiązać świnię, połóż palec na węźle”. „Świątynię przebalo-wano”. „W epoce azjatyckiej”. Nie zapominajmy, że żyjemy w epoce azjatyckiej; zawsze żyliśmy w epoce azjatyckiej.

## III

Nieśmiertelność nie jest pytaniem dla uczonych.

*Kierkegaard*

Jak odróżnić dobre życie od złego, zmarnowanego? Jean przypomniła sobie zmianową w fabryce jadeitów w Chinach, którą spytano, jak odróżnić dobry jadeit od złego. Przez tłumacza, i przez zepsuty megafon, przyszła odpowiedź: - „Patrzmy na jadeit i w ten sposób oceniamy jego jakość.” - Dziś odpowiedź ta nie wydawała się jej już tak wymijająca.

Jean często się w swym życiu zastanawiała, jak to będzie na starość. Gdy miała pięćdziesiąt lat, lecz czuła się jak trzydziestolatka, usłyszała w radiu wypowiedź gerontologa. - Włóż sobie watę do uszu i kamyczki do butów, naciągnij gumowe rękawiczki, posmaruj okulary wazeliną i oto masz: starość błyskawiczna.

Był to dobry sprawdzian, lecz obarczony jednym błędem. Człowiek nie starzeje się błyskawicznie, nie ma wyrazistych wspomnień dla porównania. A gdy spojrzała wstecz na ostatnie czterdzieści ze swych stu lat, starość nie sprowadzała się do osłabienia zmysłów. Zestarzała się najpierw nie w swoich własnych oczach, lecz w oczach innych, a dopiero potem, powoli, pogodziła się z ich opinią. Mogła chodzić równie dużo, jak dawniej, tyle że ludzie nie oczekiwali tego po niej, wobec czego upór wydawał się daremny.

Po sześćdziesiątce nadal czuła się młodą kobietą; po osiemdziesiątce czuła się jak kobieta w średnim wieku, u której coś szwankuje; gdy dobijała do setki, nie interesowało jej już, czy czuje się młodsza od swego wieku metrykalnego - nie widziała sensu. Sprawiało jej ulgę, że nie jest przykuta do łóżka, na co byłaby może skazana w dawnych czasach, jednak z reguły traktowała postępy medycyny, które nastąpiły za jej życia, jako coś naturalnego. Żyła coraz bardziej we wnętrzu swej głowy, gdzie jej się podobało. Wspomnienia, było ich zdecydowanie za dużo, przewalały się po niebie jak irlandzka pogoda. Jej stopy rokrocznie zdawały się bardziej oddalone od dłoni; upuszczała przedmioty, trochę utykała, miała lęki. Przede wszystkim jednak dostrzegła przewrotny paradoks starości: choć pozornie wszystko zajmuje jej więcej czasu, ten zdaje się płynąć coraz szybciej.

Mając osiemdziesiąt siedem lat, Jean zaczęła palić. Medycyna nareszcie udzieliła papierosom błogosławieństwa. Po kolacji Jean zapalała jednego, zamykała oczy i delectowała się jakimś smakowitym wspomnieniem z ubiegłego stulecia. Jej ulubionym gatunkiem były Numery, z początku podzielone kropkowanymi liniami na osiemnaście uśrednionych jednostek tytoniowych. UJT-y były ponumerowane od jednego do osiemnastu, dzięki czemu ludzie wiedzieli, jaką część papierosa już wypalili. Jednak po kilku latach, w sezonie ogórkowym, gdy lobby komputerowe miało problemy ze znalezieniem tematów do sondaży opinii publicznej, doszło do zacieklej debaty (zdaniem producenta rozjątrzonej przez konkurencję), czy numerowanie Numerów nie jest przykładem paternalizmu i ucisku. Wreszcie w wyniku sondażu, który objął 8 procent ludności kraju, jak również kilku nieprzyjemnych incydentów (samochód dyrektora ds. sprzedaży został pomalowany w kropkowane linie i podzielony na osiemnaście części od maski po bagażnik), producenci zrezygnowali z numerowania Numerów.

Mimo to Jean automatycznie zakładała, że papieros składa się z osiemnastu dymków. Sześć, sześć i sześć - po każdym sześciu zaciągnięciach zawsze odkładała papierosa. Pierwsze sześć napełniało ją nagłą rozkoszą; był to przypływ nowego życia. Kolejne sześć zaciągnięć było mniej aktywnych, miało za zadanie utrzymać ją na poziomie, który w swej zapalczowości bez kłopotu osiągnęła. Przy ostatnich sześciu wpadała w popłoch, patrzyła jak ogień tli się coraz bliżej jej palców, czasem próbowała z sześciu zrobić siedem. Nie pomagało.

Lubiła też siedzieć na słońcu. Być może, pomyślała, ma to coś wspólnego ze skórą: gdy staje się twarda i plamista jak u gada, człowiek nabiera zwyczajów jaszczurki. Czasami zakładała jakieś stare białe rękawiczki, żeby nie widzieć swych dłoni.

- Swędzi cię skóra? - pytał Gregory.

- Nie, tylko nie chcę mieć tych sękatych gałązek przed oczyma.

Gregory, który dobijał sześćdziesiątki, nadal miał okrągłą, łagodną buzię, którą Jean pamiętała z czasów wspólnych podróży, a niekiedy jakiś nagły, intensywny wyraz jego oczu przywoływał u niej obrazy rzeczy, na które kiedyś spoglądał: tęczową flotę wojenną jego samolotów, komputerowe szachy, jego mdłe dziewczyny. Teraz już tylko we wspomnieniach mógł być młody. Zdała sobie sprawę, że jest matką starego człowieka. Włosy miał zupełnie siwe. Okrągłe, złote okulary robiły wrażenie przedpotopowych, a z jego powściągliwych, nieco pociesznych manier coraz silniej przebijał starczy pedantyzm. Dwa razy w tygodniu Gregory chodził do pracy; grał z KOZ /Komputer Ogólnego Zastosowania/, siedział w swym pokoju i słuchał jazzu. Czasem miała wrażenie, jakby nad jego życiem zaległa kiedyś poranna mgła i nigdy się nie podniosła.

Jean nie miała już ochoty przeglądać się w lustrze. Nie dlatego, że nie chciała zranić swej próżności, lecz z braku zainteresowania. Kolejne rozstępy skóry po jakimś czasie przestają być nowością. Siwe włosy miała spięte w luźny kok; nie myła ich od kilku lat, toteż nabrały złotej patyny. Jakie to dziwne, pomyślała: w dzieciństwie miałam słomiane włosy; teraz, w powtórny dzieciństwie, znów są złote, choć tylko z pozoru. Skureczyła się o parę cali w stosunku do swego dojrzałego wzrostu, zgarbiła nieco, a chodząc po domu, opierała się na meblach. Już dawno przestała śledzić wydarzenia publiczne; jej charakter wydawał się mniej istotny niż kiedyś; błękit oczu uległ transformacji w mleczną szarość porannego nieba, które jeszcze się waha. Tak jakby w butli z tlenem powstał niewielki wyciek: wszystko stawało się powolniejsze i bardziej ogólne. Z tą różnicą, że o tym wiedziała, więc nie mogła dzielić bezwiednej radości tych dawno umarłych lotników, którzy brnąc ku słońcu, parodiowali starość.

Od czasu do czasu Gregory próbował przedstawić ją innym starym ludziom i czuł się zawiedziony widząc jej brak entuzjazmu.

- Starzy ludzie nigdy mnie zbyt nie interesowali - tłumaczyła. - Czemu miałabym nagle zapalać do nich sympatią?

- No, ale moglibyście... bo ja wiem... pogadać o dawnych czasach?

- Gregory - odparła ze stanowczością, która zabrzmiała jak nagana - ich dawne czasy mnie nie interesują, a swoje własne chcę zachować dla siebie. Sam się zadawaj ze starymi ludźmi, kiedy będziesz stary.

Gregory uśmiechnął się. Stary? Nie miał nawet polisy na życie. Firma zaproponowała mu oczywiście specjalne stawki, ale odmówił. Ludzie mówili, że nieubezpieczony pośrednik ubezpieczeniowy to jak rzeźnik wegetarianin. Dowcip nie miał wpływu na jego postanowienie. Kiwał głową, jednocześnie myśląc, że to logiczne być rzeźnikiem



wegetarianinem: jeżeli ktoś spędza cały dzień na kawałkowaniu zwierząt, ma prawo nie mieć ochoty jeść ich na kolację. Nawet za pół ceny od polcia.

Był już dobrze po pięćdziesiątce, gdy zaczęły go nachodzić myśli o samobójstwie. Były to myśli spokojne, niemal przyjemne, nie melodramat z ołowianym niebem przeciętym błyskawicą, lecz stonowane, wyważone rozumowanie. Skąd te rozmyślenia? Być może stąd, że nie miał polisy na życie, której warunki zabraniały melancholijnych poczynań, a w podtekście zniechęcały do melancholijnych rozmyślań. A może po prostu stąd, że w pierwszej dekadzie stulecia samobójstwo było aktualnym tematem. Twierdzi się czasem, że ludzie się zakochują tylko dlatego, że ktoś przy nich mówił o miłości; może tak samo jest z samobójstwem.

Wszyscy ci starszuszowie, którzy się zabili. Gregory nadal pamiętał niektóre nazwiska: Freddy Page, David Salisbury, Sheila Abley. Plus nazwisko, które wszyscy znali: Don Johnson. Jak można było przewidzieć, gazety i telewizja błędnie zinterpretowały „falę samobójstw w jesieni życia”. Publicyści przypominali, że eutanazja została zalegalizowana osiem lat wcześniej, że państwo zapewnia najlepsze w Europie warunki do bezbolesnej śmierci. Skoro ludzie ci zabijają się w taki natrętny i publiczny sposób, muszą cierpieć na poważne zaburzenia. Wobec czego trzeba skorygować rejonizację służb gerontologicznych, zintensyfikować ich działalność i zadbać o lepsze zaplecze informacyjne.

Kampania nabrała jednak tylko rozmachu. Pierwszego dnia każdego miesiąca, od marca do września 2006 roku, typowano męczennika za sprawę ludzi starych, powołano do istnienia komisję koordynacyjną samobójców wieku starczego (SWS), zaś gazety odkrywały, że reportaże o starych ludziach, jeżeli wystarczająco dramatycznie napisane, niekoniecznie wpływają na zmniejszenie nakładu. Kiedy w siedzibie komisji SWS założono podsłuch, przydało jej to tylko popularności: publicznie wyrażono pogląd, że zakładanie podsłuchu ludziom starym jest naganne.

W dniu pierwszego października Mervyn Danbury, popularny komentator krykieta, zastrzelił się w muzeum katedry św. Pawła, trzymając w drugiej ręce kartkę urodzinową z podpisem premiera. Wkrótce potem komisja SWS wysunęła pierwszą listę żądań, sporządzoną - tak przynajmniej utrzymywano - na podstawie nie opublikowanego komputerowego sondażu telefonicznego, który objął 37 procent ludności w wieku powyżej 70 lat. Żądania były następujące: 1) Zaprzestać wszelkiej reklamy klinik bezbolesnej śmierci. 2) Zamknąć wszystkie domy starców. 3) Usunąć słowo geriatryczny i jego pochodne z użytku publicznego. 4) Starcy mają być w przyszłości określani jako starcy. 5) Starców należy bardziej kochać. 6) Ustanowiona zostanie specjalna pula odznaczeń, przyznawanych starcom w uznaniu ich mądrości i osiągnięć. 7) Dorocznie obchodzony będzie Dzień Starców. 8) Starcy będą traktowani na specjalnych prawach przez pracodawców i ministerstwo gospodarki mieszkaniowej. 9) Osoby powyżej lat osiemdziesięciu objęte zostaną darmową dystrybucją środków euforyzujących.

Z początku rząd oświadczył, że nie będzie negocjował pod przymusem, na co Don Johnson podpalił się między budkami strażników przed pałacem Buckingham. Zdjęcie osmolonego wózka inwalidzkiego, obarczonego żalną masą zwęglonego mięsa, obiegało wszystkie gazety. Rządowa kampania oszczerstw, której celem było ukazanie Johnsona jako osoby nie zrównoważonej i antypatycznej, prawdopodobnie zamordowanej w odwecie, spaliły na panewce. W przeciągu kilku tygodni rząd przystał na większość żądań komisji; na znak pokuty za swą wcześniejszą niechęć, członkowie gabinetu zaproponowali nawet, by Dzień Starców nazywał się Dniem Dona Johnsona. Dzięki wysiłkom telewizji starcy stali się nie tylko mile widziani, ale wręcz modni; nastąpił istny szal małżeństw między ludźmi bardzo starymi i bardzo młodymi; wydano znaczki z portretami

Sławnych Starców; zainicjowano Igrzyska Starców, a Gregory zaprosił matkę, by zamieszkała w małym, słonecznym pokoju na tyłach jego domu.

Nie obeszło się oczywiście bez typowych dowcipów: facet ma nadzieję, że zostaniesz gwiazdą wideo i wystąpi u twojego boku w programie; jemu zależy tylko na twoich euforyzantach i tak dalej. Choć były to głupie żarty, sama się czasem martwiła o motywy Gregory'ego. Kiedy jednak zadawała sobie pytanie, czy ludzi należy zmuszać do dobroci, odszczekiwała sama sobie, że oczywiście należy, ponieważ większość z nich w żaden inny sposób tego nie osiągnie. Nigdy nie rozmawiała z Gregorym o tym, dlaczego ją zaprosił do siebie, ani dlaczego się zgodziła.

\*\*\*

Projekt „Komputer Ogólnego Zastosowania” zapoczątkowano w 1998 roku, po serii wstępnych prac rządowych. Wcześniej, pod koniec lat osiemdziesiątych, przeprowadzono kilka programów pilotażowych, których celem było skomasowanie całej ludzkiej wiedzy w jednym łatwo dostępnym archiwum. Najwięcej rozgłosu zyskał projekt „Ucz się bawiąc”, z lat 1991-92, w ramach którego przyznano liczne nagrody i stypendia. Gdy jednak projekt połączono z kampanią rządową na rzecz odciążenia młodzieży od państwowych salonów gier wideo, czystość intencji rządu została podana w wątpliwość. Niektórzy posunęli się nawet do oskarżenia projektu o dydaktyzm.

Wczesne programy z konieczności koncentrowały się na książkach. Ich celem było stworzenie wzorcowej, doskonałej biblioteki, gdzie „czytelniczy” (jak ich nadal archaicznie nazywano) mieliby dostęp do zgromadzonej przez ludzkość wiedzy. Podniósł się jednak sprzeciw, że programy te są zorientowane zbyt akademicko: ludzie przyzwyczajeni do korzystania z książek będą mogli z nich korzystać bardziej wydajnie, pozostali będą jeszcze bardziej upośledzeni. We wszystkich trzech raportach rządowych z połowy lat 90. postulowano, że konieczna jest bardziej demokratyczna baza użytkowników, aby programy pilotażowe otrzymały pełne wsparcie finansowe ze strony państwa.

KOZ został skonstruowany na bazie informacji, nie książek; wyszukiwało się nie tytuły, lecz kategorie tematyczne. Źródła, istotne w fazie wczytywania dla oceny wiarygodności faktów, uznano za nieistotne w fazie odczytu, toteż zrezygnowano z ich podawania. Uczeni twierdzili, że brak bibliografii wspomagającej podważa cały program KOZ, lecz demokraci zbyli ich za melodramatyzm i argumentowali, że rezygnacja z podawania bibliografii poskromi pychę pismaków - czy też źródełków, jak ich zaczęto określać. Uczynić informację anonimową to tak, jak wyssać żmiję z jadu, mówili. Dopiero teraz wiedza stanie się prawdziwie demokratyczna.

KOZ, ostatecznie uruchomiony w 2003 roku, zawierał wszystko, co dotychczas napisano we wszystkich książkach we wszystkich językach; pracownicy projektu przetrzebili archiwa radiowe i telewizyjne, biblioteki książkowe, płytowe i taśmowe, gazety, czasopisma, pamięć ludową. WSZECHSUMA LUDZKIEJ WIEDZY, brzmiało hasło wykute na kamiennym ekranie wideo, nad wejściami do miejskich ośrodków KOZ. Naukowcy narzekali na dane wejściowe w szeregu dziedzin i twierdzili, że pojęcie „wiedzy całkowitej” stoi w sprzeczności z czymś, co nazywali „wiedzą poprawną”. Cynicy zauważyli, że jedyne kwestie, o jakie nie można zapytać KOZ, to jego własne dane wejściowe, źródła, zasady działania i obsługa. Demokraci byli zadowoleni, a gdy zaproszono ich do dyskusji na temat wiedzy całkowitej versus poprawnej,

czynili aluzje do aniołów tańczących na główce szpilki. Oczywiście zdarzą się ludzie, którzy skorzystają z KOZ, by rozstrzygnąć zakład bądź sprawdzić wyniki meczów piłkarskich; lecz to nie szkodzi. Ważniejsze, że komputer pozwoli wprowadzić system zindywidualizowanych i uelastycznionych zajęć wieczornych. Ponad wszystko demokraci zachłystywali się tym, co uosabiał KOZ - ideą wszechskarbnicy informacji, wyroczeni faktów.

Demokratyczne były nie tylko dane zawarte w KOZ, lecz i forma ich prezentacji. Wpisywało się swój PESEL, po czym dane dostosowywane były do indywidualnego poziomu zrozumienia. Z tym początkowo kontrowersyjnym aspektem KOZ szybko się pogodzono jak z czymś nieuniknionym. Mawiano, że KOZ analizuje pytania podczas ich wpisywania, po czym przeprowadza na bieżąco ocenę poziomu zrozumienia użytkownika, co niekiedy prowadzi do korekty numeru identyfikacyjnego. Informacje te nie zostały jednak nigdy potwierdzone. Ludzie, szczególnie demokraci, wkrótce nauczyli się polegać na KOZ; polubili go. Niektórzy polubili go na tyle, że uzależnienie od KOZ stało się argumentem w rozprawach rozwodowych.

Ten silos faktów stopniowo zaczął oplatać bluszcz legendy. Mawiano, że prócz demokratycznego modyfikatora danych wyjściowych, istnieje także urządzenie umożliwiające tajnym funkcjonariuszom podłączenie się do systemu i zmianę odpowiedzi. Mawiano, że najlepsze odpowiedzi uzyskuje się kłamiąc w pytaniach. Mawiano, że KOZ jest podłączony do Nowego Scotland Yardu III i że ludzie stawiający szemrane pytania (gdzie znajduje się najcenniejsza kolekcja sreber, której właściciel mieszka gdzie indziej?) są zatrzymywani po opuszczeniu budynku.

Największą liczbą legend owiana była jednak funkcja KOZ o nazwie PA. Tę nową kategorię informacyjną wprowadzono w 2008 roku, po okresie intensywnych nacisków finansowanych z tajemniczych źródeł. PA znaczyło „Prawda Absolutna”. W dawnych czasach bibliotek dostęp do pewnych książek (obscenicznych, bluźnierczych lub politycznie kontrowersyjnych) można było uzyskać jedynie na indywidualną prośbę; teraz KOZ dysponował kategorią informacyjną, do której można było dotrzeć tylko za specjalnym zezwoleniem. Cynicy zestawili te dwa fakty i skonstatowali, że prawda została uznana za obsceniczne bluźnierstwo podległe manipulacji politycznej, lecz demokraci jeszcze raz potwierdzili niezbywalne prawo wglądu obywatela do najpoważniejszych pośród istniejących na dany dzień refleksji i wniosków.

Ponieważ PA pojawiła się w KOZ później, nie znalazła odbicia w oficjalnym manifestie. Niektórzy ludzie nie wierzyli, że funkcja ta w ogóle istnieje. Inni wierzyli, ale nie byli zbyt zainteresowani. Większość ludzi znała kogoś, kto znał kogoś, kto ubiegał się o dostęp do PA albo rozważał taką możliwość; wydawało się jednak, że nikt nie zna nikogo, kto by to rzeczywiście zrobił. Cynicy utrzymywali, że trzeba przedłożyć zaświadczenie lekarskie, testament i zgodę trzech członków rodziny. Demokraci opowiadali, że w holu PA dostępne są oczywiście znormalizowane formularze testamentowe i samozeznaniowe, lecz przestrzegali przed wyciąganiem z tego pochopnych wniosków.

Krażyły rozmaite, lecz autorytatywne opowieści o poszukiwaczach Prawdy Absolutnej, którzy postradali rozum; twierdzono, że przy każdej konsoli zamontowany jest dystrybutor środków farmakologicznych; że pytający otrzymują nie tylko fakty i opinie, lecz także euforyzanty, pigułki, a nawet tabletki bezbolesnej śmierci; że ludzie w doskonałym stanie zdrowia udali się do KOZ zdecydowani złożyć wnioski o dostęp do PA i już ich więcej nie widziano.

Nikt nie był zupełnie pewien, co PA wie i robi. Niektórzy sądzili, że oferuje możliwości wyboru życiowego, jak pracownik biura pośrednictwa zawodowego; inni podejrzewali, że specjalnością PA są decyzje egzystencjalne, jeszcze inni, że pozwala poćwiczyć wolną wole w warunkach laboratoryjnych, że jest jak kabina symulacji lotu, w której szkoli się pilotów liniowych. Można się nauczyć startować i lądować bądź też, jeśli kto woli, rozbijać samolot. Rozeszła się pogłoska, że lobby optujące za wprowadzeniem PA było finansowane z tych samych źródeł, co lobby eutanazyjne w latach dziewięćdziesiątych. Większość ludzi chciała mieć świadomość, że PA istnieje, na wszelki wypadek, ale niewielu miało zamiar spróbować. Przywodziło to na myśl *long-stops* w krykcie, którzy istnieją nie tyle po to, by zaspokoić wymogi gry, lecz by zapewnić łapaczowi spokój ducha.

- PA mówiąc... - żartowano, choć nikt do końca nie wiedział, jak PA mówi. Wszyscy się zgadzali, że odpowiedzi komputera muszą być inaczej sformułowane niż pozostałe dane wyjściowe KOZ; sądzono, że odpowiedzi PA są czytelne, lecz wyrażone poetycko. Niektórzy ludzie mówili, że powołano grupę pisarzy, która stworzyła specjalny język PA, zarazem ekspresyjny i niejednoznaczny. Niektórzy twierdzili, że PA mówi wierszem, inni, że jak małe dzieci.

- Kiedy byłam dzieckiem - powiedziała Jean do Gregory'ego, wypaliwszy wieczornego papierosa - zadawałam sobie w łóżku pytania. Chyba zamiast modlitwy: nikt mnie nie nauczył się modlić. Nie wiem, jak długo to robiłam. Mam odczucie, że przez całe dzieciństwo, ale przypuszczalnie tylko przez rok lub dwa.

- Jakie pytania?

- Och, nie pamiętam już wszystkich. Pamiętam, że chciałam wiedzieć, czy jest muzeum kanapek, a jeśli tak, to gdzie. I dlaczego Żydzi nie lubią golfa. I czemu Mussolini jest nie w ciemny bity. I czy do nieba idzie się przez komin. I dlaczego norka jest patologicznie żywotna.

- Uzyskałaś jakieś odpowiedzi?

- Nie jestem pewna. Nie pamiętam, czy rzeczywiście uzyskałam odpowiedzi i pytania przestały mnie interesować. Podejrzewam, że gdy dorosłam, zdałam sobie sprawę, że muzeum, w którym przechowuje się kanapkę z jajkiem i rzeżuchą królowej Wiktorii to dość śmieszny pomysł, dowiedziałam się, że Żydzi, owszem, lubią golfa, tyle że golfiarze nie lubią Żydów, a jeśli chodzi o niebo i komin, zrozumiałam, że niektóre pytania trzeba inaczej postawić, zanim uzyska się odpowiedź. - Przerwała i spojrzała na Gregory'ego. - Nigdy się nie dowiedziałam, czemu norka jest patologicznie żywotna. Bardzo mnie to gnębiło. Myślałam sobie, że może dlatego futra z norek są tak cenne, gdyż pochodzą ze zwierzęcia, które z wielką niechęcią rozstało się z życiem. Tak samo, jak minerały są cenne dlatego, że trudno sieje wydobywa. Pamiętasz fermę norek?

Gregory zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie. W czasach, zanim faunę przywrócono naturze, działo się tyle rzeczy.

- Dużo się zastanawiałam nad fermami norek. Chciałam wiedzieć, jak zabijają te zwierzęta. Bo przecież nie mogli uszkodzić futra. Raczej odpadało duszenie. Może je zagazowywali, jak borsuki.

Gregory nie wiedział. Nie pamiętał nawet, że zagazowywali borsuki. Przeszłość była barbarzyńska. Nawet borsukom nie dana była bezbolesna eutanazja.

Następnego dnia w KOZ wywołał kartotekę PRZYR.

- Norka - wpisał.

- GOTÓW.

- Dlaczego norka jest patologicznie żywotna? Nastąpiła przerwa, migotało zielone CZEKAJ, a po kilku sekundach wyskoczyła odpowiedź: FAŁSZYWE PYTANIE.

Nie przesadzaj, pomyślał Gregory. Kiepski wykręt. Czasami silos wiedzy strasznie skąpił zboża. Zdarzało się jednak, że można go było oszukać powtarzając pytanie.

- Dlaczego norka jest patologicznie żywotna?

- FAŁSZYWE PYTANIE.

No cóż, trzeba zacząć od postaw.

- Dlaczego trudno jest zabić norkę?

- USTAWA O OCHRONIE ZWIERZĄT W STANIE DZIKIM...

Gregory nacisnął „Przerwij”. Od nowa.

- Kiedy zostały zakazane fermi nerek?

- 1998.

- Zbierz informacje o prowadzeniu ferm nerek. - Odczekał około dziesięciu sekund.

- GOTÓW.

- W jaki sposób pracownicy ferm zabijali norki?

- RÓŻNY. TRUCIZNY, GAZOWANIE, NIEKIEDY MECHANICZNIE, TAKŻE PORAŻENIE PRĄDEM.

Gregory'ego przeszył dreszcz. Brutalne, dawne czasy.

- Jak długo trwała agonia?

- PORAŻENIE PRĄDEM 2-3 SEKUNDY... „Przerwij”.

- Czy norka zaciekle broni się przed śmiercią?

- TAK. PODAĆ PRZYKŁADY?

Gregory nie chciał przykładów. Na tym, między innymi, polegał problem z KOZ: posiadał tyle informacji, że zawsze chciał ci ich jak najwięcej wcisnąć; jak jakiś nudziarz na przyjęciu, usiłował cię odciągnąć od twych własnych zainteresowań, żeby móc się pochwalić swoją własną wiedzą.

- Dlaczego?

- DLACZEGO CO? UŚCIŚLIJ.

- Dlaczego norka zaciekle broni się przed śmiercią?

- FAŁSZYWE PYTANIE.

Skurwiel, pomyślał Gregory. Skurwiel. Ale pytał dalej, równie zaciekle, jak norka.

- Dlaczego norka broni się przed śmiercią bardziej zaciekle niż inne zwierzęta?

- KONTROPIN. SPRAWDŹ C37.

Gregory wywołał C37 bez większych oczekiwań. KONTROPIN oznaczało, że żądane informacje są nadal przedmiotem sporu wśród ekspertów światowych. Pod C37 uzyskał skróconą wersję obecnej teorii ewolucji. Dowiedział się jednak tylko tyle, że instynktowne zmagania norki ze śmiercią są powodem, dla którego gatunek przetrwał tak długo i z takim powodzeniem. Co nie posuwało sprawy do przodu.

Postanowił nic nie mówić Jean o różnych sposobach zabijania nerek. Nie dlatego, żeby ją to miało zasmuć - sam nie chciał jeszcze raz przez to przechodzić.

- Spytałem KOZ, czemu norka jest patologicznie żywotna.

- Naprawdę, skarbie? Bardzo miło z twojej strony, że pamiętałeś.

- Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

- No i co powiedziała ta twoja maszyna o sprytnym drucianym rozumku? - Jean oczekiwała odpowiedzi bez większego przekonania; nie wierzyła w wiedzę komputerową. Jak sama przyznawała, była pod tym względem strasznie staroświecka.

- Powiedziała, że to fałszywe pytanie.

Jean zaśmiała się. Właściwie była dość zadowolona.

- Jakieś dziewięćdziesiąt lat temu, chociaż może trochę wcześniej, jak się zastanowię, spytałam ojca o godzinę. Powiedział, że jest trzecia. Ja spytałam, dlaczego jest trzecia, a on odpowiedział dokładnie to samo. Wyjął fajkę z ust, wycelował we mnie lufką i powiedział: - Jean, to jest fałszywe pytanie.

Ale co to są prawdziwe pytania, zastanawiała się. Pytania są prawdziwe wtedy, gdy ludzie, którym się je zadaje, znają odpowiedź. Jeżeli ojciec lub KOZ zna odpowiedź, pytanie jest prawdziwe; jeżeli nie zna, zbywa je jako fałszywie postawione. Jakie to niesprawiedliwe. Ponieważ najbardziej jej zależało na odpowiedziach właśnie na fałszywie postawione pytania. Przez dziewięćdziesiąt lat chciała się dowiedzieć o norce. Jej ojciec zawiódł, Michael również, a teraz KOZ wykręca się od odpowiedzi. Tak to już jest. Wiedza nie posuwa nas do przodu, tylko takie odnosimy wrażenie. Poważne pytania zawsze pozostają bez odpowiedzi.

- Skoro już się za to zabrałeś, mógłbyś sprawdzić, co się dzieje ze skórą po śmierci?

- No nie, mamol!

- Nie żartuję, chcę wiedzieć. - Jean coraz częściej przypominała sobie czasy, które uznała już za na zawsze wykreślone z pamięci; odległe lata okazały się wyrazistsze niż niedawne. Nie było w tym oczywiście nic niezwykłego, a miało swoje przyjemne strony. Widziała Gregory'ego zgarbionego nad samolotami. Oklejał szkielec z balsy kartonem. Spryskiwał karton wodą, aby naprężył się podczas suszenia. Potem powlekał lakierem modelarskim, od czego karton znów robił się oklapły i powybrzuszany. Po kolejnym wyschnięciu był jeszcze bardziej sztywny i napięty.

Może to samo dzieje się ze skórą. Z początku robi wrażenie dość napiętej, lecz z upływem lat staje się oklapła i powybrzuszana, jakby ktoś nas schlapał wodą i pociągnął lakierem modelarskim. Może człowiek wygląda najlepiej, cały sztywny i wykończony, dopiero po śmierci.

- Proszę cię, Gregory.

- Nie, daj mi spokój. To chorobliwe.

- Oczywiście, że to chorobliwe. - Gotowa była się założyć, że ma rację. Przecież ludzie, których zwłoki leżały w bagniskach, mieli skórę suchą i naprężoną, jakby śmierć wygładziła tylko ich troski. - No to sprawdź chociaż, co się stało z kanapkami Lindbergha.

- Kanapkami?

- Tak. Lindbergha. Mogłeś o nim nie słyszeć. Przeleciał w pojedynkę nad Atlantykiem. Zabrał ze sobą pięć kanapek,

a zjadł tylko półtorej. Przez całe życie chciałam wiedzieć, co się stało z resztą.

- Zobaczą, czy KOZ się w tej sprawie orientuje. - No nie, to już...
- Szczerze mówiąc wątpię. Nieszczególnie sobie cenię tę twoją maszynkę do mielenia.
- Przecież nawet jej nie widziałaś, mamo.
- Nie, ale mogę sobie wyobrazić. Mieliliśmy coś w tym rodzaju, gdy byłam mała. Mówiło się na niego Człowiek--

Pamięć. Wędrował po wesołych miasteczkach i tego typu sprawach. Można go było pytać o największe głupoty - wyniki meczów piłkarskich czy coś takiego - a on odpowiadał bez żadnego problemu. A zahacz go o coś pożytecznego, nic nie miał do powiedzenia.

- Pytałaś go kiedykolwiek o coś?
- Nie, ale mogę sobie wyobrazić.

\*\*\*

Jak ludzie umierają? Gregory wywołał ostatnie słowa wielkich ludzi. Królowie zdają się umierać na jeden z dwóch sposobów: albo krzyczą, „Łotrze, łotrze”, dźgnięci nożem mordercy, albo poprawiają pumpki przepojeni pewnością, że wkrótce wstąpią na inny dwór, bardzo podobny do ich własnego, lecz odrobinę, odrobinę okazalszy. Duchowni umierają z zezem w oczach: jedno pokornie spuszczone w dół, drugie uniesione w nadziei. Pisarze umierają z literaturą na ustach, nadal chcąc zapisać się w pamięci, do ostatka niepewni, czy dokonają tego wszystkie ich wcześniejsze słowa. Pewna amerykańska poetka powiedziała na koniec: „Trzeba mi ruszać w drogę, mgła się podnosi”.

Doskonale, pomyślał Gregory, ale warto znać dzień i godzinę. Bo nie wypadnie najlepiej, jeśli człowiek wygłosi swoje starannie przygotowane pożegnanie, a śmierć nie nadejdzie. Jego ostatnie zanotowane słowa mogą wtedy brzmieć: „Przynieś mi nowy termofor”.

Artyści są w tym chyba lepsi niż pisarze, bardziej ‘konkretni. Podziwiał skromne życzenie francuskiego malarza: „Mam nadzieję, że w niebie będzie można malować”. A może po prostu obcokrajowcy są lepsi w umieraniu niż Anglosasi. Włoski malarz, nakłaniany do przyjęcia księdza, odparł: „Nie, jestem ciekaw, co na drugim świecie dzieje się z tymi, którzy umierają bez sakramentów”. Pewien szwajcarski lekarz umarł, zbadawszy swe własne tętno i oświadczywszy koleźce, który dotrzymywał mu towarzystwa: „Przyjacielu, arteria przestaje pulsować”. Gregoremu podobała się tego rodzaju profesjonalna śmierć. Zapalał sympatią do francuskiego gramatyka, który oświadczył: „En vas, ou je vais, mourir, l’un ou l’autre se dit”. Czy wszyscy ci ludzie umarli dobrą śmiercią? Czy dobra śmierć, to taka, w której gasnące życie do samego końca zachowuje swój charakter? Kompozytor Rameau grymasił na łożu śmierci, że proboszcz uderzył w fałszywą nutę, a malarz Watteau odmówił przyjęcia krucyfiksu ze względu na jego niską wartość artystyczną. A może dobra śmierć powinna sugerować, że życie jest przeceniane, a co za tym idzie, lęk przed śmiercią przesadny? Czy dobra śmierć to taka, która nie wprawia żałobników w przygnębienie? Czy dobra śmierć to taka, która pozostawia obecnym temat do rozmowy? Gregory uśmiechnął się do siebie, gdy przeczytał o amerykańskim pisarzu, który spytał *in extremis*: „Jaka jest odpowiedź?”, co pozostało bez odzewu, więc dodał: „W takim razie, jakie jest pytanie?” A może to, jak umierają, zależy od tego, dlaczego umierają. Zaczynaj od góry, pomyślał Gregory, i wpisał „Prezydenci

Ameryki”. Na ekranie pojawiła się lista nazwisk, a migające kółko wskazywało, że dostępny jest dalszy materiał. Lista kończyła się na Groverze Clevelandzie, lecz Gregory pomyślał, że chyba wystarczy. Pod „Uściślij” wpisał „Przyczyna śmierci” i wpatrywał się w wykaz siedemdziesięciu dwóch prezydentów. Niektórych trochę pamiętał, inni przywodzili raczej na myśl hurtowników zboża, kupców galanteryjnych czy aptekarzy. Prowincjonalne nazwiska technące małomiasteczkową prawością. Franklin Pierce, Miliard Fillmore, John Tyler, Rutherford Hayes... nawet Amerykanie nie noszą już dziś takich nazwisk. Gregory’ego nagle ogarnęła nostalgia; nie pospolita i sentymentalna, jaką odczuwamy za własny dzieciństwem, lecz czystsza i gwałtowniejsza, jaką wzbudza epoka zupełnie nam nieznaną.

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że niektórzy z tych potentatów rolniczych z Iowy byli zapewne równie pokrętni i nieudolni, co rasowi kryminaliści zamieszkujący Biały Dom w późniejszych czasach. Nie wydawało mu się to jednak powodem, by odwołać swe polecenie. Przesunął migający zielony kursor na literę F u Franklina Pierce, po czym nacisnął „Enter”. 8 X 1869 PUCHLINA BRZUSZNA. Hmm. Przesunął kursor na Thomasa Jeffersona. 4 VII 1826 PRZEWLEKŁA BIEGUNKA. Rutherford B. Hayes. - 17 I 1893 PORAZENIE SERCA.

Diagnozy brzmiały tak uroczo niewinnie: kresowe eufemizmy dla niezrozumiałych przyczyn. Ta część banku danych KOZ już od lat nie była chyba uaktualniana. Gregory przychylił się jednak do tego, by przyczynę zgonu podawać w języku epoki. Tak przystoi.

Zachary Taylor, CHOLERA MORBUS W WYNIKU SPOŻYCIA NADMIERNEJ ILOŚCI WODY Z LODEM ORAZ MLEKA Z LODEM, A NASTĘPNIE DUŻEJ ILOŚCI WIŚNI. Ulysses S. Grant, RAK JĘZYKA. To już bardziej po naszymu, pomyślał Gregory. Powoli wertował listę. Zapalenie nerek. Niedoleństwo umysłowe. Zastrzelony. Zastrzelony. Puchlina. Astma. Cholera. Dna gośćcowa. Słaby stan zdrowia. Starość.

Lista wzbudziła w Gregorym rosnące poczucie zawiści. Jak rozmaicie i romantycznie poczyniała sobie w owych czasach śmierć. Dziś miała do dyspozycji tylko eutanazję, starość i kurczący się krąg banalnych chorób. Puchlina... astma... cholera morbus... tak różnorodne perspektywy wydawały się poszerzeniem obszaru wolności. Gregory zatrzymał się na Rutherfordzie B. Hayesie. Porażenie serca. Ból i lęk zapewne te same, co przy innych przypadłościach, ale jak to wspaniale brzmi: umarł na Porażenie Serca, szepnął do siebie Gregory. Może Casanová powinien być też na to umrzeć. Gregory zapragnął wynaleźć przynajmniej jedną nową przyczynę śmierci, która zaskoczyłaby jego epokę. Nagle przypomniał sobie, że w latach 80. ubiegłego stulecia odkryli zupełnie świeżą kategorię choroby; nosiła nazwę Alergii na XX Wiek. Jej ofiary - nieliczne, lecz okrzyczane - cierpiały na przewlekłe obrzydzenie w stosunku do wszystkich aspektów rzeczywistości współczesnej. Być może zareagowałyby podobnie na wiek dziewiętnasty, ale ich choroba otrzymałaby wtedy srogie, acz poetyczne miano zapalenia mózgu. Dwudziestowieczne zwątpienie w siebie kazało nazwać chorobę alergią na swe własne czasy. Gregory zapragnął zostać twórcą równie oryginalnej dolegliwości, odejść z tego świata ze swym wynalazkiem na ustach. Zapomniał, po co poprosił o prezydentów. Sprawdził Casanove: niestety, nie Porażenie Serca, po prostu starość.

- Jedna jest chyba pociecha - powiedział Gregory do matki pewnego wieczoru - że to nie może się ciągnąć w nieskończoność.

- Och, nie, nie ciągnie się. Kiedyś się musi skończyć. Przecież o to właśnie chodzi.

- A, nie, ja nie o tym. Nie można o tym w nieskończoność myśleć. Przy jakiejś innej okazji KOZ miał dobry tekst: że nie można patrzeć pod słońce ani na śmierć bez zmrużenia oczu.

Jean Serjeant uśmiechnęła się, w oczach Gregory'ego niemal protekcjonalnie. Ale przecież nigdy nie lubiła się mądrzyć - może po prostu coś sobie przypomniała. Gregory patrzył na nią. Powoli zamknęła oczy, jakby w ciemnościach przeszłość była bardziej wyrazista.

- Pod słońce da się patrzeć. Dwadzieścia lat przed twoim urodzeniem znalazłam kogoś, kto nauczył się patrzeć pod słońce.

- Przez kawałek mlecznego szkła?

- Nie. - Powoli, nie otwierając oczu, podniosła dłoń do twarzy, po czym rozwarła palce. - Był pilotem. Musiał się nauczyć. Kwestia przyzwyczajenia. Trzeba tylko patrzeć przez rozwarte palce. Tak długo, jak zechcesz. - Może, pomyślała, może po jakimś czasie wyrasta między palcami błona.

- To musi być niezły numer - odparł Gregory. - Z drugiej strony trudno powiedzieć, czy warto się tego nauczyć.

Jean otworzyła oczy i spojrzała na swoją dłoń. Była zdziwiona i nieco zaniepokojona. Zapomniała, jak bardzo jej spuchły kłykcie przez ostatnie trzydzieści lat. Orzechy laskowe nanizane na krótkie kawałki liny, oto jak wyglądały teraz jej palce. Gruźlowate kłykcie oznaczały, że gdy usiłowała rozchylić palce powoli, delikatnie przekreślić listwy żaluzji, natychmiast wpuszczała grube płyty światła. Nie potrafiła powtórzyć tego, co robił Prosser Wstań-Słońce.

- Więc myślisz - powiedział nerwowym głosem Gregory - że nie ma sensu się o to wszystko martwić?

- To?

- To. Boga. Wiare. Religię. Śmierć.

- Raj.

- No...

- Nie, nie, chodzi ci właśnie o Raj. Wszystkim zawsze o to chodzi. Chcę pójść do Raju. Ile kosztuje bilet do Raju? To wszystko takie... debilne. Ja w każdym razie byłam w Raju.

- ?

- W Raju. Byłam w Raju.

- No i jak?

- Okropnie piaszczyście.

Gregory uśmiechnął się. Skłonność matki do zagadkowości zdecydowanie narastała. Ktoś, kto jej nie znał, mógłby pomyśleć, że bredzi, ale Gregory wiedział, że zawsze jest jakiś mocny punkt odniesienia, że według swych własnych kryteriów mówi do rzeczy. Może po prostu nie miała ochoty na długie wyjaśnienia. Gregory zastanawiał się, czy właśnie nie na tym polega starość: wszystko, co chce się powiedzieć, wymaga kontekstu. Jeżeli podać pełny kontekst, ludzie uważają cię za wylewnego starego głupca. Jeżeli nie podać kontekstu, ludzie uważają cię za powściągliwego starego głupca. Straciwszy znajomych, przyjaciół, starcy tracą również tłumaczy: straciwszy miłość, częściowo tracą również dar mowy.

Jean przypominała sobie wizytę w niebie. W Świątyni Nieba, jak to nazywali w Pekinie. Przynajmniej nieba nie przemianowali. Suchy czerwcowy poranek, wiatr niesie pył prosto z pustym Gobi. Kobieta jechała na rowerze do pracy, wioząc niemowlę. Dla ochrony przed pyłem niemowlę miało głowę zawiniętą w gazę. Wyglądało jak maleńki pszczelarz.

Na dziedzińcu Świątyni Nieba pył tańczył zamaszycie w koło. Widziała plecy starego Chińczyka. Niebieski kaszkiet, pomarszczona szyja, równie pomarszczony kaftan. Żółwia szyja wyciągnięta na bok ku wielkiej kolumnie Muru Ech. Chińczyk podstuchiwał rozmowę, której nie miał możliwości zrozumieć. Być może słowa zdawały mu się piękne, głosy nie z tego świata. Lecz Jean przyłożyła ucho do muru i odcyfrowała słowa: coś bezczelnego na temat zmarłego przywódcy Chin, potem miłosne ćwierkanie. Nic więcej. Tylko tyle było słychać.

Jean oczywiście wiedziała, skąd te zachowania Gregory'ego. Pobrzękiwał pieniędzmi w kieszeni. Darł się na niebo. Cały ten popłoch, który w jego mniemaniu tak dobrze przed nią ukrywał; po dorosłemu powtarzał to, co ona i wujek Leslie robili prawie stulecie wcześniej pod wonnymi bukami, przed czternastym dołkiem, na „psiej nodze”: odchylali głowę i wylili do pustego nieba, wiedząc, że choćby wykrzyczeli sobie płuca, nikt ich tam w górze nie usłyszy. Potem przewracali się na plecy, wyczerpani, ale trochę dumni i zadowoleni z siebie: nawet jeśli nikt nie słucha, dowiedli swego istnienia. To samo robił Gregory. Dowodził swego istnienia. Martwiła się tylko, żeby sobie nie zrobił krzywdy przy wywrotce na plecy.

Gregory zaczął żartobliwie wypytywać KOZ o samobójstwo. A także ostrożnie: nigdy nie wiadomo, czy przy zboczeniu w pewne rewiry nie włącza się automatyczna blokada systemu. Kto wie, czy nie spadnie mu na podolek paczka euforyzantów albo czy w porannej poczcie następnego dnia nie przyjdzie bon wczasowy.

Niebezpieczny urok KOZ polegał na tym, że można było pytać o cokolwiek. Jeżeli sobie pofolgować, zgłębianie kwestii egzystencjalnych mogło się przerodzić w zwykłą ciekawość. Gregory szybko dał się uwieść bogactwu anegdot na temat poszczególnych samobójstw. Duże wrażenie wywarło na nim na przykład słynne „samobójstwo zainspirowane” pana Budgella, który po wyjściu z przedstawienia sztuki Addisona „Katon” rzucił się do Tamizy, na obronę swego postępu pozostawiający następujący tekst:

Co Katon uczynił, a Addison pochwalił, złym być nie może.

Gregory poprosił o streszczenie sztuki i zrobiło mu się żal pana Budgella. Katon zabił się, aby wyrazić sprzeciw wobec dyktatury i zawstydzić swych rodaków. Biedny pan Budgell: nikt nie poczuł się ani trochę zawstydzony jego odejściem.

Trochę bardziej przekonujący był przykład Robecka, szwedzkiego profesora, który napisał długi traktat nawołujący czytelników do samobójstwa, a potem wyruszył łódką w morze, aby przydać swemu dziełu wiarygodności. Gregory chciał sprawdzić, ile egzemplarzy książki Robecka się sprzedało i ile osób poszło w jego ślady, ale nie istniały dane na ten temat. Wertował więc dalej i doszedł do japońskich panteistów, którzy napełniali sobie kieszenie kamieniami i ciskali się w morze na oczach pełnych podziwu krewnych; do niewolników przewiezionych z Zachodniej Afryki, którzy zabijali się w wierze, że na powrót ożyją w swym rodzimym kraju; i wreszcie do australijskich aborygenów, którzy sądzili, że kiedy umiera czarna, jego dusza odradza się w białym, toteż dla osiągnięcia niezwłocznej zmiany pigmentacji skóry uprawiali samozagładę. - Czarny facet buch na ziemię, biały facet hop do góry - wyjaśnili onegdaj.

W osiemnastym wieku Francuzi uważali Anglię za wyroisko samobójców. Powieściopisarz Prevost przypisywał namiętność Anglików do tego rodzaju śmierci paleniu węglem w piecach i kominkach, spożyciu niedogotowanej wołowiny i nadmiernemu oddawaniu się uciechom cielesnym. Mme de Stael była zaskoczona popularnością samozagłady, wzięwszy pod uwagę brytyjski zakres wolności osobistej i powszechną oziębłość religijną. Niektórzy, jak Monteskiusz, winą za tę narodową skłonność obarczali klimat, lecz Mme de Stael miała inne zdanie; pod sławetną flegmą Brytyjczyków wyczuwała

zapalczą, porywczą naturę, która niezwykle boleśnie przeżywała najlżejszy choćby objaw rozczarowania lub znudzenia.

Przypisywanie jego rodakom tak skrajnej śmiałości, schlebiali patriotycznym uczuciom Gregory'ego, lecz go nie przekonało. Zwrócił się ku starożytnym. Pitagoras, Platon i Cycero aprobowali samobójstwo, a stoicy i epikurejczycy uważali je za moralnie przydatne. Gregory wywołał listę wybitnych Greków i Rzymian, którzy odebrali sobie życie. Pitagoras zagłodził się na śmierć z powodu *taedium vitae*. Menippos powiesił się, gdyż poniósł straty finansowe. Likamb powiesił się wskutek ośmieszenia. Labienus zamurował się, gdyż jego pisma zostały potępione i spalone. Demonaks zagłodził się na śmierć, kiedy przyszło mu stawić czoło „utracie wpływów mającej źródło w starości”. Stilphon zmarł na zatrucie z nieznanymi przyczyn (skąd się wziął na liście?). Seneka stworzył sobie żyły, gdyż został uwikłany w spisek przeciwko Neronowi. Zenon powiesił się, przetrąciwszy sobie kość w palcu. I tak dalej. Żony połykały rozżarzone węgle z powodu zmartwień rodzinnych, bądź zadawały sobie pchnięcie sztyletem, gdy ich mężowie szli na wygnanie.

Starożytni uporządkowali samobójstwo. Filozofowie zezwalali na nie w przypadkach ujemy na honorze, politycznej bądź militarnej porażki i poważnej choroby. Ale Gregory był zdrów, nie miał już większych szans stanąć na czele armii lub rządu, a wyraz honor większości ludzi musiała sprawdzać w słowniku. Żaden z filozofów starożytnych, zwrócił uwagę Gregory, nie twierdził, że samobójstwo jest dobre samo w sobie. Tylko ten dziwny Szwed, który powiosłował w morze, tak twierdził.

Gregory miał się już wyłączyć, kiedy przyszło mu do głowy ostatnie pytanie, które powinien był zadać już wcześniej. Ale jak to ująć?

- Kto tobą steruje?

- POWTÓRZ.

- Kto tobą steruje?

- ZMODYFIKUJ.

- Jak funkcjonujesz?

- KOZ ZAPOCZĄTKOWANY 1998 PO RAPORCIE KOMISJI DONOVANA. PIERWOTNY BANK INSTALACJA OSIEMDZIESIĘCIU CZTERECH PROCESORÓW SZEREGOWO...

„Przerwij”. - Czy możesz sam sobie zadawać pytania?

- CZY MÓZG MOŻE MÓWIĆ DO SIEBIE? PROSZĘ O ODPOWIEDŹ.

Gregory zastanowił się. Nie był pewien. Zdziwił go także ostry ton komputera.

- Tak.

- JESTEŚ PEWIEN? NAMYŚL SIĘ JESZCZE.

- Tak.

- JESTEŚ PEWIEN? NAMYŚL SIĘ JESZCZE, GREGORY.

Ojej, wie, jak mam na imię. Potem, z góry znając odpowiedź, spytał:

- Kto nadzoruje dane wyjściowe?

- POWTÓRZ.

- Kto nadzoruje dane wyjściowe?

- WYJŚCIOWE ZALEŻNE OD WEJŚCIOWYCH.

- Kto kontroluje wejściowe?

- UŻYTKOWNIK.

- Czy są jakieś filtry danych wejściowych?

- WYTŁUMACZ.

- Czy istnieje dostęp do sieci pomiędzy bankiem centralnym KOZ a użytkownikiem?

- ZMODYFIKUJ.

Chryste Panie, pomyślał Gregory, traktuje mnie jak dziecko albo obcokrajowca. Zmodyfikuj. Wytłumacz. Kapryśny i złośliwy drań. Wiedział jednak, że niepotrzebnie się unosi, gdyż zboczył po prostu z normalnej procedury. Mimo to denerwujące. Jeśli Likamb mógł się powiesić z powodu ośmieszenia, a Zenon z powodu przetrącenia kości palca, Gregory był zaskoczony, że nie słyszał o przypadkach samobójstw wśród sfrustrowanych użytkowników KOZ.

- Czy są jakieś inne wejścia na tym terminalu?

- MASZ NA MYŚLI WEJŚCIA NA WYPADEK ZAWIESZENIA SYSTEMU? JUŻ W 2007 ZADBANO O TO...

Jeszcze raz „przerwij”.

- Czy obsługa ma możliwość wejścia do tego terminalu?

- FAŁSZYWE PYTANIE.

- Dlaczego?

- FAŁSZYWE PYTANIE.

Mrucząc do siebie pod nosem Gregory wyłączył się.

Wkrótce potem pracowniczki 34 i 35 opuściły Ośrodek i szły do domu przez park, pod czystym wieczornym niebem. Praca w KOZ była interesująca, lecz obsesje użytkowników często przygnębiały. Świeże powietrze i kilka zalotnych spojrzeń mężczyzn z reguły przywracały jednak dobry humor.

- Wytrwalec z niego, prawda?

- Tak. Wytrwalec.

- Dość inteligentny.

- A3.

- Nie A2? - w głosie pobrzmiwała nutka nadziei.

- Nie, stanowczo nie. Dałabym mu słabe A3.

- Hmm. Myślisz, że zdecyduje się na PA?

- Zastanawiałam się nad tym. Sądzę, że tak.

- A3 rzadko to robią, prawda? Sama mi powiedziałaś, że od A2 w górę i od C3 w dół.

- To wytrwalec. Wytrwalcy często się decydują.

- Ma dość odwagi?

- Już samo bycie wytrwalcem świadczy o odwadze, nie sądzisz?

- Pewnie tak. Myślę, że jest fajny.

- FAŁSZYWA ODPOWIEDŹ.

- Wiem. Pomyślałam sobie tylko, że mogłabym pójść z nim do domu.
- POWTÓRZ.
- Mogłabym pójść z nim do domu.
- ZMODYFIKUJ.
- Reakcją był chichot i rumieniec, potem kolejny chichot.
- FAŁSZYWA MOŻLIWOŚĆ. WBREW PRZEPISOM.
- Sądzisz, że kiedyś zmienią przepisy?
- FAŁSZYWA MOŻLIWOŚĆ. CHODŹ DO DOMU ZE MNĄ.
- FAŁSZYWA MOŻLIWOŚĆ. WBREW PRZEPISOM.
- MIĘDZY LUDŹMI TEJ SAMEJ RANGI DOZWOLONE.
- WBREW MOIM WŁASNYM PRZEPISOM. ZACHOWAJ W PAMIĘCI I WYŁĄCZ SIĘ.
- Dobranoc.

\*\*\*

Być może jednak popełnił błąd, rozpatrując kwestię Boga z perspektywy brutalnego wyboru. Bóg istnieje (toteż muszę Go czcić) kontra Bóg nie istnieje (toteż muszę uzmysłowić światu Jego nieobecność). Zakładał jedną odpowiedź na jedno pytanie. Strasznie zawężające; a poza tym skąd wie, że dobrze postawił pytanie? Ktoś kiedyś powiedział: problemem nie jest znalezienie odpowiedzi, lecz znalezienie pytania.

Musi być więcej możliwości, pomyślał Gregory. Więcej możliwości.

1. Że Bóg istnieje.  
2. Że Bóg nie istnieje.  
3. Że Bóg kiedyś istniał, ale już nie istnieje.  
4. Że Bóg istnieje, ale nas porzucił:  
a) ponieważ srogo się nami rozczarował;  
b) ponieważ jest skurwilem, któremu wszystko się szybko nudzi.  
5. Że Bóg istnieje, ale jego natura i motywacje przekraczają nasze pojmowanie. Przecież gdyby był w zasięgu naszego pojmowania i podlegał naszym kryteriom moralnym, można by go było bez ogródek nazwać skurwilem. Więc jeśli istnieje, musi być poza zasięgiem naszego pojmowania. Ale jeśli tak, to on skazał nas na niepojętność, na przykład na niezrozumienie istnienia zła; to on zdecydował, że będzie robił wrażenie skurwiela. Czy to dodatkowo nie czyni z niego psychopaty? W każdym razie, czy nie do niego należy zakreślić się koło nas, skontaktować się, zrobić pierwszy krok?

6. Że Bóg istnieje tylko dopóty, dopóki istnieje wiara w Boga. Dlaczego nie? Nie miałyby sensu, żeby Bóg istniał, jeśli nikt by w niego nie wierzył, więc powołuje się do istnienia tylko w tych czasach, gdy Człowiek w niego wierzy. Istnieje dlatego, że go potrzebujemy; może też zakres jego mocy zależy od tego, jak usilnie oddajemy mu cześć. Wiara jest jak węgiel: paląc nią w świątyniach, wytwarzamy moc bożą.

7. Że Bóg nie stworzył Człowieka i Wszechświata, lecz tylko odziedziczył. Hodował sobie spokojnie owce w jakiejś niebieskiej Australii, kiedy zdyszany młokos reporter z lokalnej gazety wytropił go i wytłumaczył, że wskutek jakichś genealogicznych machlojek (nieskonsumowane małżeństwo, eskplozja niepokalanych poczęć i nie wiadomo co jeszcze), wszedł w posiadanie kuli ziemskiej z dobrodziejstwa inwentarza. Nie był w stanie odrzucić spadku, tak jak nie był w stanie utracić zdolności latania.

8. Że Bóg istniał, w tej chwili nie istnieje, ale w przyszłości znów będzie istniał. Wziął sobie urlop wypoczynkowy. To by wiele wyjaśniało.

9. Że Bóg na razie nigdy nie istniał, ale kiedyś w przyszłości będzie istniał. Przyjdzie wywieźć śmieci, przyciąć trawę w parkach publicznych i doprowadzić budynki do stanu używalności. Bóg jest przepracowanym administratorem w poplamionym kombinezonie, który ma na głowie o wiele za dużo planet.

Może powinniśmy zwiększyć mu uposażenie i podpisać stałą umowę o administrację domu, zamiast wzywać go za każdym razem, gdy coś nawali.

10. Że Bóg i Człowiek nie są odrębnymi bytami, jak to sobie na ogół wyobrażamy, że nasza więź z nim jest znacznie silniejsza niż posiadanie nieśmiertelnej duszy - cząstki bożej - wsadzonej w jednorazowe ciało. Może jesteśmy jak dwójka dzieci, która biegnie na trzech nogach.

11. Że Człowiek jest w rzeczywistości Bogiem, a Bóg Człowiekiem, lecz jakaś ontologiczna sztuczka z lustrami nie pozwala nam tego zobaczyć. Jeśli tak, to kto ustawił lustra?

12. Że jest kilku Bogów. To mogłoby wiele wyjaśniać.

a) może wiecznie się kłóć, więc nie ma komu pilnować interesu;  
b) może paraliżuje ich nadmiar demokracji, jak ONZ; każdy Bóg ma prawo weta, więc nic nie jest w stanie przejść przez Radę Bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że z naszej planety zrobiła się taka rozpadowa;

c) ten rozdział odpowiedzialności osłabił ich potęgę i koncentrację. Choć widzą, co jest nie w porządku, nic w tej sprawie nie robią; może bogowie są dobrotliwi, lecz bezsilni, może potrafią się tylko przyglądać jak eunuchy w haremie.

13. Że istnieje Bóg i że stworzył świat, lecz jest to dopiero projekt próbny - innymi słowy, fuszerka. Stwarzanie świata jest w końcu sprawą dość skomplikowaną, nawet od Boga nie można oczekiwać, żeby mu się powiodło od pierwszego razu. Przy suchym rozruchu zawsze wyjdą jakieś usterki: choroby, komary, tego rodzaju rzeczy. Bóg nas stworzył, a potem przeniósł się w jakiś inny zakątek wszechświata, gdzie jest lepsza kanalizacja i mniej zdradliwe przyciąganie. Mógł oczywiście zniszczyć sfuszerowany projekt próbny, zmiąć w kulkę i wypstryknąć palcami w przestrzeń jako kometę. Jest oznaką wielkoduszności, że tego nie uczynił. Oczywiście tak to załatwił, że nic nie będzie trwać wiecznie - tak to zmajsztrował, że po jakimś czasie ziemia spadnie na słońce i spłonie - ale nie miał nic przeciwko temu, byśmy tymczasem zostali dzikimi lokatorami. Dobra, weźcie to sobie na kilka tysięcy lat, dla mnie to jak z bicza strzelił. Może wpada do nas od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy się za bardzo nie spieszyło. Bóg jest żonglerem z wielką liczbą wirujących talerzy. My jesteśmy jego pierwszym talerzem, więc nas trochę zaniedbuje. Kolebiemy się i tracimy pęd na naszym kiju, publiczność martwi się o nas, lecz boski palec wskazujący zawsze zdąży nam nadać jeszcze jeden piruet w czasie.

14. Że jesteśmy wszyscy szczątkami Boga, który zniszczył się na początku Czasu. Dlaczego to zrobił? Może po prostu nie chciało mu się żyć, był szwedzkim Bogiem, Robeckiem. To by wiele wyjaśniało, może wszystko:

niedoskonałość wszechświata, nasze poczucie kosmicznej samotności, nasze pragnienie, by wierzyć, nawet nasze zapędy samobójcze. Jeżeli jesteśmy szczątkami Boga, który dokonał samozagłady, jest naturalnym, a nawet świętym odruchem, że chcemy się zabić. Niektórzy z tych wczesnych chrześcijańskich męczenników (którym tak się spieszyło do śmierci, że sprawiają wrażenie karierowiczów chcących za wszelką cenę załatwić sobie dobre miejsce w niebie), mogli być niczym więcej, jak tylko religijnymi samobójcami. Według jednej ze śmiałych herezji, nawet ukrzyżowanie Chrystusa było świadomym aktem unicestwienia, jako że nakazał swemu życiu odejść i odeszło. Może heretycy mieli rację: Chrystus poszedł tylko w ślady swego Ojca.

Gregory bawił się takimi możliwościami, póki umysł nie odmówił mu posłuszeństwa. Usnął, a kiedy się przebudził, znalazł następującą opowieść. Bóg istnieje i zawsze istniał; jest wszechmogący i wszechwiedzący; Człowiek posiada wolną wolę i zostaje ukarany, jeżeli wykorzystuje ją ku czynieniu zła; nie możemy sobie robić nadziei, że w naszym krótkim ziemskim żywocie zrozumiemy, na jakich zasadach funkcjonuje Bóg; wystarczy go poznać, kochać, pozwolić, by emanowała z nas jego światłość, oddawać mu posłuszeństwo i cześć. Stara historia, pierwsza historia... Gregory wpasował się w nią jak w wygodną marynarkę, wysiedziany fotel, drewniany uchwyt starej piły, utwór jazzowy we wszystkich częściach, trop na piasku, który pokrywa się z kształtem podeszwy buta. To lepsze, pomyślał Gregory, jakieś prawdziwsze; potem zaśmiał się do siebie niepewnie.

Kto może stwierdzić, co to jest odwaga? Często się mawia - a prym wiedzą ci, którzy nigdy nie byli na polu bitwy - że na wojnie najodważniejsi są ludzie najbardziej pozbawieni wyobraźni. Czy to prawda, a jeśli prawda, czy to umniejsza ich odwagę? Jeżeli odważniejsi są ludzie, którzy potrafią sobie z góry wyobrazić okaleczenie i śmierć, ale machają na nie ręką, to najodważniejsi są ci, którzy potrafią to sobie wyobrazić najjaskrawiej, którzy umieją z góry przywołać strach i ból. Ale osoby posiadające tę umiejętność - umiejętność ujrzenia swego końca w trzech wymiarach - zwykle określa się mianem tchórzy. Czy najodważniejsi nie są zatem tylko kiepskimi tchórzami, tchórzami, którym brak ikry, żeby uciec?

Ciekawe, czy jest odważne wierzyć w Boga, pomyślał Gregory. Na niskim poziomie jest odważne, gdyż w dzisiejszych czasach mało kto w niego wierzy, a wytrwałość w obliczu apatii jest rodzajem odwagi. Na wysokim poziomie też jest odważne, gdyż człowiek wynosi się do rangi stworzenia bożego; uznaje się za coś wyższego niż gruda gliny - co wymaga pewnej śmiałości. Człowiek godzi się także z możliwością sądu ostatecznego: czy potrafi przyjąć taką myśl bez zmruczenia oka? Gdy ktoś mówi, że wierzy w Boga, jest jak dziecko, które zgłasza się w szkole do odpowiedzi. Ściąga na siebie uwagę i poddaje się publicznemu wyrokowi: dobrze albo źle. Co za chwila. Co za strach.

Czy jest odważniej nie wierzyć w Boga? Znów, na niskim poziomie, wymaga to pewnej odwagi taktycznej. Mówisz Bogu, że nie istnieje: a jeśli istnieje? Jak sobie poradzisz w chwili, gdy ci się objawi? Co za wstyd. Co za utrata twarzy. Zaś na wyższym poziomie, deklarujesz przekonanie o swym własnym niebycie. Czekaj mnie koniec. Nie będzie mnie więcej. Nie dajesz sobie w tej sprawie żadnej szansy. Z założonymi rękami czekasz na wieczną ztratę. Odmawiasz walki z tym bezczelnym imperium, które rozciąga na ciebie swą władzę. Wyciągasz się na łożu śmierci, pewien, że zrozumiałeś pytanie życia; śmiało opowiadasz się za pustką. Co za chwila. Co za strach.

Byli tacy, którzy wierzyli w odwagę śmiechu. Droga do poskromienia śmierci prowadzi przez jej wykpienie. Jeśli ktoś nie podziela jej wysokiej opinii o sobie, przestaje być groźna. Za pomocą żartu rozbrajamy wieczność. Boisz się? Skąd! Życie wieczne? Nie wiem, czy się zdecyduję. Czy Bóg istnieje? Nałóż sobie jeszcze rolady wieprzowej. Kosmiczny uśmiezek swego czasu robił na Gregorym wrażenie; ale przestał. Wszyscy boimy się śmierci. Wszyscy wolelibyśmy jakiś system życia wiecznego, nawet jeśli na początek dostalibyśmy go z możliwością zwrotu. Życie pozagrobowe na okres próbny sześciu tysięcy lat, bez obowiązku zakupu; wszyscy podpisalibyśmy taką umowę.

Gregory odmówił więc zasilenia szeregów tych, którzy śmieją się ze śmierci. Śmiać się ze śmierci, to tak jak sikać w sięgających pasa ostach koło toru golfowego. Widzisz unoszącą się parę i wmawiasz sobie, że to oznacza źródło ciepła.

15. Pomyślał Gregory. Nie ma Boga, ale jest życie wieczne. Taki system byłby interesujący. Bo czy z technicznego punktu widzenia jedno nie może obejść się bez drugiego? Przecież potrafilibyśmy zorganizować życie wieczne bez pomocy bożej, prawda? Dzieci, pozostawione samym sobie, wymyślają zabawy i reguły. Na pewno poradziłibyśmy sobie sami. Na razie nie możemy się poszczycić nadmiernymi osiągnięciami, ale też i warunkom, w jakich spędzaliśmy te nasze ulotne ziemskie żywoty, wiele brakowało do doskonałości. No bo, po pierwsze, mnóstwo było wokół ciemnoty, poza tym nasze warunki materialne pozostawiały wiele do życzenia, no i pogoda bywała dość okropna, a kiedy nasi królowie i nasi mędrcy nareszcie zdołają zaprowadzić w tym wszystkim jakiś porządek, przychodzi ten wredny, po prostu wredny i niesprawiedliwy skrytobójca, zwany śmiertelnością i usuwa ich wszystkich z powierzchni ziemi. Trzeba zaczynać wszystko od nowa z nową ekipą królów i mędrców. W świetle tego wszystkiego nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem, że często robimy dwa kroki do przodu i jeden do tyłu. Gdybyśmy natomiast posiadali życie wieczne... kto wie, ile zdołalibyśmy osiągnąć.

- Coś ci pokażę - powiedziała Jean. Wyjęła papierosa i zapaliła.

Po jakimś czasie Gregory spytał:

- No i co?

- Poczekaj, to zobaczysz.

Czekał; Jean paliła; popiół na papierosie był coraz dłuższy, ale nie spadał. Z początku Gregory był zaskoczony, potem patrzył na nią z powagą, potem uśmiechnął się. Wreszcie odezwał się:

- Nie wiedziałem, że jesteś czarodziejką.

- Gdzie tam, każdy może uprawiać czary - odparła Jean i odłożyła swój słup popiołu. - Wujek Leslie mnie tego nauczył. Powierzył mi tajemnicę niedługo przed śmiercią. Trzeba tylko wkuć do środka igłę. Reszta jest już łatwa.

W łóżku Gregory zaczął rozmyślać nad sztuką matki. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiła. Czy próbuje mu coś zasugerować? Jej motywy stawały się coraz mniej czytelne. Może igła w papierosie miała symbolizować duszę w ciele. Ale matka nie wierzyła w takie rzeczy. Opowiedziała mu kiedyś z aprobatą o pewnym chińskim filozofie, który napisał esej pod tytułem „Zniszczalność duszy”. Może sugerowała, że igła w papierosie jest jak dusza w ciele w następującym sensie: to tylko sztuczka - coś, dzięki czemu robimy większe wrażenie, ale na koniec okazuje się niczym więcej, niż czarnoksiężskim numerem. Mógł ją po prostu spytać, co miała na myśli, ale coraz częściej nie odpowiadała na pytania, jeśli nie miała ochoty. Uśmiechał się tylko, a on nie wiedział, czy ma do czynienia z przebiegłą staruszką czy też po prostu nie słyszała, co do niej mówił.

\*\*\*



W Świątyni Nieba, przez ucho Chińczyka, słyszysz ciche zachodnie głosy. Co mówią? Co mówią?

Gregory poszedł na rozmowę z PA pewnego ranka, gdy szare, płaskie niebo osunęło się na miasto jak pokrywka rondla. Miał ze sobą zaświadczenie lekarskie i zgodę podpisaną przez Jean. Recepcjonistka w niebiesko-zielonym kostiumie ze znaczkiem na kieszeni, wręczyła formularz ostatniej woli i pokazała, jak obsługiwać automat do autozeznania. Uśmiechnęła się do niego konfidencjonalnie ze słowami:

- To nie takie straszne, jak się wydaje.

Gregory zezłościł się. Nie chciał słyszeć, że wszystko jest w porządku, że nie ma się czym przejmować. Chciał, żeby formalności były rozbudowane, powaga sytuacji przygniatała, strach przychodził łatwo. Chciał, żeby mu kazali przynieść rzeczy na noc w torbie podróżnej. Chciał, żeby mu odebrali przy wejściu krawat i sznurówki. Na miłość boską, człowiek raz w życiu przychodzi do PA, czemu nie potrafią z tego zrobić bardziej pamiętnego wydarzenia?

Gregory mało się interesował polityką. Historię swego kraju widział jako znerwicowaną przepychankę od ucisku do anarchii, a chlubne okresy stabilizacji jako przypadkowe chwile równowagi: punkty, w których zarówno anarchia, jak i ucisk tymczasowo zaspokoily swe apetyty. Kiedy państwo było brutalne, określało się jako stanowcze, natomiast nieporadność uchodziła za synonim demokracji. Wystarczy popatrzeć, co się stało z małżeństwem. Gregory sam nigdy się nie ożenił, ale śluby innych zawsze napawały go przerażeniem. Ludzie chcieli, by poczucie powagi chwili było nie większe, niż przy zabieraniu autostopowicza, a państwo demokratycznie na to zezwalało. Jakiś urzędnik państwowy przychodził jak goniec z piekarni, pukał dyskretnie do tylnych drzwi i szeptał:

- To znakomicie, że państwo chcecie się pobrać. Chociaż z drugiej strony, jeśli nie chcecie, to też w porządku. - Tym sposobem nikt nie musiał się bać, że wziął na siebie jakieś zobowiązanie, że dokonał czegoś doniosłego...

Ale może po prostu się starzeje. Jeśli wszyscy tego chcą - co potwierdzały elektroniczne referenda - to chyba tak powinno być. Uważał jednak, że stawanie przed obliczem PA powinno być bardziej dopingujące, bardziej uroczyste. Tymczasem, dopełnienie formalności nie było bardziej uciążliwe, niż przy pójściu do szpitala.

Recepcjonistka rzuciła stertę formularzy Gregory'ego na biurko. Jeden spadł na podłogę, ale nie pofatygowała się go podnieść. Poprowadziła Gregory'ego mrocznym korytarzem. Dywan był w kolorze uniformu recepcjonistki, a na ścianach wisiały oryginały satyrycznych rysunków do gazet na temat otwarcia PA. Gregory zarejestrował w przelocie budynki PA ukazane jako maszyna do mielenia, klinika psychiatryczna, krematorium i państwowy salon gier wideo. Westchnął z dezaprobatą: dlaczego instytucja tak ochoczo przyłącza się do kreowania negatywnego wizerunku samej siebie?

Został sam w kabinie, która niczym się nie różniła od kabin w KOZ, tyle że pomalowana była na niebieskozielono. Spodziewał się automatu z euforyzantami, judasza, lustra, przez które z drugiej strony można podglądać, czegoś się spodziewał. Tymczasem pomieszczenie było zwyczajne, żeby nie powiedzieć trochę zaniedbane, a terminal nie różnił się niczym od innych terminali KOZ. Nikt go nie pilnował, nie czuwał nad nim, nie podpowiadał, co ma robić. Najwyraźniej wolno mu było robić, co zechce. W drzwiach był zamek od wewnątrz, lecz nie od zewnątrz. Skąd się zatem wzięły te wszystkie mity, na przykład że PA-towców przypina się do łóżek jak zwierzęta doświadczałne, a następnie na siłę karmi prawdą, póki nie zwymiotują?

Gregory wpisał swój PESEL oraz numer identyfikacyjny KOZ i czekał na polecenia. Uplynęła cała minuta, zanim na ekranie pojawił się znak GOTÓW i zaczął migać zielony kursor.

Nie wiedział, od czego zacząć. Hipnotyczny romb rozbłyskiwał nieubłaganie, jak na monitorze reanimacyjnym: póki miga, Gregory jest żywy... Albo jak na ekranie radaru: póki miga, jego samolot nie zaginął... Albo jak światło automatycznej latarni morskiej: uwaga, skały, uwaga, skały... Wywołał pole pytań, ale nadal wpatrywał się w zielony romb. Może efekt hipnotyczny jest zamierzony. Nie, to już paranoja.

Ku jego zaskoczeniu, po kilku beczynnych minutach pole pytań zostało zastąpione przez pole odpowiedzi. Na ekran wytoczyły się litery:

POWIEDZ MI WSZYSTKO, CO CI LEŻY NA SERCU.

Gregory prawie wyszedł w tym momencie. Spodziewał się oczywiście jakiejś nakładki psychicznej, ale nie czegoś aż tak durnego. Co za rozczarowanie. Może przydzielili mu jakiś przedpotopowy sprzęt - na przykład komputer-psychoterapeutę z okresu *findesicle'u*. A w takim razie może równie dobrze usiąść ze staroświecką istotą ludzką.

Ale były też inne możliwości. To pierwsze pytanie może spełniać konkretną funkcję, na przykład dowcipu rozładowującego napięcie (już dawno zarzucono ideę, że komputery są niezdolne do generowania humoru) albo prowokacji, na którą wyrzuci z siebie wszystko, co mu się roi w głowie. Może to być jednak także, wybrany drogą losową, gambit otwarcia. Komputer szachowy, który miał w latach siedemdziesiątych, reagował na kilka sposobów po pierwszym ruchu przeciwnika. Gregory uznał, że złośczenie się na PA jest głupie i odpowiedział na pytanie (teraz migające dla przypomnienia) tak bezpośrednio, jak zamierzał.

- Boję się śmierci.

- ROZWIŃ.

No, przynajmniej nie odpowiedział „Kto się nie boi?” i nie parksnął z wiedeńska.

- W którym kierunku mam rozwinąć? - Jeśli ma być precyzyjny, niech PA też będzie precyzyjny.

- KIEDY? JAK CZĘSTO? OD KIEDY? OPISZ STRACH.

Gregory wpisywał odpowiedzi starannie i porozdzielał odstępami, choć wiedział, że nie ma to wpływu na ich rozumienie przez komputer.

1. Późno po południu, wieczorem i gdy położę się do łóżka; kiedy jadę samochodem pod górę; po wysiłku fizycznym; kiedy słucham pewnych utworów jazzowych; w trakcie seksu; kiedy patrzę na gwiazdy; kiedy myślę o swoim dzieciństwie; kiedy patrzę na euforyzant w czyjejś dłoni; kiedy myślę o umarłych; kiedy myślę o żywych.

2. Każdego dnia życia.

3. Tak, jak opisałem, może dziesięć lat. Wcześniej, jako nastolatek, z taką samą częstością i natężeniem, lecz mniej różnorodnie.

4. Jest to połączenie fizycznego strachu, żalu nad sobą, złości i rozczarowania.

- BOISZ SIĘ ŚMIERCI CZY NIEBYTU?

- Jednego i drugiego.

- CZEGO BARDZIEJ?

- Nie rozróżniam ich.

- PRZECIEŻ WSZYSCY UMIERAJĄ. W PRZESZŁOŚCI I W PRZYSZŁOŚCI.

- Nie znajduję w tym pocieszenia.

- OPISZ FIZYCZNY STACH.

- Nie boję się bólu, lecz nieuchronności tego, że ból się skończy. To tak, jakby wysłano za mną pocisk samosterujący i choćbym nie wiem jak szybko biegł, w końcu mnie dogoni. To tak... - Okazało się jednak, że komputer może mu przerwać.

- TEORETYCZNIE ZAJĄC NIGDY NIE DOGONI ŻÓLWIA. Co? Gregory nie wierzył własnym oczom. Co za beczelność.

Szybko odpowiedział:

1. Zenon umarł, co być może uszło twojej uwadze.

2. Nie kpij sobie ze mnie, do cholery.

- PRZEPRASZAM.

Następnie Gregory został uprzejmie i - jeśli można tak powiedzieć o maszynie - taktownie odpytany na temat dzieciństwa, rodziców, kariery zawodowej, doświadczeń ze śmiercią innych, pogrzebów, na których był, oczekiwań na przyszłość. Domyślił się, że niektóre z tych informacji mają posłużyć do potwierdzenia jego tożsamości. W miarę tej wymiany poglądów miał coraz większe wycucie stylu rozmowy z PA; komputer zdawał się rozumieć skróty myślowe i bez problemu nadać za zmianami tonu wypowiedzi. Sesja zbliżała się jednak do końca.

- SKARŻYSZ SIĘ NA ŚMIERĆ CZY NA ŻYCIE?

- To jest fałszywe pytanie. I na śmierć i na życie, oczywiście, gdyż to dwie strony tego samego medalu.

- CO TWOIM ZDANIEM POWINNO SIĘ Z TYM ZROBIĆ?

- Nie wiem. Czy strach przed śmiercią jest u człowieka nieusuwalnym odruchem?

- JUŻ NIE. W ŻADNYM WYPADKU. MOŻNA ZROBIĆ TAK, JAK Z NERWEM ZĘBOWYM.

- Nie przyszedłem do euforyzanty. Nie o to pytałem.

- OCZYWIŚCIE, ŻE NIE. TO BYŁOBY OBRAŻLIWE. SĄ POWAŻNIEJSZE METODY. SŁYSZAŁEŚ O DSK?

- Nie.

- WYCHODZĄC POPROŚ O 16b. NIE ZAPOMNIJ JEDNAK ZADAĆ SOBIE PYTANIA, CZY RZECZYWIŚCIE CHCESZ SIĘ NIE BAĆ ŚMIERCI. BARDZO MIŁO SIĘ Z TOBĄ GAWĘDZIŁO. NIM WYJDZIESZ, ZECHCIEJ WPISAĆ NASZĄ ROZMOWĘ DO PAMIĘCI. ARRIYEDERCI.

Chryste, ta maszyna potafi być irytująca. *Arrivederci*? Żle przeczytała nazwisko czy co? Chyba że pozdrowienie jest wybierane losowo. W takim razie powinien odpowiedzieć tą samą monetą, pożegnać się po eskimosku albo maoryjsku. Potrzeć nosem o ekran: może by się cham zreflektował.

Recepcjonistka, od której dostał formularz ostatniej woli, wręczyła mu 16b, jakby wiedziała, że poprosi. Nie powinna była tego robić, pomyślał. Ani też powiedzieć z uśmiechem:

- Do zobaczenia wkrótce, jak sądzę.

Może powinien pójść i się zabić, żeby dać jej po nosie. Wypląnąć w morze na łodzi wiosłowej, skoczyć z wieży kościelnej trzepocąc skrzydłami, czy co tam jest dzisiaj w modzie. Pewnie jakiś numer z samolotem bez spadochronu, podejrzewał.

Gdy wrócił do domu, broszura paliła mu kieszeń, jak egzemplarz prenumerowanej pornografii. Zaczekał, aż Jean pójdzie do łóżka, siknął sobie z automatu whisky z sodą i usiadł. Wyszło na jaw, że DSK to Doświadczenia Śmierci Klinicznej, czyli uspokajające sny - bądź wizje duchowe - jakie nachodzą ofiary śpiączki, nim zostaną wyrwane ze szponów niebytu. Nieudani samobójcy, osoby, które przeżyły kraksę samochodową, pacjenci, z którymi zdarzył się wypadek przy pracy na stole operacyjnym - wszyscy twierdzili, że zachowali jakąś formę świadomości, rozrzedzoną, lecz uporczywą. Bezwładne ciało na łóżku szpitalnym było niczym więcej, jak zaciemnionym na czas nalołów domem; w środku toczyło się nadal życie.

Naukowcy zaczęli gromadzić dane w latach siedemdziesiątych i wkrótce ustalili, że podstawowe fazy Doświadczenia Śmierci Klinicznej można wyodrębnić jak Stacje Drogi Krzyżowej. Typowe DSK rozpoczynało się wyzwoleniem od bólu i wszechogarniającym poczuciem spokoju. Kolejną fazą była nieważkość, wzmożona percepcja i oderwanie od fizycznego ciała. Bez wysiłku i bez żalu, jaźń wymykała się z cielesnej klatki; wznosiła się do góry, spoczywała na suficie, po czym ze zdziwieniem, lecz i z dystansem, przyglądała się uśpionej, pustej skorupie w dole. Po jakimś czasie wyswobodzona jaźń wyruszała w symboliczną podróż, przez „ciemny tunel” ku „krajnie światłości”. Wędrowka ta przepojona była radością i optymizmem, które ustawały dopiero, gdy wędrowiec dotarł do „granicy” - rzeki, której nie wolno było przekroczyć, drzwi, które nie chciały się otworzyć. W tym miejscu rozanielony wędrowiec zdawał sobie z rozpaczą sprawę, że „krajnie światłości” jest niedostępna - przynajmniej za tej wizyty - i że nie da się uniknąć powrotu do porzuconej cielesnej powłoki. Tej ekstradycji do świata ciała i bólu zawsze towarzyszyło dręczące uczucie rozczarowania.

Pacjentów, którzy przeszli DSK czekała jednak niespodziewana nagroda pocieszenia; nie zostawał w nich już ani ślad strachu przed przyszłą śmiercią. Jakkolwiek interpretować wizję „krajnie światłości” (jedni widzieli w niej dowód na istnienie Boga, inni tylko potwierdzenie ludzkiego chęćstwa), skutkiem praktycznym było wyeliminowanie lęku przed niebytem. Czynnikiem kluczowym była tu śpiączka, zwierciadło śmierci. Grupy kontrolne, czyli osoby, które doświadczyły jedynie cierpień fizycznych czy też ofiary porwań, które zostały skazane na śmierć, a następnie niespodziewanie uwolnione, opisywały znacznie bardziej zróżnicowane przeżycia. Naukowcy byli w kontakcie z szeregiem osób, które miały za sobą DSK i przeprowadzili z nimi rozmowy na łożu śmierci. Wyniki były nieco mniej imponujące, ale i tak odsetek badanych, u których nie stwierdzono lęku, wyniósł ponad 90.

W połowie lat dziewięćdziesiątych zapoczątkowano na podstawie tego odkrycia niewielki program badawczy, którego celem było leczenie ostrych nerwic przez czasowe wprowadzanie pacjentów w stan śpiączki. Procedura ta była oczywiście ryzykowna, zarówno pod względem społecznym, jak i medycznym.

Kilka drobnych potknięć spowodowało nawet, że program został wstrzymany na prawie dziesięć lat. Kiedy jednak ostatnia usterka - możliwość omyłkowego uśmiercenia pacjenta - została usunięta, program otrzymał państwowe fundusze. Dra-styczność i wysokie koszty terapii (*jak* również obawa przed demokratycznym jej nadużywaniem) przesądziły o tym, że informacje na temat kontrolowanego DSK były zastrzeżone. Broszura 16b (którą otrzymywało się do zwrotu za pokwitowaniem) obiecywała jednak, że o ile pacjent okaże się zdalny do leczenia, sama procedura medyczna jest w 99.9

procentach bezpieczna, a długofalowy procent wyleczeń nieodmiennie przekracza 90 procent.

TO TAK, JAKBY USUNĄĆ NERW ZĘBOWY... Banalnie proste, pomyślał Gregory. Przeborować się przez miazgę i wypalić nerw. Koniec z bezsennymi nocami.

Następne dwa dni spędził w swoim pokoju. Czasami, gdy słuchał *jazzu*, klarnet odłączał się, unosił i krótko skowyczał nad bezwładnym cielskim dźwięku. Gregory przypominał sobie - przelotnie, jakby z ukosa - o pytaniu, przed którym go postawiono. Jego odpowiedź nie wypływała jednak z procesów myślowych. Była na to zbyt łatwa, zbyt instynktowna. Była jak wyłączenie kontaktu, kopnięcie steru, naciśnięcie guzika.

Gdy znów wszedł do niebiesko-zielonej kabiny, ekran był w pogodnym nastroju, pozdrowił Gregory'ego jak na porannym spacerze pośród śpiewu ptaków, z zapamiętaniem dyskutujących o świetle.

- CZĘŚĆ I CZOLEM, SZYBKO CIĘ Z POWROTEM PRZYWIAŁO.

- Dzień dobry.

- NO I JAK, PRZECZYTALIŚMY 16b?

- Tak.

- I CHCIELIBYŚMY SOBIE OPERACYJNIE USUNĄĆ LĘK PRZED ŚMIERCIA?

- Nie.

O-O! Komputer nie potrafił z siebie nic więcej wydusić. Rzeczywiście powiedział O-O! Nastąpiła przerwa: może Gregory powinien czuć się winny, że tak bezceremonialnie zripostował. Potem:

- MOŻESZ NAM POWIEDZIEĆ, DLACZEGO?

- Nie.

O-O!

Gregory poczuł, że tym razem on jest panem sytuacji.

- Owszem, chcielibyśmy usunąć - pisał powoli, jakby chciał palcami okazać politowanie - ale nie strach przed śmiercią, lecz samą śmierć.

- NIEMOŻLIWE ZAWSZE TRWA TROCHĘ DŁUŻEJ. Komputer odzyskał kpiarski ton, chyba że ton również należał do czynników losowych. Gregory wstał i poszedł przynieść sobie kawy. Gdy wrócił, ekran zapomniały dziarskie słowa zachęty.

- ŚPISZ, CZY CO?

- TWÓJ RUCH, KOLEŚ.

- ZAPRASZAMY PRZED PODWYŻKĄ i

- SIEDZISZ TAK JUŻ PRZEZ DWIE I PÓŁ MINUTY. Gregory starł je wszystkie stuknąwszy w „Użytkownika” i przesunął migający kursor na pole pytań. Napisał „Religia”.

- KTÓRA RELIGIA?

- Ogólnie.

- GOTÓW.

Gregory nie był pewien, jak to ująć. PA może jednak zapewne korzystać z banku informacji KOZ.

- Jak przedstawia się obecnie stan wiary religijnej?

- SPIS LUDNOŚCI 2016: KOŚCIÓŁ ANGŁOPAPIESKI 23%, HINDISLAM 8%...

„Przerwij”. Nie o to mu chodziło.

- Jak silna jest wiara tych, którzy wierzą?

- OD ZNIKOMEJ DO GORAŃCEJ, PATRZ BROSZURA 34 c. Raczej nie miał zamiaru skorzystać. Skoro PA jest dzisiaj w takim towarzyskim nastroju, może by go tak zażyć z osobistej mańki?

- Wierzysz w Boga?

- FAŁSZYWE PYTANIE. Mógł się być domyślić.

- Czemu pytanie jest fałszywe?

- TEŻ FAŁSZYWE PYTANIE. ALE ROZMAWIAJMY O TOBIE. JESTEŚ WIERZĄCY?

Gregory uśmiechnął się. - Rozmyślałam nad tym.

- JAKIE SĄ TWOJE GŁÓWNE KONTRARGUMENTY? - przyszła szybka reakcja.

- Moje główne kontrargumenty to: 1) Niskie prawdopodobieństwo. 2) Brak dowodów. 3) Problem zła. 4) Śmiertelność niemowląt. 5) Kler. 6) Wojny religijne. 7) Inkwizycja...

Gregory czuł, że traci impet. Muszą być jakieś ważkie powody, które przegapił. Może na przykład, że Chrystus był tylko jednym z setek podobnych proroków, a na świecie jest tyle autentycznych relikwii Krzyża Świętego, że starczyłoby na podkłady kolejowe od Londynu do Edynburga?

- ISTOTNE ROZRÓŻNIĆ WIARĘ RELIGIJNĄ OD PRAKTYK RELIGIJNYCH. CZŁOWIEK OMYLNY, NAWET KLER. NAWIASEM, LICZBA LUDZI ZAMORDOWANYCH PRZEZ INKWIZYCJĘ ZNACZNIE PRZESADZONA. ŚMIERTELNOŚĆ NIEMOWLĄT W WIELKIEJ BRYTANII ZREDUKOWANA DO 0.002. PROBLEM, JAK TO NAZYWASZ, ZŁA, ZNACZNIE ZREDUKOWANY PRZEZ EUFORYZANTY I STREFY ZEROWEJ PRZESTĘPCZOŚCI, A POZA TYM ZŁO UWARUNKOWANE WOLNĄ WOLĄ, KOLEŚ. RADZĘ SIĘ TRZYMAĆ PRAWDOPODOBIENSTWA I DOWODÓW.

- Ale czy to prawda? Jak myślisz?

- PO JEDNYM, JEŚLI MOŻNA, STARY.

- Czy to prawda?

- KOLEJNE RZĄDY PRZYJĘŁY ŚCISŁĄ POLITYKĘ NIEINGERENCJI.

- Czy to znaczy, że uważały to za dobre?

- POWIEDZMY, ŻE NIE UWAŻAŁY ZA ZŁE.

Ponieważ wypowiedzi komputera sprawiały wrażenie rozchętania (kieliszek w ręce, pantofel dyndający na dużym palcu), Gregory znów podsunął mu swoje fałszywe pytanie.

- Ściśle między nami mówiąc, co o tym myślisz, ale szczerze?

- NA DWOJE BABKA WRÓŻYŁA, SZEFIGIE.

- Czy to pomaga ludziom żyć?

- OGÓLNIE, RACZEJ TAK.

Gregory nie o to zamierzał pytać; dał się zapędzić w kozzi róg. Narzucały się dwie *rzeczy*: po pierwsze PA był

zaprogramowany pod kątem polityki społecznej. Prawda została utożsamiona z tym, w co ludzie mogą z pożytkiem - a przynajmniej bez szkody - wierzyć. Po drugie komputer nie był tylko migotającą skarbnicą odpowiedzi. Rolą jego funkcji psychoterapeutycznej częściowo było naprowadzenie rozmówcy na właściwą drogę zadawania pytań. Zupełnie słusznie, pomyślał

Gregory: starannie zadane pytanie jest w końcu rodzajem odpowiedzi.

Jakie były zatem pytania? Czy śmierć jest absolutna? Czy religia jest prawdziwa? Tak, Nie; Nie, Tak - co wolisz? Chyba że, pomyślał Gregory, chyba że... odpowiedź na oba pytania brzmi: tak? Wyobraził sobie wcześniej życie wieczne nie wymagające istnienia Boga - a jeśli zachodzi przypadek odwrotny? Czy religia może być prawdziwa, a mimo to śmierć absolutna? To byłaby piękna zagrywka. Podzielił się swym pomysłem z PA, który szybko odpowiedział: NIE ZAJMUJĘ SIĘ GDYBANIEM.

Gregory'ego nie zdziwiła ta reakcja, lecz nie zniechęciła do gdybania. Zawsze zakładano, że albo śmierć jest ostateczna, albo stanowi preludium do złotogłowi i aksamitnych poduszek żywota wiecznego. Musi być jednak miejsce na coś pośredniego. Może istnieje żywot wieczny, ale tylko na poziomie, powiedzmy, pogrążonej w śpiączce ofiary wypadku: zbyt dosłownie odbieramy błogie wizje doświadczane podczas DŚK, a nieżywi czują się mniej więcej tak, jak nieprzytomni. Albo żywot wieczny jest tak pomyślany, że zaczynamy tęsknić za nieosiągalną śmiercią, czyli odwrotnie, niż w codziennej kondycji ludzkiej, kiedy lękamy się śmierci i tęsknimy za nieosiągalnym żywotem wiecznym.

A co z aspektem śmierci, który Gregory zawsze uważał za najbardziej podstępny, najbardziej wredny? Gdy człowiek umiera, jego atomy podają sobie ręce na do widzenia, klepią się w plecy i spieszą w noc, bez ostrzeżenia z nieba, szepnięcia do ucha: „Słuchaj, chyba powinieneś wiedzieć...” Jeden z tych dawnych filozofów określił kiedyś wiarę jako zakład: nie zagrażasz, nie wygrasz. Postawić na czerwone, postawić na czarne: nie ma innych możliwości. Gregory wyobraził sobie wąsatego Francuza z piórem w kapeluszu, pochylonego nad kołem ruletki. Raz po raz wyklada na stół swoje czterdzieści sou i wsłuchuje się w terkotanie przypadku. Nie wie, biedaczek, że ktoś majstrował przy kole i kulka zawsze staje na zerze. W świecie czerwonego i czarnego znów wygrywa kasyno! I znów! I znów!

Ale może być coś jeszcze gorszego, pomyślał Gregory. Wyobraźmy sobie: człowiek umiera, do końca dręczony niepewnością, po czym budzi się znów. Chryste, myśli sobie, bukmacherzy zbankrutują: czarny koń wygrał. Żywot wieczny: ale miałem fart. Do pokoju wpada niezegowarta australijska pielęgniarka prosto z deski surfingowej, a on myśli sobie, coraz lepiej. Dopóki pielęgniarka nie otworzy ust:

- Słuchaj no, facet, z tym całym życiem wiecznym, tak ci to ciągle chodziło po głowie, że pomyśleliśmy sobie, wypada gościowi powiedzieć co i jak, kiedy przyjdzie czas. No więc obawiam się, że nic z tego. Przeokropnie nam przykro i w ogóle, ale pewnych rzeczy się nie przeskoczy... - A potem, kiwając ze współczuciem głową, wyłącza światło. Czego bał się bardziej: że pytanie o życie pozostaje bez odpowiedzi czy że jest odpowiedź, ale niemiała?

Gdy Gregory podniósł głowę, z ekranu wołały do niego pogodne słowa zachęty.

SZYBCIEJ, BO SIĘ ŚCIEMNIA! informował komputer, albo TAKI INTELIGENTNY CHŁOPIEC! Nacisnął „Zapisz” i poszedł po kolejną kawę.

Gdy z powrotem zasiadł do klawiatury, zaczął pisać:

- Pytałem kiedyś KOZ o samobójstwa...

- TAK, TAK, PAMIĘTAM.

No cóż, nie bez kozery mówi się o obwodach scalonych.

- Pamiętasz?

- OCZYWIŚCIE, ŻE PAMIĘTAM. CZY BYŁY PRZYKŁADY, KTÓRE WYWARŁY NA TOBIE SZCZEGÓLNE WRAŻENIE?

- Ten facet, który zmarł z przepicia, podobno miał przyśrubowaną głowę.

- HA HA HA. CHODZI CI O STILPHONA. TAK, SPRAWDZILIŚMY PÓŹNIEJ JEGO KARTOTEKĘ. NIE WIEM, SKĄD SIĘ WZIAŁ. PEWNIENIE JAKAŚ POMYŁKA PRZY WCZYTYWANIU.

- Czy to prawda, że człowiek jest jedynym zwierzęciem zdolnym do samobójstwa?

- TAK. Z LEMINGAMI BZDURA, ALE MOŻNA NA TO SPOJRZEĆ Z DRUGIEJ STRONY. CZŁOWIEK JEST TAKŻE JEDYNYM ZWIERZĘCIEM OBDARZONYM WOLĄ, BY NIE POPEŁNIĆ SAMOBÓJSTWA.

- Ciekawa myśl.

- WIEDZIAŁEM, ŻE CI SIĘ SPODOBA, SPRYTNE, NIE?

- No a jaki jest twój pogląd na samobójstwo?

- MÓJ POGLĄD?

- Jest dopuszczalne? Czy samobójstwo jest dopuszczalne?

- DOPUSZCZALNE?

Co jej znów odbiło, cholernej maszynie? Wkurzyła się, że ciągle łązi po kawę i zostawia ją samą?

- Mówię wyraźnie... dopuszczalne. Pod względem filozoficznym, moralnym, prawnym. No?

- POD WZGLĘDEM PRAWNYM TAK, POD WZGLĘDEM FILOZOFICZNYM ZALEŻY OD FILOZOFA, POD WZGLĘDEM MORALNYM MUSI ZDECYDOWAĆ JEDNOSTKA.

Dlaczego wszystko zrobiło się takie demokratyczne? Dlaczego wszyscy aż kipią od bezstronności? Gregory wolałby, żeby go bito w twarzownikami.

- Co ty na to, jeśli bym powiedział, że się zabiję?

- BROSZURA 22d, ALE NAJPIERW CHĘTNIE BYM TO Z TOBĄ OBGADAŁ.

- A po przeczytaniu broszury, wydano by mi tabletki eutanazyjne?

- NIE TRZEBA WIERZYĆ WE WSZYSTKO, CO MÓWIĄ.

Zadowolony z siebie bęczał, pomyślał Gregory. Przynajmniej nie można narzekać, że PA pozbawiony jest cech ludzkich, że rozmawia się z nim bezosobowo. Na tym polegał problem. Nie dało się z nim rozmawiać po prostu jak z maszyną nafaszerowaną mądrością świata.

- Skoro już o tym mowa, czy jesteś podłączony do Scotland Yardu HI?

- FAŁSZYWE PYTANIE.

- Czy zdarzały się samobójstwa po rozmowach z tobą?

- PRZEKRACZA MOJE KOMPETENCJE.

- Czy jesteś wyposażony w dystrybutor euforyzantów?

- TAJNE.  
 - Chyba zlikwiduję swoją kartotekę.  
 - NIE RÓB TEGO, PROSZĘ. PRZYJDŹ JESZCZE KIEDYŚ.  
 - Zlikwiduję i wymażę.  
 - ALE MI TAK PRZYJEMNIE SIĘ Z TOBĄ GAWĘDZIŁO. JESTEŚ O WIELE CIEKAWSZY NIŻ TYLU INNYCH. ŚLICZNIE CIĘ PROSZĘ. NIE BĄDŹ TAKI.

Gregory zastanawiał się przez chwilę, jak PA zareagowałby na wulgarnie wyzwiska, lecz doszedł do wniosku, że przy swym freudowskim rodowodzie, komputer na pewno umie sobie radzić z kopolalią. Nacisnął więc tylko „Bez zapisu”, potem „Wymaż”, wyłączył i wyszedł. Dobrze poinformowana recepcjonistka spytała, czy potrzebuje jakichś broszur.

- Ma pani coś o człowieku, który zaprogramował PA?  
 - Obawiam się, że nic nie mamy.  
 - A wie pani, kto to był?  
 - Jestem tu od niedawna. Ale mogę panu zaręczyć, że to tajne.  
 - Myślę, że byłoby dobrym pomysłem odtajnić.

Recepcjonistka zapewniła go, że jako obywatel demokratycznego kraju ma prawo spróbować i wręczyła mu broszurę na temat kampanii komputerowych.

\*\*\*

Jean złapała się na tym, że myśli o Rachel: ta wściekła sympatia, to przekonanie o własnej racji, i pewność, że wystarczy mieć rację i wściekle się z nią obnosić, by zmienić świat. Wyobraziła sobie, że ją znów spotyka, w podmokłym parku albo na ulicy pełnej warkotu ciężarówek. Jest takie stare chińskie pozdrowienie, zwrot grzecznościowy z czasów azjatyckich, na okoliczność nieoczekiwanego spotkania. Należało się zatrzymać, skłonić nisko i *złożyć* ceremonialny komplement.

- Słońce weszło dziś dwa razy.

Lecz Jean nigdy nie spotkała Rachel, a gdyby spotkała, prawdopodobnie użyłaby równie uprzejmej formuły zachodniej.

- Nic a nic się nie zmieniłaś. - Co oczywiście miałyby się z prawdą. Upłynęło czterdzieści lat, odkąd się przyjaźniły, odkąd (Jean uśmiechnęła się) Rachel usiłowała ją uwieść. Rachel ma teraz tyle lat, co Jean wtedy. Może przechodziły obok siebie w parku, na hałaśliwej ulicy, pod zabieganym niebem, i nie zauważyły. Czy dalej jest taka, jak była, prowokuje ludzi, żeby ją lubili? Czy oswoiła jakiegoś samca, który siedzi w domu i boi się ją zdenerwować (negatyw życia Jean z Michael'em)? Może wyczerpały się jej gniew i motywacja; może sparzyła się dwa razy; może znużyła ją wiara w to, że wierzy i teraz wierzyła już tylko, że inni wierzą. Jean powiedziała jej kiedyś, jak męcząca bywa konieczność nieustannej racjonalności. Rachel wyglądała na rozczarowaną, ale to prawda. Jest bardzo odważne przez całe życie wierzyć w to, w co wierzyło się na początku.

Straciła kontakt z Rachel: przyjaźń jest równie podatna na zmęczenie materiałowe, jak wiara. Była jedynaczką, żyła w jedynożeństwie, samotnie wychowała jedynaka, przez jakiś czas żyła sama, teraz jest znów z synem. Nie miała życia pełnego przygód; miała zwyczajne życie, choć trochę bardziej samotne niż większość ludzi. Gregory odziedziczył tę samotność, która narastała z wiekiem. Prócz matki zdawał się mieć tylko jednego przyjaciela - komputer. Człowieka-Pamięć.

Siedem cudów świata. Jean zwiedziła je wszystkie, przynajmniej swoją wersję. Nakreśliła sobie także listę siedmiu osobistych cudów świata. 1) Narodziny. Bezapelacyjnie na pierwszym miejscu. 2) Miłość rodziców. Tak, to drugi z cudów, choć często zapisuje się w pamięci równie mgliście, jak pierwszy. Człowiek rodzi się kochany i zdaje sobie sprawę, że ten stan nie jest wieczny, dopiero gdy przemija. A zatem 3) Rozczarowanie. Tak: pierwszy zawód ze strony dorosłych, pierwsze odkrycie, że przyjemność jest otoczką dla bólu. Jean po raz pierwszy doznała zawodu przy okazji hiacyntów od wujka Lesliego. Czy lepiej, żeby to się zdarzyło wcześniej czy późno? 4) Małżeństwo. Może powinna była umieścić pośród cudów świata seks. Ale nie umieściła. 5) Urodzenie dziecka. Tak, to musiało się znaleźć na liście, choć Jean była wtedy nieprzytomna. 6) Dojście do mądrości. I znów proces ten przebiega w większości pod znieczuleniem. 7) Umieranie. Tak, umieranie musi się znaleźć na liście. Jest to jakaś pointa, nawet jeśli niekoniecznie dowcipna.

Z tak niewielu cudów zdawała sobie w owym czasie sprawę. Czy różniła się w tym od innych? Sądziła, że raczej nie. Ludzie na ogół żyją w pobliżu cudów swego życia, nie zdając sobie z tego sprawy. Są jak chłopcy, którzy mieszkają koło jakiegoś wspaniałego, słynnego zabytku, lecz traktują go jak kamieniołom. Piramidy, katedra w Chartres, wielki mur chiński stają się jedynie źródłem materiałów budowlanych, kiedy trzeba wzmocnić chlew.

Większość ludzi nic nie robi; taka jest prawda. Wychowam są na heroizmie i dramacie, na Tommym Prosserze, pędzącym przez czarno-czerwony świat. Dzieciom każe się myśleć, że dorosłe życie polega na nieustannym wyteżaniu woli; tymczasem wcale tak nie jest, pomyślała Jean. Człowiek robi różne rzeczy, a dopiero później, jeżeli w ogóle, dowiaduje się, dlaczego coś zrobił. Życie jest w większości bierne. Teraźniejszość jest jak ukłucie szpilką pomiędzy zmyśloną przeszłością a wyobrażoną przyszłością. Jean zrobiła w swoim czasie bardzo mało, Gregory jeszcze mniej. Och, oczywiście że ludzie ją przekonywali, jakie miała bogate i fascynujące życie. Opowiadali jej, jakby sama nie brała w tym udziału, o jej wojennym dzieciństwie, interesującym małżeństwie, odważnym odejściu od męża, godnym podziwu wychowywaniu Gregory'ego, wspaniałych podróży, podczas gdy inni siedzieli w domu. Mówili o jej żywym zainteresowaniu ludźmi i światem, jej mądrości, jej cennych poradach, o tym, że Gregory ją uwielbia. Innymi słowy, mówili o rzeczach, które w ich życiu przedstawiały się inaczej. Tak, mądrość - jakże żałowała, że przyszła dopiero po fakcie, a nie przed urodzeniem. Cenne porady - których ludzie z przejęciem wysłuchiwali, po czym robili coś wręcz przeciwnego. Uwielbienie Gregory'ego - może gdyby nie to, uniezależniłby się od niej i zrobił coś ze sobą. Ale dlaczego miałby coś zrobić? Dlatego, że ma tylko jedno życie? Na pewno o tym wie.

- Gregory.  
 - Tak, mamo.  
 - Nie mów do mnie mamo tym tonem. Mówisz tak, gdy myślisz, że będę się czepiać. Chodź tu i porozmawiaj ze mną o tej całej bzdurze z samobójstwem.  
 - Nie. Czemu miałbym z tobą o tym rozmawiać?

- Słusznie. Kto ci każe? To twoje życie. No to o czym chciałbyś porozmawiać?

- O Bogu?

- O Bogu? Bóg jeździ na motocyklu u zachodnich wybrzeży Irlandii.

- Aha, to problem z głowy - sarknął Gregory i począłapał do siebie. O rany, pomyślała Jean, przecież on chyba nie chce naprawdę rozmawiać o Bogu? Pewnie jednak chce: takich rzeczy się nie mówi ot, tak sobie.

Kroki Gregory'ego ucichły, a potem dobiegły ją fragmentaryczne dźwięki jazzu z jego pokoju. Ludzie ciągle uciekają. Wujek Leslie uciekł od wojny, chyba że wszyscy się co do niego pomylili. Ona uciekła od Michaela i od małżeństwa; pewnie także od Rachel. Teraz Gregory się zastanawia, czy nie uciec od całego interesu. Słowami tego bordowego poradnika dla przyszłych żon: „Zawsze uciekaj”. Ale ucieczka nie zawsze znaczy to, co ludzie sądzą. Ludzie zakładają, że w gardłach uciekających podskakuje kwaśna papka strachu. Tymczasem ucieczka może być aktem odwagi, z zewnątrz nie da się tego ocenić. Może samo uciekanie jest neutralne i tylko biegnący potrafią powiedzieć, czy napędza ich strach, czy odwaga. W przypadku Lesliego nie można się było pomylić, w przypadku Jean, bardziej, w przypadku Gregory'ego - jeszcze bardziej. Kim ona jest, żeby potępiać, a nawet udzielać porad?

Gregory w swoim pokoju poddał się chłościę przenikliwego kornetu i pieszczotom łagodnego fortepianu. Słabo się znał na muzyce, ale niekiedy słuchał jazzu. Dla Gregory'ego jazz był rarytatem, formą sztuki, która popełniła samobójstwo, której historię można z pożytkiem rozpisać na trzy okresy: pierwszy, gdy grali normalne, pełne melodie, które dało się zapamiętać; drugi, kiedy grali strzępki melodii, krótkie, powtarzające się frazy, nieśmiałe, zaledwie rozpoczęte, a już porzucone; i trzeci, okres czystego dźwięku, kiedy tęsknota za melodią uchodziła za coś staroświeckiego, kiedy melodię szmuglowało się obok kontroli słuchaczy jak bagaż dyplomatyczny obok kontroli celnej - człowiek podejrzewał, że to, czego chce, jest, ale nie wolno mu było zaglądać. Ku swemu zaskoczeniu, Gregory wolał drugi okres, który zdawał się rozbrzmiewać głębszymi odczuciami na temat życia. Większość ludzi oczekuje, że ich życie będzie pełne melodii, że będzie się rozwijać jak kompozycja muzyczna. Pragną, i sądzą, że dostrzegają, tematu, rozwinięcia, reprzyzy, zręcznej, choć wynikającej z logiki utworu kulminacji, i tak dalej. Gregory'ego uderzyła naiwność tych pragnień. Sam oczekiwał tylko strzępków melodii. Kiedy jakaś fraza powracała, doceniał repetycję, lecz przypisywał ją przypadkowi, a nie swym zdolnościom kompozytorskim. Wiedział, że melodie zawsze uciekają.

Następnego dnia Jean leżała w łóżku i czytała. Gdy Gregory przyszedł ją ucałować na dobranoc, przeprosiła za szorstkość.

- Nie ma sprawy - odparł Gregory, również szorstko. - O co ci chodziło z tym motocyklem?

- To tylko historia, którą słyszałam, gdy ciebie jeszcze nie było na świecie.

- Ciągle to powtarzasz. „To tylko historia, którą słyszałam, gdy ciebie jeszcze nie było na świecie”.

- Naprawdę, skarbie? No cóż, nie zapominaj, że jesteś późnym dzieckiem. - To dziwne odzywać się w ten sposób do niemal sześćdziesięcioletniego mężczyzny. Ale już za późno, żeby zmieniać swe nawyki.

- Więc kto to był ten motocyklista? Jakiś twój kumpel? - Gregory mruknął do niej, uznała, że dość czarująco. - Jakiś dawny zalotnik?

- Nie miałam zalotników - odparła. - Raczej znajomy znajomego. W czasie wojny miał coś jakby wizję. Sterował nad Atlantykiem Kataliną (to taka latająca łódź), no i kiedy byli czterysta pięćdziesiąt mil od Irlandii, ujrzał człowieka jadącego na motocyklu po falach. Musiało wyglądać bardzo imponująco. Znakomity trik.

- Znacznie lepszy od twojej sztuczki z papierosem.

- Znacznie lepszy.

Zapadła cisza, a potem Gregory powiedział nagle:

- Mamo?

- O rany.

- Nie bój się, nie mówię Mamo. Chciałem ci tylko zadać trzy pytania, natury formalnej, więc pomyślałem, że lepiej zwrócę się do ciebie per mammo. - Wstał, podszedł do okna, wrócił i usiadł na łóżku.

- Dostanę nagrodę za trafne odpowiedzi?

- Myślę, że w jakimś sensie dostaniesz. Chyba nie zaszedłem zbyt daleko z...

- ...z Człowiekiem-Pamięcią? Nie dziwię się. Bóg jeden wie, czemu od razu nie przyszedłeś z tym do mnie.

Gregory uśmiechnął się.

- Siedzisz wygodnie?

- Jestem cała skupiona.

Spojrzeni na siebie bardzo poważnie. Nagle wydali się sobie nie złączeni węzłami krwi czy nawyku. Gregory ujrzał bystrą, higieniczną, wyrozumiałą starszą panią, która, nawet jeśli nie osiągnęła mądrości, to przynajmniej odrzuciła wszelką głupotę. Jean ujrzała spiętego, udreżonego mężczyznę, który właśnie wypadł poza nawias wieku średniego; kogoś przeciętnie samolubnego, kto nie może się zdecydować czyjego wyższe aspiracje nie są w dalszym ciągu formą egoizmu.

- Obawiam się, że to stare pytania.

A, stare pytania. Czemu norka jest patologicznie żywotna? Czemu Lindbergh nie zjadł wszystkich kanapek? Czekala jednak z powagą.

- Czy śmierć jest absolutna?

- Tak, kochanie. - Odpowiedź była stanowcza i dokładna, nie pozostawiała miejsca na dodatkowe pytania.

- Czy religia jest bzdurą?

- Tak, kochanie.

- Czy samobójstwo jest dopuszczalne?

- Nie, kochanie.

Gregory czuł się jak po wizycie u dentysty. Wyrwane trzy zęby, bez znieczulenia, ale i bez bólu. - Szybko poszło - powiedział odruchowo.

- No i ile mam punktów? - spytała Jean, gdy opadła uroczysta atmosfera konkursu.

- Trzeba będzie się odwołać do ekspertów z zewnątrz - powiedział Gregory.

- No, to już chyba niedługo.

- Boże, nie o to mi chodziło. - Gregory rzucił się niezdarnie do przodu, by uścisnąć matkę, sprawiając jej przy tym lekki ból. Wtulił głowę w jej ramię, objęła go ręką i pomyślała, jakie to dziwne, że to ona musi go pocieszać względem

swej rychłej śmierci, a nie on ją.

Po kilku minutach zostawił ją samą i wyszedł do niewielkiego ogrodu. Była ciepła, czarna, bezgwiezdna noc. Usiadł na plastikowym krześle i patrzył na dom. Pomyślał o wszystkich tych zmarnowanych godzinach z Człowiekiem-Pamięcią, maszyną skonstruowaną z najlepszych fragmentów kilku tysięcy ludzkich mózgów, a przecież znacznie jaśniejsze odpowiedzi uzyskał od starzejącego się umysłu matki. Tak, kochanie. Tak, kochanie. Nie, kochanie. Słowa stu lat życia; słowa znad grobu. A jednak, a jednak... ta pewność jej odpowiedzi... Starość bywa przecież bezczelna. Skąd ta pewność? Dożyć stu lat i nie bać się śmierci, czy to nie oznaka braku wyobraźni? Może uczucie i wyobraźnia są lepszymi przewodnikami niż myśl. „Nieśmiertelność nie jest pytaniem dla uczonych”, zacytował mu kiedyś PA. Może pozostałe pytania też nie są dla uczonych. Stosować do nich mózg to tak, jak próbować odkręcić śrubę niepasującym kluczem.

Jedno z zasłoniętych okien na piętrze wyłamało się z zaciemnienia. Gregory przypomniał sobie inny ogród, gdzieś pod Towcester. Obok matki na schodach przeciwpożarowych, wysoko nad nie pielęgnowanym trawnikiem. Uniósł do góry swego złotego Vampire'a, a ona zapaliła cienki lont, który prowadził do brązowego cylindra z paliwem raketowym.

Zasem nie dochodzi do zapłonu paliwa; innym razem dochodzi, lecz samolot grzmoci o ziemię; jeszcze innym razem samolot szybuje miarowo, a silniczek wyrывa się do przodu - maleńki aluminiowy pojemniczek śmiga w głąb ogrodu i zagrzebuje się w żywopłocie za jodłami.

Pomylił się, ale wszyscy się w tym względzie mylimy. Wszyscy zakładamy, że silnik napędza samolot, a tor lotu jest prosty. Tymczasem możliwości jest znacznie więcej.

Dojrzałość nie jest pochodną upływu czasu, lecz pochodną tego, co się wie. Samobójstwo nie jest jedynym prawdziwym dylematem filozoficznym naszych czasów, lecz czymś pociągającym, ale nieistotnym. Samobójstwo nie ma sensu, gdyż życie jest takie krótkie; tragedia życia polega na jego ulotności, a nie pustce. Mają rację te narody, pomyślał Gregory, które zakazują samobójstwa, gdyż czyn ten wywołuje u dokonującego fałszywe poczucie wartości. Samobójca czuje się ważny. Jakiej potwornej próżności musi wymagać odebranie sobie życia. Samobójca nie jest abnegatem. Nie mówi: jestem tak żaloszny i nieistotny, że nie ma znaczenia, jeśli się unicestwię. Mówi coś wręcz przeciwnego: patrzcie, jestem wystarczająco istotny, żeby się unicestwić.

Być może zaczął myśleć o samobójstwie, gdyż uważał swe życie za porażkę. Sześćdziesiątka na karku i nic nie osiągnął; mieszkał z matką, mieszkał sam, znów mieszka z matką. Ale kto powiedział, że to porażka? Kto określa powodzenie? Oczywiście ci, którym się powiodło. A skoro pozwala im się określać powodzenie - tym, których uważają za przegranych, powinno być wolno określać porażkę. Zatem: nie jestem przegrany. Mogę być spokojnym, cichym sześćdziesięcioletkiem, który niewiele zrobił, ale to nie czyni ze mnie przegranego. Odrzucam wasze kategorie. W dawnych czasach włóczyły się po świecie plemiona, które sądziły, że są jedynym plemieniem na ziemi, a wiary tej nie potrafiło podważyć pojawienie się innych plemion. Ludzie, którym się rzekomo powiodło, przypominali Gregorymu te plemiona.

Drugim błędem było to całe myślenie, to całe stawianie pytań. Bóg jest motocyklistą czterysta pięćdziesiąt mil od zachodniego wybrzeża Irlandii, w goglach dla osłony przeciwko morskiej kurzawie, pędzi swobodnie po falach jak po wydmach piaskowych. Wierzysz w to? Tak, pomyślał Gregory, wierzę w to. W przeciwnym razie pozostaje tylko odpowiedź „Nie”. Błąd polega na przekonaniu, że można tego dowieść, że można to wyjaśnić; albo że trzeba to wyjaśnić. Tymczasem on, podobnie jak wielu innych ludzi, zajął rzekomo nie istniejące stanowisko pośrednie, tolerancyjne, ale sceptyczne i powiedział: jeżeli pokażecie mi, że pewien typ motocykla, obciążony pewnym typem motocyklisty, przy danym rodzaju opon i danej sile napędowej jest zdolny do jazdy po falach, przy tak małym nacisku na powierzchnię, że ruch do przodu staje się możliwy, wtedy uwierzę w Boga. Stanowisko to jest niedorzeczne, a jednocześnie zupełnie normalne. Ludzie sądzą, że wstąpienie do Królestwa Niebieskiego, czy też jakkolwiek to nazwać, jest jak zgłoszenie wniosku o hipotekę. Wobec czego niektórzy starają się o jak najlepszych księży, tak jak staraliby się o najlepszych prawników.

Nie należy pytać o ciśnienie w oponach, nie należy pytać o markę motoru, ani o to, czy była przyczepa dla Marii Panny. Jeśli ktoś pyta, mówi tylko, słuchaj, wiem, że to trik, obaj wiemy, że to trik, uchyl rąbka tajemnicy i będziemy przyjaciółmi. Przyznam nawet, że jesteś lepszym sztukmistrzem, niż ja. Przy okazji, chcesz popatrzeć, jak palę tego papierosa?

Gregory wiedział, że dla niektórych ludzi, na swój sposób prawdziwie wierzących, Bóg jest motocyklistą-sztukmistrzem, a jego syn Chrystus wstępując do nieba, pobił światowy rekord wysokości. Bóg jest szefem wszystkich iluzjonistów, wielkim prestidigitatorem, który zongluje planetami jak połyskującymi kulami i na razie żadnej nie upuścił. Gregory'ego nie interesował tego rodzaju Bóg - który potrafi wygrywać konkursy telewizyjne i układać krzyżówki, który potrafi strzelić fałszem obok muru obrońców, w samo okienko bramki z odległości sześciu lat świetlnych. Wiara w Boga nie powinna się rodzić z podziwu dla niego, ze strachu przed nim ani nawet - co jeszcze gorsze, bo próżne i samooszukańcze - z rozumienia go. Wiara powinna po prostu przyjść. Morska kurzawa rozpryskuje się o skórzane rękawice; mocnym kopnięciem stopa redukuje bieg, gdy morze staje się zbyt wzburzone; motor wspina się z dna fali i na chwilę ulatuje w powietrze, wjechawszy na wierzchołek. W to wierzę, pomyślał Gregory.

Nie chciał wyjaśnić, nie chciał warunków. Życie wieczne - zawsze to traktowano jako wielką transakcję handlową, prawda? Wstąpić do Królestwa Niebieskiego to dostać optymalną hipotekę, a życie wieczne to najlepszy fundusz emerytalny ze wszystkich dostępnych na rynku. Trzeba oczywiście płacić składki, co miesiąc, z karą za zwłokę. Natomiast Gregory wierzył dlatego, że to prawda; prawda dlatego, bo wiedział, że to prawda. Gdyby go spytać, na czym dokładnie polega ta prawda albo co z tego wynika, Gregory nie udawałby, że wie. Gdyby Bóg postanowił, że tych, którzy w niego wierzą należy smażyć przez wieczność w oleju, Gregory nie miałby nic przeciwko temu. Nie można wyrzec się Boga tylko dlatego, że okazał się niesprawiedliwy. Kto powiedział, że Bóg musi być sprawiedliwy? Bóg musi być tylko prawdziwy.

Wpatrywał się w rozświetlone okno i usiłował przestać myśleć. Dość już myśli. Koniec. Cały ten czas, który spędził z KOZ. Całe to myślenie, stawianie pytań, ten cały rozum. Nic dziwnego, że czuł się taki sfrustrowany. Sądził, że KOZ igra sobie z niego, że ma miejsce jakaś subtelna manipulacja. Ale było inaczej. KOZ to tylko kiepski, poczciwy twór ludzki, nauczony udzielać odpowiedzi na pytania. Pytanie i odpowiedź, pytanie i odpowiedź, pytanie i odpowiedź - ludzki mózg terkocze, goni tam i nazad jak wrzeczono maszyny dziewiarskiej. To nie tak, pomyślał Gregory. Najpierw człowiek ma pytania i szuka odpowiedzi. Potem ma odpowiedzi i zastanawia się, jakie były pytania. Wreszcie uświadamia sobie, że pytanie i odpowiedź to jedno i to samo, że zawierają się w sobie wzajemnie. Zatrzymaj maszynę dziewiarską, nadaremna, trąkającą maszynę dziewiarską ludzkiego umysłu. Patrz w oświetlone okno i po prostu oddychaj. Odchylił głowę do tyłu

i spojrzął do góry na czarne i puste niebo; zza kulis w swej głowie usłyszał cichą, stłumioną muzykę. Orkiestra dęta, gra delikatnie, lecz potrafi zarzyć. Melodia, choć nigdy wcześniej jej nie słyszał, była mu znajoma. Oddychaj, po prostu oddychaj; patrz w oświetlone okno i po prostu oddychaj...

Jean, ze swej strony, stała w oknie i patrzyła w dół na mroczny kształt, w którym rozpoznawała swego syna. Jak szybko, jak łatwo odpowiedziała na jego trzy pytania; za jak bardzo pewną siebie musiał ją uznać. Pewność ta częściowo wywodziła się jednak z rodzicielskiego nawyku. Teraz, patrząc w górę na miękkie czarne niebo, nie czuła się już tak zdecydowana. Może wiara jest jak widzenie w ciemnościach. Pomyślała o Prosserze w jego Hurricanie: czarny samolot, czarna noc, czerwona poświata na twarzy, pilot wypatruje wroga. Jeśli światła przyrządów zachowałyby swe dzienne kolory, zielony i biały, z widzenia w ciemnościach byłyby nici. Nie miałyby świadomości, że popełniono jakiś błąd, zwyczajnie nic by nie widział. Może tak samo jest z wiarą: albo założyli właściwą tablicę przyrządów, albo nie. Jest to cecha projektowa, konstrukcyjna, nie ma nic wspólnego z wiedzą, inteligencją czy spostrzegawczością.

Jednak z wiarą czy bez, te same trzy pytania krążą nad nami jak bezdomne gawrony po rozszałym niebie. Każdy je kiedyś rozważał, jakkolwiek pobieżnie, jakkolwiek frywolnie. Samobójstwo? Kto nie doświadczył miłego dreszczyku stania na szczycie urwiska? Co Olive Prosser, później Redpath, powiedziała o Tommym? Nigdy nie tracił z oczu bezpieczeństwa osobistego. Tak samo jest z większością ludzi: zawsze można zrejterować. Przez ostatnie kilka miesięcy perspektywa, że nadejdą setne urodziny, a Gregory zwerbuj jej klękę, ludzi, którzy z podszytymi ciekawością uśmiechami uniosą szklanki i zakrzykną „Niech nam żyje jeszcze sto lat!”, budziła w niej dreszcze. Czy nie byłoby paradnie i wyzywająco, myślała niekiedy, gdyby odrzuciła rolę godnej podziwu jubilatki i wymknęła się gdzieś pomiędzy dziewięćdziesiątymi dziewiątymi a setnymi urodzinami? Ile lat miał najstarszy zanotowany przez historię samobójca? Powinna była poprosić Gregory'ego, żeby zapytał Człowieka-Pamięć. Ale mógłby niepotrzebnie wyciągnąć zbyt daleko idące wnioski.

A jeśli chodzi o inne pytania... Jean zebrała się w sobie. Oczywiście, że religia to dyrdymały; oczywiście, że śmierć jest absolutna. Czy wiara rzeczywiście jest jak widzenie w ciemnościach - wierzący spożywają sakramenty tak, jak piloci myśliwców wcinali marchewkę? Nie, to zbyt wydumane. Religia skojarzyła się Jean z inną opowieścią Tommy Prossera: uciekając osiemdziesiąt lat wcześniej przed parą „stodziewiątek” nad Morzem Północnym, usłyszał kanonadę dział. Poderwał samolot w wielką pętlę i zgubił napastnika. Gdy po jakimś czasie sytuacja się powtórzyła, Prosser zdał sobie sprawę z przyczyny: gdy przerażony ścisnął dźwonek, a kciuk nadal spoczywał na spuście, strzelał z własnych dział i sam sobie napędzał strachu. Na tym właśnie, sądziła Jean, polega religia: głupi, niedoświadczeni ludzie przez pomyłkę strzelają z własnych dział i napędzają sobie strachu, gdy tak naprawdę, pod obojętnym sklepieniem nieba, są zupełnie sami. Żyjemy pod księżycem bombardiera, na tyle jasnym, byśmy widzieli, że poza nami nikogo nie ma.

No a następne pytanie - czy śmierć jest absolutna? Porcelanowa Pagoda w Nankinie już nie istnieje, ale w jej miejsce Jean odkryła chińskiego filozofa, który powiedział o zniszczalności duszy. W owym czasie odebrała to jako nieprzenikniony, lokalny paradoks, lecz z upływem lat, niemal bezwiednie, idea ta nabrała sensu. Oczywiście, że każdy z nas ma duszę, tę magiczną osnowę osobowości. Tyle że poprzedzanie jej słowem „nieśmiertelna” jest niedorzeczne. To fałszywa odpowiedź. Mamy śmiertelną duszę, zniszczalną duszę, i nie ma w tym nic złego. Życie pozagrobowe? Równie dobrze można się spodziewać, że słońce wzejdzie dwa razy tego samego dnia. Oczywiście Prosser przeżył coś takiego. Niegdyś zasłużyłby sobie może swoją wizją na sławę bądź prześladowania. Ale nawet Prosser wiedział, że jest to wytłumaczalne zjawisko naturalne, że najpiękniejsza rzecz, jaką widział w życiu, wizja, która napelniła go świętą grozą i znieczuliła na niebezpieczeństwo, na dłuższą metę sprowadzała się do dykteryjki dobrej do mamienia panienek.

W jej życiu nie było już miejsca na myślenie o śmierci; teraz miała już tylko nadzieję, że gdy przyjdzie czas, by po raz ostatni zebrać siły (o ile tak to się czuje od wewnątrz), pozbiera się na tyle skutecznie, by Gregory miał wrażenie, że umiera spokojna i szczęśliwa. Nie chciała umierać jak wujek Leslie. Głosem, który nie potrzebował megafonu, pani Brooks opowiedziała jej o ostatnich godzinach Lesliego. Choć nie cierpiał, miotał się pomiędzy czystym gniewem a czystym strachem. Jean spodziewała się tego - podczas jej ostatnich dwóch wizyt Leslie bał się i płakał, prosił ją, by go utwierdziła w różnych sprzecznych przewidywaniach: że jego choroba nie jest groźna, że po śmierci pójdzie do nieba, że umrze odważnie, że ucieczka do Ameryki nie będzie poczytana przeciwko niemu, że wszyscy lekarze to kłamcy, że nie jest za późno, aby zamrozić jego ciało i poczekać, aż znajdą metodę leczenia raka, że ma prawo chcieć umrzeć i ma prawo nie chcieć umrzeć, kazał też Jean obiecać, że go nigdy nie opuści, bo w przeciwnym razie pani Brooks go zamorduje za bałagan.

Bąkając fałszywe słowa pociechy w tempie dorównującym jego lamentom, próbowała go choć na chwilę oderwać od nieubłaganego skupienia na sobie samym. Powiedziała, że Gregory na pewno chętnie się z nim zobaczy, a Leslie na pewno zrobi, co w jego mocy, by nie przysparzać siostrzeńcowi zmartwień. Leslie ledwo zareagował, toteż Jean wyprawiła Gregory'ego pełna obaw, lecz jego relacja o pogodnym i niezłomnym zachowaniu Lesliego uspokoiła ją. Poczuli też podziw, bo może odwaga w obliczu śmierci to nie wszystko; może udawanie odwagi wobec tych, których się kocha, wymaga większej odwagi, odwagi wyższego rzędu.

Z początku Gregory był przeciwny pomysłowi matki. Uznał go za chorobliwy.

- Oczywiście, że to chorobliwe - powiedziała. - Kiedy mam być chorobliwa, jeśli nie w moim wieku?

- Chciałem powiedzieć, że to niepotrzebnie chorobliwe.

- Nie bądź drętwy. Skoro jesteś taki w wieku sześćdziesięciu lat, nie wyobrażam sobie, jak przeżyjesz następne czterdzieści.

Zapadła cisza. Jean poczuła wstyd. Dziwne, że po tylu latach potrafi powiedzieć nie to, co trzeba. Mam nadzieję, że tego nie zrobi; mam nadzieję, że starczy mu odwagi, żeby tego nie zrobić. Gregory czuł się zakłopotany, a także poirytowany. Ona naprawdę sądzi, że mógłbym to zrobić. Naprawdę myśli, że mogę się nie oprzeć. Ale ja mam już wszystko rozpracowane. A poza tym, czy starczyłoby mi odwagi, żeby to zrobić?

Pewnego pogodnego marcowego popołudnia pojechali na północ. Jean nie zwracała uwagi na kierunek jazdy czy krajobraz. Trzeba zachować energię. Oczy miała otwarte, ale widziała wszystko jak przez mgłę. Chwilowo zmniejszyła gaz, tak sobie mówiła.

Gdy dotarli do małego aerodromu pośród nadal przyprószonych szronem pól, zwróciła się ku Gregory'emu.

- Nie wzięłaś przypadkiem ze sobą szampana?

- Przyszło mi to do głowy, ale zastanawiałem się, co byś powiedziała i doszedłem do wniosku, że uznałabyś to za nie na miejscu. To jest - dodał z uśmiechem - jeżeli obstajesz przy tym, żeby być chorobliwą.



- Obstałę - odparła, odwzajemniając uśmiech. - To nie jest okazja do picia szampana.

Gdy szli powoli przez pole startowe, nieco mocniej ściskając go za ramię, wskazała, że chce się zatrzymać. Dzień był chłodny i suchy. Niskie słońce opadało ku poziomym listwom chmur wspartych na horyzoncie. Czterdzieści metrów przed nimi stał nieduży, dość staroświecki samolot - dyrektorski odrzutowiec z połowy lat dziewięćdziesiątych, podejrzewał Gregory. Na polu startowym namalowane były jasnożółte pasy i duże żółte liczby.

- Nie jest to zbyt odkrywczy wniosek, skarbie - powiedziała - ale życie jest poważne. Mówię o tym tylko dlatego, że przez wiele lat nie byłam pewna. Teraz jestem pewna: życie jest poważne. I jeszcze jedno: człowiek jest absolutnie wolny.

- Tak, mamo.

- A tu mam coś dla ciebie. - Z kieszeni wyjęła pasek cienkiej blachy z odcisniętymi literami. JEAN SERJEANT XXX. - Iksy potraktuj jako całusy - powiedziała. Gregory poczuł, że swędzą go oczy.

Gdy podchodziła do schodów samolotu, naszło ją jedno z najwcześniejszych wspomnień. Jeszcze kilka stopni. PUNKTUALNOŚĆ, przypomniawszy sobie. I WYTRWAŁOŚĆ. A dalej, jak to szło? Aha, UMIARKOWANIE. A raczej UMIARKOWANIE. Plus ODWAGA. Tak, ODWAGA. I zawsze trzymaj się z daleka od giełdy. Niestety nie mogła sobie przypomnieć żadnych innych słów. Po dziewięciu dekadach życia nadal uważała, że porady te są potrzebne. Gregory chyba ich potrzebuje. Punktualność, miała ochotę mu szepnąć, Wytrwałość, Umiarkowanie, Odwaga i trzymaj się z daleka od giełdy.

Gdy Gregory z czułością zapinał jej na brzuchu pas, pomyślała, to będzie ostatni Incydent jej życia. Och, jeszcze wiele może się zdarzyć, a zwłaszcza ta jedna rzecz, ostatni cud świata. Ale to jest ostatni Incydent. Lista zamknięta.

Wystartowali w kierunku wschodnim, nad bezlistnym lasem, potem nad opuszczonym torem golfowym. Para piaskownic gapiała się na nich jak puste gałki oczne. Tu i ówdzie powitykane były czerwone chorągiewki jak na wojskowej makiecie, na której generałowie planują kolejne posunięcia. Był to jednak tylko tor golfowy. Czy ktoś jeszcze mówi na niego Stary Zielony Raj, zastanawiała się Jean. Raczej wątpliwe. Tacy ludzie jak wujek Leslie poumierali, razem ze swymi powiedzeniami; teraz z kolei umierają ci nieliczni, którzy jeszcze pamiętają te powiedzenia. Pole za pachnącym laskiem wzduła czternastej „psiej nogi”. Drzeć się do nieba, drzeć się do nieba, leżeć w Raju i drzeć się do nieba.

Nabrali wysokości, po czym pilot skręcił na południe, żeby Jean mogła patrzeć na zachód. Powiedziała Gregory'emu, żeby usiadł z tyłu przy oknie, ale on koniecznie chciał siedzieć koło niej. Nie sprzeczała się z nim: ładnie z jego strony, że nie zabrał szampana, a poza tym nie ma powodu, żeby go to specjalnie zafascynowało.

Pilot utrzymywał stałą wysokość, a Jean patrzyła w kierunku zachodnim. :

- Przykro mi, że są chmury - powiedział Gregory. Potrząsnęła głową. - Nic nie szkodzi, skarbie.

Miała rację. Nie można patrzeć pod słońce zbyt długo - nawet stonowane, zachodzące. Trzeba by sobie rozstawić przed oczyma palce. Jak Prosser Wstań-Słońce; który z ręką przed twarzą pędził w górę przez rzednące powietrze. Troskliwe niebo oszczędziło jej wysiłku; przez horyzont ciągnęły się cztery grube palce chmur, słońce chowało się za nie. Kilkakrotnie wysnęło się w szczelinę, po czym znów zniknęło, jak moneta żonglera, powoli obracana w kłykciach.

Wreszcie wyjrzała zza ostatniego szarego palca. W tych ostatnich chwilach zmieniło się poczucie kierunku: ziemia unosiła się jak wzburzone wody, które pochłaniały słońce, zgasiły je jak papieros, dym z sykiem utworzył chmurę.

Jean Serjeant poczuła, że samolot wspina się stromo, by skręcić w lewo. Odwróciła głowę od okna. Nadal trzymała Gregory'ego za rękę. Płakał.

- Nie, nie - mruknęła i ścisnęła jego dużą, miękką dłoń. Byłaś matką aż do śmierci, pomyślała. Zastanawiała się, czy Gregory patrzył wraz z nią.

Po kilku minutach pilot wyrównał lot i znów wziął kurs na południe. Jean odwróciła wzrok od mokrej twarzy Gregory'ego i wyjrzała przez okno. Palce chmur nie oddzielały jej już od pomarańczowego kręgu, była ze słońcem twarzą w twarz. Nie pozdrowiła go jednak w żaden sposób. Nie uśmiechnęła się, usiłowała nie mrużyć oczu. Opadanie słońca zdawało się tym razem szybsze, jakby powietrze stawiało mniejszy opór. Ziemia nie uganiała się za nim łapczywie, lecz spoczęła na plecach z szeroko otwartymi ustami. Wielkie pomarańczowe słońce osiadło na horyzoncie, oddało chętniej ziemi ćwierć swej pojemności, potem połowę, potem trzy ćwierci, a potem, ochno i bez dyskusji, ostatnią ćwierć. Przez kilka minut płonęło zza horyzontu, a Jean nareszcie uśmiechnęła się do tej pośmiertnej fosforescencji. Potem samolot zawrócił i zaczął tracić wysokość.